770 MLD+
Porządkujemy Polski Ład

INFLACJA
Rachunek za ratunek

WIĘCEJ LUZU
Europa się otwiera, covid nie odpuszcza

GAZA I MY
Co wolno Izraelowi

STRÓŻE OJCA
Kto prześwietli fundacje Rydzyka



COŚ DO SIANIA I CZYTANIA

Kraków 30 maja 2021 nr 22 (3751) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

NATALIA DE BARBARO

Rozmawiaj z mamą

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA



POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

ODETCHNIJ NA ŁĄCE LEŚMIANA

Weź udział w cyklu wydarzeń kulturalno-rekreacyjnych online i offline

PROGRAM OTWORZY KONCERT ZESPOŁU TĘSKNO

26 czerwca – 31 sierpnia 2021

polin.pl

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland Liechtenstein Norway grants

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Partner medialny

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM

Boniecki: *Niezapominajka*



Matka Polka. Matka kwoka. Matka alkoholiczka. Matka pracoholiczka. Matka „włóż szalik”, „masz tu ciepłe skarpetki”. Matka wiecznie zatroskana (wszystkie sprawy są dramatycznie ważne). Matka – nic z dzisiejszych czasów nie rozumie. Matka – „ja się jej wstydzę”. Matka – niezrównoważona psychicznie. Matka o zmiennych nastrojach. Matka dyktator. Matka leseferystka. Matka – „ten chłopak / ta dziewczyna nie jest dla ciebie”. Matka – „ty spełnisz moje marzenia, zrealizujesz ambicje”. Matka – do wszystkiego się wtrąca i poucza. Matka – nie da się z nią rozmawiać. Matka awanturnica. Matka lwica (rozszarpie każdego, kto coś ma przeciw jej dziecku). Matka hipochondryczka. Matka chorowita. Matka – zdrowa jak koń, nie do zdarcia. Matka – „ja tak się dla ciebie poświęcam”. Matka – „ja też mam prawo mieć swoje życie”. Matka – „mów pacierz, idź na mszę, do spowiedzi, na religię”. Matka – „kiedy dorośnie, sam sobie wiarę / niewiarę wybierze”. Młoda matka. Matka – starsza pani. Matka – starość, amnezja, niedołężność, pretensje. Matka – bankomat... I tak dalej aż do „Matka bohaterka” i „wyrodna matka”. Niczego nie wymyśliłem, wszystkie je spotkałem.

Z żadnym rzeczownikiem nie kojarzy się tak wiele przymiotników. I nie ma sensu się przed tym bronić, bo wyjątkowo ważna jest dla każdego, nawet jeśli nie każdy chce się z tym pogodzić, nawet wtedy, gdy wzajemne relacje nie układają się najlepiej. W życiu każdego, nawet nieznana – jest ważna.

Zauważcie, najstarsza chrześcijańska tradycja wyrażona w Składzie Apostolskim („Wierzę w Boga”), którego najstarszy zachowany rękopis pochodzi z III wieku, ale genezę tekstu widziano w nauczaniu Apostołów, przyjmuje, że Bóg, stając się człowiekiem, otrzymał wszystko, co w Nim było człowieczego (ciało, więc wszystkie komórki, wygląd itd.) od Matki – bowiem z niej się narodził, a „począł się z Ducha Świętego”.

Tyle kojarzonych ze słowem „matka” przymiotników, tyle opisów relacji matka–dziecko tłumaczy nieporównywalność tej relacji. Relacji niekiedy trudnej, którą komplikują tworzone przez kolejne epoki kulturowe schematy, jakże często odklejone od rzeczywistości wzorce.

Temat tego numeru „Tygodnika” zainspirował mnie do obejrzenia raz jeszcze genialnego filmu Pawła Łozińskiego „Nawet nie wiesz jak bardzo Cię kocham”. Uczestnicząc w zmaganiach (autentycznych, bo dialogi nie były wcześniej napisane) tamtych trojga: filmowych matki i córki oraz autentycznego, znakomitego terapeuty, schodzimy do własnego wnętrza i odkrywamy, jak prosta relacja matka–dziecko może być powikłana i ile może sprawiać (niepotrzebnego) cierpienia. No i że nie musiało to trwać na wieki wieków. Jeśli dobrze zrozumiałem, film się kończy dyskretnym happy endem.

Wiele razy widziałem, jak śmierć (mamy) zmienia sposób widzenia tych spraw, jak łagodzi żale i wreszcie pomaga zrozumieć. Dawniej, za jej życia, wysłuchiwałem opowieści pełnych żalu i pretensji. Teraz one kompletnie znikają. Powraca pamięć dobra, jakiekolwiek ono było. Czy naprawdę trzeba z tym czekać aż na śmierć? Bukiet niezapominajek (rosną bujnie o tej porze) na Dzień Matki nie rozwiąże problemów, ale może być dobrym początkiem. Byleśmy się nie bali i pogodzili z tym, że matka, nawet jeśli nie wiem jak trudna, jest – i jest najważniejsza. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny” na Festiwalu Słowa Granatowe Góry im. Jerzego Pilcha

Anna Goc, Wojciech Jagielski, Ryszard Koziołek, Katarzyna Kubisiowska i Adam Robiński – pośród wielu gości festiwalu także autorów „Tygodnika” będzie można spotkać w Wiśle w dniach 28–30 maja.

W planach strefa wolnego czytania „TP” i sianie Łąki Powszechnej!

Pełny program na granatowegory.pl – zapraszamy do Wisły!

GRANATOWE GÓRY
FESTIWAL SŁOWA IM. JERZEGO PILCHA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA



12 Niezadane
NATALIA DE BARBARO
Dlaczego między córkami a matkami jest tyle bólu? Bo pod spodem jest miłość. Ktoś, kogo nie kochamy, nie może nas aż tak zranić.

16 Mama mamy
ROZMOWA Z MIRĄ MARCINÓW, FILOZOFKĄ I PISARKĄ:
Od początku brakuje kluczowych opowieści, jak być córką i jak być matką.



36 Zachwianie równowagi
ROZMOWA Z MASSIMO FAGGIOLIM, WATYKANISTĄ:
Obie strony konfliktu, izraelska i palestyńska, chcą przekonać świat, że Watykan stoi po ich stronie.



48 Królestwo na zakręcie
MARCIN ŻYŁA
Po brexicie i trzech falach pandemii w Wielkiej Brytanii czas na nowe otwarcie. Premier Johnson ma na nie pomysł – ale wszystko zależy od królowej. Oraz jej następców.



22 W poszukiwaniu ładniejszego ładu
JAROSŁAW FLIS
Dawne podziały polityczne były oparte na podziałach klasowych. Dziś kluczowe może być pojęcie operatywności – zdolności radzenia sobie ze światem.



42 Do następnego razu
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU
Izrael i Hamas wstrzymały ogień. Zostaną zgliszcza: domów w Gazie, relacji żydowsko-arabskich i nadziei, że kiedyś nastanie tu pokój.



94 Tylko od nowa
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Kultura unieważniania jest jak prawo, które działa wstecz. Ale bez niej przedłużamy życie sztuce zamiatania pod dywan.

JOANNA RUSINEK DLA „TP" // ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM / MONTAŻ TP-ONLINE // RONEN ZVULUN / REUTERS / FORUM // CLAUDE THIBAULT / ALAMY STOCK PHOTO / BEW // CHRIS JACKSON / PA IMAGES / FORUM // ARCHIWUM PRYWATNE MASSIMO FAGGIOLEGO

6 Czas odprężenia
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 W poszukiwaniu ładniejszego ładu
JAROSŁAW FLIS

26 Demografia bez boomu
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Zjednoczona Prawica przedstawia nową strategię dźwigania wskaźników dzietności. O fiasku poprzedniej milczy*

28 Koszyk się rozpadł
ROZMOWA Z WOJCIECHEM PACZOSEM, EKONOMISTĄ: *Dlaczego dziś inflacja jest czymś naturalnym*

■ ■ WIARA

32 Pies stróżujący i ojciec dyrektor
KAROL WILCZYŃSKI: *Domagali się informacji o dotacjach publicznych dla fundacji o. Rydzyka. Poruszyli delikatną strunę*

36 Zachwianie równowagi
ROZMOWA Z MASSIMO FAGGIOLIM, WATYKANISTĄ

38 Dekret numer piętnaście
KS. PIOTR ADAMEK SVD: *Księża w Chinach mają wspierać partię*

40 O mądrości przebudzonej
PIOTR SIKORA: *Święty Paweł i Budda*

■ ■ ŚWIAT

42 Do następnego razu
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

W WYDANIU DODATKI

DODATEK SPECJALNY „TP" 22/2021



RENATA SUROWIEC / DOLASU

ANNA PRUSIEWICZ

Dodaj mi skrzydeł!

ŁĄKA POWSZECHNA DLA MOTYLI

67-90 Dodaj mi skrzydeł!
- Ludzie, którzy mieszają łąki
- Leżąc i gapiąc się w chmury
- Motyle o stanie świata
- Lekcje zachwytu i rozpusty

92 Krakowski Festiwal Filmowy

■ FELIETONY ■

31 JACEK PODSIADŁO
41 WOJCIECH BONOWICZ
62 HANNA KRALL
104 JAN KLATA **105** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: NATALIA DE BARBARO
FOTOGRAFIA: JACEK TARAN
Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

45 Migracja wewnętrzna, migracja zewnętrzna
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Francja, Żydzi i muzułmanie*

46 Franziska obrywa od obu stron
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA: *Konflikt bliskowschodni na niemieckich ulicach*

48 Królestwo na zakręcie
MARCIN ŻYŁA

52 Zjednoczenie, którego nie będzie
PEADAR DE BURCA: *Nikt nie chce łączyć Irlandii Północnej z Południem*

54 Ormiańskie powojnie
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ERYWANIA *o kryzysie po konflikcie o Karabach*

■ ■ HISTORIA

58 Dżucze na ustach świata
ROMAN HUSARSKI: *Jak Pjongjang eksportował kulturę i terroryzm*

■ ■ NAUKA

64 Spojrzenie złożone
DANIEL KOZŁOWSKI: *W mózgu muszki owocówki*

■ ■ KULTURA

94 Tylko od nowa
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

98 Symfonia kickboksera
KAJETAN PROCHYRA *o „Symfonii fabryki Ursus"*

100 Historia nie ma końca
ADAM ROBIŃSKI: *Luis Sepúlveda i jego ostatnia książka*

102 Ciasteczkowi kowboje
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Pierwsza krowa"*

104 Gęsty splot
LEKTOR *o „Przywiązaniach" Vivian Gornick*

■ ■ ZMYSŁY

106 Rodzi się ptak
DOROTA KOZIŃSKA: *Skutki przyjaźni z małżeństwem sierpówek*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Wrażenie niedotrzymania przez liberalizm jego własnych obietnic jest więcej niż dojmujące – **RAFAŁ WOŚ** o ważnych pytaniach amerykańsko-irańskiego publicysty Sohraba Ahmariego
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]
Jak miała wyglądać luksusowa dzielnica planowana przez niemieckich okupantów na terenie krakowskich Dębnik?
Opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA**
tygodnikpowszechny.pl/podkast



/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ TYGODNIA

CZAS ODPRĘŻENIA

Ciao, corona! Europa luzuje, syci głód życia, czeka na wakacje. Niektórzy ostrzegają, że prędzej czy później przyjdzie czwarta fala pandemii – i trzeba być gotowym.

WOJCIECH PIĘCIAK

Na kanale w Wenecji, maj 2021 r.

Pewien alpinista mawiał, że we wspinaczce najtrudniejsza jest chwila zwycięstwa – gdy osiągnęło się cel i słabnie napięcie, a wraz z nim ostrożność. Łatwo wtedy o wypadek.

Czy to już zwycięstwo nad epidemią, przynajmniej na tym jej etapie? Taka nadzieja zdaje się panować w tych dniach w Europie. Wraz ze spadkiem wskaźników zachorowań, wszyscy chcą luzować, otwierać się na postpandemiczną przyszłość. Wszyscy? No, prawie. W ogonie odmrażania jest Szwecja – kiedyś wstrzemięźliwa wobec lockdownu i w efekcie doświadczona wysoką śmiertelnością seniorów, dziś odmraża się wolniej niż inni. Dania, gdzie wskaźniki nawet nieco wzrosły, gotowa jest otwierać niemal wszystko – choć wcześniej w podobnej sytuacji utrzymywała srogi lockdown. Za to o „zbiorowej radości oczekiwania", poprzedzającej pełną radość spodziewaną latem, donoszą korespondenci z Włoch (strefa żółta: umiarkowane ryzyko) i Hiszpanii (tu po pół roku zakończył się narodowy stan alarmowy). Posiłek na nadmorskim tarasie jako symbol? Tak, ale z zachowaniem odstępu.

W harmonogram otwierania chce wierzyć Wielka Brytania, choć w niektórych hrab-

stwach dominuje już mutacja indyjska, budząca niepokój. Minister zdrowia przestrzega pedagogicznie, że np. w 140-tysięcznym Bolton do szpitala trafiają niemal tylko niezaszczepieni. Na Wyspach, gdzie szczepienia postępują najszybciej w Europie, w pełni immunizowanych jest jedna trzecia mieszkańców, a 55 proc. przyjęło jedną dawkę. O takim poziomie może marzyć Ukraina, gdzie jest to odpowiednio 0,2 i 2,2 procenta. Jednak także nad Dnieprem spadają wskaźniki. Może to kwestia pogody?

Właśnie, szczepienia: widać już, że uzyskanie odporności zbiorowej jest mało realne. Nawet w Izraelu, gdzie do 22 maja, po pięciu miesiącach od rozpoczęcia szczepień, odporni mogliby być wszyscy dorośli. Jednak odsetek tych, którzy przyjęli dwie dawki (59 proc.) niemal pokrywa się z odsetkiem tych, którzy przyjęli przynajmniej jedną (63 proc.). To sugeruje, że reszta dorosłych szczepić się nie chce. Czy izraelscy sceptycy różnią się od im podobnych z Europy? Taki sondaż mógłby coś powiedzieć o ponadnarodowej psychologii. Na razie pozostaje konstatacja, że w demokracji najlepsza droga to przekonywanie, ewentualnie zachęty. Przymus? Ten zostawiamy Chińczykom. Być może po czwartej fali zmienimy w tej kwestii zdanie.

Widać też, że postpandemiczna przyszłość nie będzie powrotem do normalności sprzed marca 2020 r. Korona nie zniknie, a skoro szczepienie daje odporność tylko na jakiś czas, będzie musiało być ponawiane (fachowcy mówią o „dawce przypominającej"). Co to znaczy? Będziemy żyć od jednego „zastrzyku życia" do kolejnego?

Ale to przyszłość. Na razie unijne instytucje przyjmują wstępne ustalenia w sprawie „paszportów covidowych" – wszak obywatele chcą podróżować w wakacje, a Grecja i Austria, licząc na turystów, już luzują przepisy wjazdowe. Urlop za granicą jako uwierzytelnienie nadziei, że jest normalnie?

Przynajmniej do czwartej fali. Podobno nieuniknionej, skoro odporne nie będą dzieci i wciąż wielu dorosłych. W sondażu telewizji RTL 60 proc. Niemców wyraża opinię, że epidemia nie jest jeszcze przezwyciężona, a 87 proc. boi się czwartej fali. Ale na razie nasza zbiorowość może chwytać chwilę. Przynajmniej w Europie. ©℗

BARIS SECKIN / AFP / EAST NEWS

Złudne poczucie bezpieczeństwa



MACIEJ MÜLLER

Coraz więcej polskich szpitali umożliwia odwiedzanie chorych, a nawet rezygnuje z mierzenia wchodzącym temperatury. Ruszają restauracje i kina. Maski zniknęły z twarzy przechodniów, a często także (już niezgodnie z prawem) z twarzy osób robiących zakupy czy uczestniczących w mszach. Polska się odmraża, rośnie poczucie bezpieczeństwa. Aż zanadto – martwią się eksperci – bo maleje społeczna presja, by się zaszczepić. Dają się nawet zaobserwować postawy „semi-antyszczepionkowe" (nie zaszczepię się, ale liczę, że dzięki odporności zbiorowej nie zachoruję).

Wprawdzie przynajmniej jedną dawkę przyjęła już ponad jedna trzecia populacji, ale do odporności zbiorowej brakuje 40-50 pkt. proc. Niepokojąco wygląda sytuacja w poszczególnych grupach wiekowych: np. przynajmniej jedną dawkę przyjęło tylko 26 proc. osób w wieku 25-49 lat, 43 proc. osób w wieku 50-59 lat, a od kilkunastu dni ani drgnęły statystyki szczepień seniorów 80+ (58 proc.). W magazynach rośnie liczba zalegających dawek, na które brak chętnych: np. do końca czerwca jest ponad milion wolnych terminów na szczepienie preparatem AstraZeneca.

Według prognoz ekspertów rządowych, opartych na analizach Institute for Health Metrics and Evaluation z Seattle, do 1 września uda się w Polsce zaszczepić ponad 22 mln osób, czyli niecałe 60 proc. populacji. „W tym momencie pozostałe osoby zaczynają pasożytować na tych, które się zaszczepiły, bo tym pierwszym wydaje się, że niebezpieczeństwo minęło – mówił w PR24 wirusolog prof. Włodzimierz Gut. – Twardogłowych przekonywać nie ma sensu. Będą mieli szansę przekonania się, czym jest COVID-19, kiedy zachorują".

Rządowa kampania zachęcająca do szczepień opiera się na spotach z celebrytami. Immunolog dr Paweł Grzesiowski podkreśla, że przypomina to marketing proszku do prania, a w akcji edukacyjnej brakuje odwołania się do postaw obywatelskich: szczepiąc się, ograniczamy rozprzestrzenianie się choroby i ratujemy innych. Nie wykorzystuje się też świadectw osób, które przeszły COVID-19, ani danych o skuteczności szczepień. A na przykład z prognoz IHME wynika, że w Polsce do 1 września dzięki szczepionkom zostanie uratowanych 2,8 tys. ludzi.

Nawet minister zdrowia, choć chce być optymistą, nie ukrywa w wywiadzie dla RMF, że „jedna mutacja [koronawirusa] może wywrócić stolik, czyli całkowicie zmienić sytuację". Poczucie bezpieczeństwa może być złudne, a wbrew lansowanemu hasłu „Ostatnia prosta" – polskiej akcji szczepień bardzo daleko do mety. ©℗

To już wdeptywanie sądów w ziemię

POLSKI ŁAD sięga daleko poza – potencjalne na razie – przebudowę podatków i nową transzę transferów socjalnych. To obóz władzy będzie teraz narzucał ramy debaty, w które musi wpasować się opozycja – co może okazać się ważne, gdyby do wyborów miało dojść już za rok.

Nowy ład zapanuje też między PiS-em a mniejszymi partiami koalicyjnymi, zmuszonymi do wspólnego firmowania programu. Dla Jarosława Gowina i jego Porozumienia to śmiertelne zagrożenie wizerunkowe: fiskalna część programu bije w interesy grupy stanowiącej niemal całość i tak śladowego elektoratu tej partii.

Nagrodą, o jaką walczyła zapewne Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry (w zamian za to, że to PiS *de facto* stał się głównym „dawcą" solidarności), wydaje się zielone światło dla ostatniego etapu wdeptywania w ziemię sądownictwa, zwanego dla niepoznaki „spłaszczaniem". Że ten żeton leżał na stole negocjacyjnym, sugerował sam Jarosław Kaczyński w niedawnym wywiadzie oraz optymistyczne wypowiedzi współpracowników Ziobry.

Mowa o tzw. spłaszczeniu struktury sądownictwa. Projekt prezentowano publicznie jeszcze przed pandemią, potem został schowany. Likwidacja sądów rejonowych, okręgowych i apelacyjnych oraz powołanie na ich miejsce dwóch nowych szczebli pozwoliłoby – w zgodzie z konstytucją – na „weryfikację" sędziów, czyli pozbycie się niepokornych i pacyfikację reszty. Jak przebiega takie spłaszczanie, mogliśmy się przekonać po czystkach, jakie zaszły w 2016 r. w prokuraturach, przy okazji podobnej, pozornie tylko formalnej zmiany struktur. ©℗ PAWEŁ BRAVO

Dwudziesty stopień dyplomacji

NA WNIOSEK CZECH Trybunał Sprawiedliwości UE nakazał Polsce wstrzymać wydobycie węgla w kopalni Turów, co grozi wyłączeniem jednej z największych krajowych elektrowni zasilanej przez miejscową odkrywkę.

Czesi od lat skarżą się, że funkcjonowanie kopalni tuż przy granicy skutkuje obniżaniem się poziomu wód gruntowych. W pobliskich niemieckich gminach pękają ściany budynków. Nie przeszkodziło to jednak polskiemu ministerstwu klimatu przedłużyć właścicielowi kopalni (grupie PGE) koncesji na wydobycie aż do 2044 r. W lutym na rozmowy przyjechała do Warszawy czeska delegacja, ale nie osiągnęła nic. Poirytowana Praga złożyła więc skargę do TSUE.

Politycy PiS grzmią w tej chwili o zagrożeniu suwerenności energetycznej, ale turoszowski kryzys świadczy bardziej o fatalnej jakości polskiej polityki zagranicznej, która coraz częściej staje się zakładnikiem pompatycznej narodowej retoryki i nie radzi sobie nawet z drobnymi konfliktami interesów.

©℗ MAREK RABIJ

Mniej hulania

BEZ WIELKIEGO HAŁASU weszły w życie nowe przepisy dotyczące użytkowania hulajnóg elektrycznych. Z nowelizacji prawa o ruchu drogowym wynika, że właściwym pasem dla ich poruszania się będzie ten przeznaczony dla rowerów lub jezdnia posiadająca ograniczenie prędkości do 30 km/h – tylko w przypadku braku takowych kierujący e-hulajnogą może skorzystać z chodnika, dostosowując wszakże prędkość do prędkości pieszych (na ścieżce rowerowej lub jezdni nie wolno mu jechać szybciej 20 km/h). Zakazano korzystania z telefonu w trakcie jazdy, a także przewożenia innych osób, zwierząt lub ładunku. Nakazano ustępowanie pierwszeństwa pieszym, a także ograniczono możliwość pozostawiania pojazdu w dowolnym miejscu na chodniku. ©℗ MO

KRAJ W SKRÓCIE

WÓDZ PRZEMÓWIŁ
„Chcę, żeby to było jasno powiedziane: to była moja osobista decyzja, by spróbować skorzystać z doświadczenia bawarskiego i kanadyjskiego w organizacji takich głosowań” – powiedział Jarosław Kaczyński o nieudanych wyborach korespondencyjnych w wywiadzie dla „Sieci”. W innej z serii rozmów publikowanych w tych dniach, pytany przez „Wprost” o prawo antyaborcyjne prezes PiS powiedział: „Wiem, że są ogłoszenia w prasie, które każdy średnio rozgarnięty człowiek rozumie i może sobie taką aborcję za granicą załatwić, taniej lub drożej”.



ZBYSZEK KACZMAREK / GAZETA POLSKA / FORUM

MISTERNY PLAN
„Plan był taki: pozbawiony głosów ziobrystów, eurosceptycznych konfederatów i wsparcia zjednoczonej opozycji Jarosław Kaczyński przegrywa kluczowe głosowanie nad ratyfikacją Krajowego Planu Odbudowy, nie wytrzymuje, wpada na sejmową mównicę, zaczyna krzyczeć i dochodzi do przesilenia” – usłyszeli dziennikarze „Newsweeka” od wysoko postawionego polityka opozycji.

RUCHY TRANSFEROWE
Trudno się dziwić, że ta ostatnia ulega dekompozycji: szeregi PO opuściła Róża Thun. Na razie nie wiadomo, czy europosłanka przystąpi do Polski 2050 Szymona Hołowni, podobnie jak dysydent z klubu PiS, b. minister zdrowia Wojciech Maksymowicz.

JAN WRÓBEL, NAUCZYCIEL HISTORII:

Współczesność, głupcze!

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Nowy przedmiot w liceach, historia Polski XX i XXI wieku, ma sens?



TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

JAN WRÓBEL: Niewielka jest nadzieja, że to będzie przedmiot ciekawy i sensownie wprowadzony, zmieniający reputację szkolnej historii jako nieciekawego kursu archeologii. Ministerstwo robi zwykle tak: ląduje helikopter, wypadają komandosi – czytaj: reformatorzy – i przystępują do „wdrażania”, zamiast zebrać najpierw kilkudziesięcioro nauczycieli historii i zapytać, co należałoby zmienić. Tym razem też zrobiono jak zwykle.

A może to sposób na odwieczny problem – nauczyciele kończą kurs na II wojnie, na więcej nie ma czasu?
I nadal nie będzie. Kolejne rządy dokładają treści do podstaw programowych, twierdząc za każdym razem, że to „absolutnie konieczne”. Potem nauczycielom i uczniom od tych koniecznych treści – ale też od zbyt dużej liczby przedmiotów i lekcji! – uginają się kolana.

Gdy wiceminister Tomasz Rzymkowski zapowiadał nowy przedmiot od 2022 r., mówił, że nie ma historii świata bez Polski – USA bez Kościuszki, odparcia islamu bez króla Jana. Uznając potęgę Polski, zapytam odwrotnie: da się opowiadać o Polsce bez kontekstu?
Da się. Chyba że traktujemy szkołę jak uniwersytet, z ambicjami rozumienia tzw. pełnego kontekstu. To złe podejście: szkoła ma pokazać, jaki jest mniej więcej świat. Choć rzeczywiście sensowniejszy byłby przedmiot pod nazwą „współczesność”, obejmujący nie tylko historię Polski i świata, ale też ważne dla rozumienia świata przemiany kulturowe.

Istnieje w ogóle „historia XXI wieku” czy to oksymoron stworzony po to, by wpisać do książek Jarosława Kaczyńskiego?
W PRL-u WOS i historia były traktowane serio. A mimo to ludzie, którzy tej historii się uczyli, zbudowali Solidarność. Zastąpienie Waryńskiego i Kasprzaka Kaczyńskimi też nie przyniesie skutku. Zresztą wątpię, by głównym celem było promowanie szefa PiS. Prędzej zaatakowanie ludzi, którzy nadali kształt III RP. To zresztą nic złego: uznanie, że szkoła ma bronić jednego środowiska, nawet zasłużonego, jest błędne. Ma uczyć krytycyzmu, dochodzenia do prawdy. Boję się tylko, że tu dochodzenie do prawdy nie będzie priorytetem – będzie nim poinformowanie, jaka jest „od dawna ukrywana” prawda o polskiej współczesności. ©℗

JAN WRÓBEL *jest nauczycielem historii w Społecznym Liceum „Bednarska” w Warszawie, które współzakładał, i był także jego dyrektorem.*



EPA / PAP

WPRAWDZIE DEMONSTRACJE SŁABNĄ, ale za to bardziej intesywna staje się wojna partyzancka – tak można opisać sytuację w Mjanmie (dawniej Birma) cztery miesiące po wojskowym puczu. Armia krwawo tłumi protesty obywatelskie – od lutego zginęło w nich ponad 800 osób, w tym dzieci. Dzięki wsparciu Chin juncie nie grożą też poważniejsze sankcje międzynarodowe. Efektem ubocznym puczu jest jednak nieformalny antyrządowy sojusz partyzantów z różnych mniejszości etnicznych, którzy ruszyli do ofensywy, korzystając z kłopotów armii, zajętej tłumieniem protestów na terenach zamieszkanych przez Birmańczyków. Milicje Karenów i Kaczinów oraz Szanów zajęły kilka ważnych instalacji i punktów kontrolowanych dotąd przez siły rządowe. Na posterunki i nawet lotniska spadają rakiety. Na zdjęciu: protest na ulicach Mandalaju, 22 maja 2021 r. ©℗ MR

Annalena Baerbock na celowniku Rosji

HORRORYSTYCZNE WIZJE tego, co czeka Niemcy, jeśli po wrześniowych wyborach władzę obejmą Zieloni, od parunastu dni zalewają niemiecki internet. Słyszymy, że Annalena Baerbock – nominowana pod koniec kwietnia przez Partię Zielonych na kandydatkę na urząd kanclerza – zlikwiduje świadczenia dla seniorów, by z tych pieniędzy finansować integrację uchodźców. Albo że w imię walki o klimat zakaże trzymania zwierząt domowych, że za młodu pozowała nago (przekazowi towarzyszą sfałszowane zdjęcia), że należy do „żydowskiego spisku" (foto z Sorosem) bądź do spisku niemieckich polityków, którzy za kulisami ustalili już, że to ona zastąpi Angelę Merkel.

To Rosja prowadzi tę kampanię – twierdzi dziennik „Bild", powołując się na źródła wywiadowcze w NATO. Przygotowania do niej miały trwać od kilku miesięcy, a decyzja o jej rozpoczęciu zapadła w ostatnich dniach. Celem jest dezawuowanie Baerbock i Zielonych, by zmniejszyć ich szanse na dobry wynik wyborczy i wejście do przyszłej koalicji.

Dlaczego Kreml wziął na celownik Baerbock? Zarówno ona, jak też inni politycy Zielonych, którzy nadają dziś kierunek tej partii, są znacznie bardziej krytyczni wobec Rosji niż politycy innych niemieckich ugrupowań. Jak ujął to cytowany przez „Bild" Cem Özdemir, jeden z liderów Zielonych, „Baerbock nie flirtuje z dyktatorami". Zieloni chcą, by Niemcy przybrały ostrzejszy kurs wobec Putina – zarówno wobec jego agresywnej polityki zagranicznej, jak i wobec tego, co dzieje się w samej Rosji (represje wobec opozycji, a także mniejszości, w tym osób LGBT). Są też przeciwni dokończeniu Nord Stream 2. Gdy idzie o Rosję, poglądy liderów Zielonych (z pokolenia, które jakiś czas temu zastąpiło ojców-założycieli tej partii) są podobne do stanowiska USA, Polski czy krajów bałtyckich.

Sondaże mówią, że przyszłego kanclerza desygnują chadecy albo Zieloni – te dwie formacje plasują się na przemian na ich czele. Sondaże sugerują też, że jeśli wygra chadecja, może utworzyć koalicję z Zielonymi. Niemiecka tradycja stanowi, że MSZ obejmuje mniejszy koalicjant. Nawet jeśli Baerbock nie zostałaby szefową rządu, miałaby w nim wpływ na politykę zagraniczną, a jej partia – zapewne także na politykę energetyczną. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Terroryzm państwowy



WOJCIECH KONOŃCZUK

Ten lot Ateny–Wilno przejdzie do historii. Gdy samolot linii Ryanair – zarejestrowany w Polsce, z ponad setką pasażerów – wszedł w przestrzeń powietrzną Białorusi, zaczęły się zaskakujące wydarzenia. Najpierw jeden z pasażerów (zapewne agent KGB) próbował wywołać awanturę z załogą, co miało zmusić pilota do przymusowego lądowania. Gdy to się nie udało, do boeinga podleciały białoruskie myśliwce, które zmusiły go do lądowania w Mińsku. Stało się to na dwie minuty przed planowym opuszczeniem przestrzeni powietrznej Białorusi, zaledwie 80 km od lotniska w Wilnie. Białoruska propaganda kłamliwie twierdzi, że na pokładzie mogła być bomba, i ignoruje fakt, że do Mińska było dalej niż do Wilna (niemal 200 km).

Po co była ta operacja? Na pokładzie uprowadzonego samolotu znajdował się Raman Protasiewicz, jeden z głównych wrogów reżimu Łukaszenki. Jest on współtwórcą sukcesu kanału Nexta, funkcjonującego na komunikatorze Telegram i nadającego z Warszawy (Protasiewicz otrzymał w Polsce azyl polityczny i miał też polską ochronę, dopóki tu mieszkał; na przełomie roku przeniósł się do Wilna), jednego z głównych niezależnych mediów białoruskich. Reżim Łukaszenki jest – nie bez racji – przekonany, że bez Nexty nie byłoby tak masowych i długotrwałych protestów powyborczych: jeśli ktoś próbował je koordynować, to kanały na Telegramie, na czele z Nextą.

Faktyczne porwanie samolotu i aresztowanie Protasiewicza wywołały ostrą krytykę państw unijnych. Pojawiły się słowa o terroryzmie państwowym i apele o sankcje. Białoruskie KGB (prawdopodobnie we współpracy ze służbami Rosji) przeprowadziło udaną, a zarazem bezczelną akcję. Stało się to także dlatego, gdyż reżim Łukaszenki, który od miesięcy terroryzuje własne społeczeństwo, ma poczucie bezkarności. Sankcje unijne były dotąd symboliczne. Oby tym razem nie pozostał bezkarny. ©

TOMASZ NOGAJ SJ, BYŁY MISJONARZ

Misje poza kontrolą

ARTUR SPORNIAK: Cykl tekstów „Gazety Wyborczej" o ks. Dariuszu Godawie pokazał, że na misjach można funkcjonować poza kontrolą. Jak się bronić przed patologiami?



ARCHIWUM PRYWATNE

O. TOMASZ NOGAJ SJ: Kilka warunków powinno być spełnionych – transparentność finansowa, dobry kontakt z przełożonymi i misjonarz nie powinien pracować sam. Nie można unikać regularnej kontroli finansowej. Gdy razem z jezuitą z Irlandii zakładałem przy misji gospodarstwo rolne w Sudanie Południowym, na ręce patrzyli mi i bank, i przełożeni, i sponsorzy.

Ci ostatni są zwykle daleko.
Dzisiaj łatwiej się komunikować. Gdy w Chicago zbierałem wśród Polonii na studnię w Sudanie, po jej wybudowaniu pokazywałem w internecie efekty zbiórki.

Kto był Ojca kościelnym przełożonym?
Nasza sudańska diecezja nie miała wtedy biskupa. Kierował nią administrator, który urzędował w tej samej miejscowości, więc kontakt mieliśmy prawie codziennie. Gdy jechał w teren, często zastępowałem go w odprawianiu mszy. Jako jezuita podlegałem dwóm prowincjałom – polskiemu i kenijskiemu.

Ojciec nie miał pokusy, jako Europejczyk, który uczy Sudańczyków nieznanych im upraw, by patrzeć na nich z góry?
Gdy rozpoczynaliśmy misję, nasz kenijski prowincjał powiedział: „Zaprzyjaźnijcie się z nimi i bądźcie z nimi. Niech ewangelizacja będzie Bożym, a nie waszym dziełem". Ludzie reagowali na nasze życie. Pytali np.: „Dlaczego twój Bóg, który jest duchem, ma dziecko z kobietą?" albo „Jak syn twojego Boga mógł umrzeć na krzyżu?".

Domyślam się, że nie jest łatwo odpowiedzieć.
Tak konkretnym językiem teologii nam nie wykładano.

Do kogo Ojciec zwracał się z trudnościami? Czy misjonarze nie powinni mieć kontaktu z psychologami?
Na miejscu byłoby to niemożliwe. Ale w trudnych chwilach mieliśmy siebie nawzajem. Misjonarz potrzebuje wspólnoty.

Jak były weryfikowane Ojca zdolności do pracy na misjach?
Na wyjazd czekałem 19 lat. Mój prowincjał mówił: „Poczekajmy, zobaczmy, czy wytrwasz". Do pracy w Sudanie Południowym pół roku przygotowywałem się w sąsiedniej Kenii. Pracowałem tam z Sudańczykami, więc miałem czas ich poznać. ©℗

O. TOMASZ NOGAJ *jest jezuitą Prowincji Polski Południowej. W latach 2014-16 pracował w Południowym Sudanie. Powrócił do Polski, gdy nasiliła się wojna domowa w tym regionie Afryki.*

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZYGOTOWANIA
W październiku ruszą prace nad Synodem Biskupów poświęconym synodalności Kościoła, który ostatecznie odbędzie się w 2023 r. W fazie diecezjalnej, która potrwa do kwietnia 2022 r., do wszystkich diecezji zostanie rozesłany m.in. kwestionariusz przeznaczony dla wiernych. Nowością będzie tzw. faza kontynentalna, podczas której dyskutować będą przedstawiciele episkopatów.

LIST
Jan Paweł II po zamachu „nie mógł zrozumieć, mniej nawet niż to, że próbowano go zabić, ale dlaczego ten człowiek nie mógł lub nie chciał żałować tego, co uczynił", wspomina Gian Franco Svidercoschi w liście otwartym do Mehmeta Ali Ağcy. 84-letni watykanista w 40. rocznicę zamachu poprosił sprawcę o wyrażenie skruchy i wyjaśnienie okoliczności ataku na papieża.

PRZEBACZENIE
Monika Kornecka z Krakowa (na zdj.) została laureatką Międzynarodowej Nagrody św. Rity, przyznawanej kobietom, które w swoim życiu zrealizowały ewangeliczne przesłanie o przebaczeniu. Wraz z mężem Kornecka przebaczyła zabójcy swojego 23-letniego syna. Po Mariannie Popiełuszko i piosenkarce Eleni, jest trzecią wyróżnioną Polką.



ARCHIWUM PRYWATNE

Święta na stosie

WBREW średniowiecznemu obyczajowi przed podłożeniem ognia pod stos nie skręcono jej karku – miała cierpieć. Umierając, patrzyła na krucyfiks i sześciokrotnie wykrzyczała imię Jezusa. 590 lat temu, 30 maja 1431 r., odbyła się egzekucja Joanny d'Arc.

Trwała wojna stuletnia: Anglicy po pasmie sukcesów militarnych niemal rzucili wrogów na kolana. Wtedy na dwór Karola VII przybyła Joanna, niepiśmienna kilkunastoletnia wieśniaczka z Lotaryngii. Jej relacje o wizjach, w których Bóg zachęca do wypędzenia z kraju Anglików, napełniły rycerstwo nadzieją. Joanna przywdziała zbroję, wyzwoliła oblężony Orlean i poprowadziła Karola do koronacyjnej katedry w Reims. Wkrótce potem wpadła w niewolę. Karol, zazdrosny o jej sławę, nie próbował jej ratować.

Anglicy, nie chcąc dawać Francuzom męczennicy, w wytoczonym jej procesie inkwizycyjnym usiłowali dowieść Joannie herezję. Jej błyskotliwe wypowiedzi z procesu trafiły nawet do współczesnego Katechizmu. W 1456 r. sąd papieski orzekł o nieważności wyroku skazującego i niewinności Joanny; w 1920 r. została kanonizowana. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Franciszek zmienia prawo kanoniczne

PRZESTĘPSTWO wykorzystywania seksualnego osób małoletnich zostanie w Kodeksie Prawa Kanonicznego wyodrębnione i znajdzie się w nowym rozdziale zatytułowanym „Przestępstwa przeciwko życiu, godności i wolności osoby". Obejmie on także kanony dotyczące zabójstwa, aborcji, uprowadzenia i handlu ludźmi. Zapowiedział to bp Juan Ignacio Arrieta Ochoa de Chinchetru, sekretarz Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych.

Jest to kolejny krok Franciszka w reformowaniu prawa kanonicznego. Wyodrębnienie nowego kanonu i umieszczenie pod nowym tytułem sprawi, „że na pierwszym planie nie będzie stał duchowny czy zakonnik łamiący swoje zobowiązania, ale ofiara takiego przestępstwa, czyli osoba małoletnia" – tłumaczy zmianę kanonista z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II ks. Piotr Majer.

©℗ ASK



© ZACHĘTA / NARODOWA GALERIA SZTUKI

KŁOPOT W RAJU. Odwiedzający polski pawilon na rozpoczętym właśnie Międzynarodowym Biennale Architektury w Wenecji obejrzą projekt „Trouble in Paradise". Przygotowany przez kolektyw PROLOG +1 we współpracy z twórcami z innych krajów, prezentuje on polską wieś jako miejsce posttransformacyjnych przeobrażeń i pokazuje, że dzisiejszy kryzys budownictwa wiąże się z brakiem planowania przestrzeni sąsiedzkich i tendencją ludzi do izolowania się. Tymczasem – jak przekonuje współpracujący z grupą PROLOG +1 zespół Rural Office for Architecture – obszary wiejskie są kluczowe dla budowania wspólnoty. Projektując osiedla i domy (na zdjęciu jedna z wizualizacji), walijscy architekci odwołali się do idei Oskara Hansena i Władysława Matlakowskiego, tradycji ruchu spółdzielczego oraz... ogródków działkowych. ©℗ MOCH

Templeton za nadzieję

BRYTYJSKA PRYMATOLOŻKA Jane Goodall otrzymała tegoroczną Nagrodę Templetona, przyznawaną za „wykorzystywanie potęgi nauki do eksplorowania najgłębszych pytań dotyczących wszechświata oraz miejsca i roli ludzkości w przyrodzie".

Goodall głęboko zajrzała w duszę szympansa – i duszę człowieka. W 1960 r., nie mając ani doświadczenia, ani wykształcenia, jako pierwsza zaczęła obserwacje szympansów żyjących na wolności. Odkryła, że małpy te wytwarzają narzędzia, posiadają bogate osobowości i prowadzą złożone życie społeczne: zawierają przyjaźnie i mają wrogów, troszczą się o bliskich, ale prowadzą też krwawe wojny z innymi stadami. Że przypominają nas nie tylko wyglądem, ale także przeżywanymi emocjami i zachowaniem. Jej książki zmieniły sposób, w jaki nauka patrzy na umysły innych zwierząt.

W latach 80. XX w. Goodall stała się aktywistką. Zaczęła walkę z wykorzystywaniem szympansów w badaniach biomedycznych, otwierała dla nich rezerwaty, a w ochronę przyrody zaangażowała lokalnych mieszkańców. Co roku dociera do dziesiątków krajów z wykładami i przesłaniem, że choć przyroda znalazła się w złej kondycji, wciąż możemy dać jej szansę się wyleczyć. ©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

WYSTAWA OŁOWSKIEJ
Przez miesiąc zwiedzający Simon Lee Gallery w Hongkongu będą oglądać prace Pauliny Ołowskiej. Wystawa „30 minut przed północą" prezentuje twórczość inspirowaną badaniem stereotypów, na których opierają się często reprezentacje kobiet w sztuce.

WYRÓŻNIENIE KRYNICKIEGO
Laureatem Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius" za całokształt pracy twórczej został poeta, wydawca i tłumacz Ryszard Krynicki. Gala wręczenia nagrody, podczas której zostaną ogłoszeni również zwycięzcy w kategoriach „książka" i „debiut roku", odbędzie się w październiku.

DOMEK KAPUŚCIŃSKIEGO
Dwa domki fińskie na Polu Mokotowskim, w tym ten, w którym zaraz po wojnie mieszkał Ryszard Kapuściński, zostaną przekształcone w centrum reportażu. Obok powstanie ogród społeczny i kameralna scena plenerowa.

GALA HIP-HOPU
Pierwsza edycja Lech Polish Hip-Hop Music Awards, wyróżniająca wykonawców najpopularniejszego gatunku muzycznego w Polsce, odbędzie się w sierpniu we wrocławskiej Hali Stulecia. Raperki i raperów wspierać będzie Płocka Orkiestra Symfoniczna im. Witolda Lutosławskiego pod batutą Jacka Piskorza.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

ŁUKASZ GRAJEWSKI opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM o tym, jak konflikt bliskowschodni przenosi się na niemieckie ulice (tekst na s. 46), w środę 26 maja o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Minimum dla artystek i artystów



PIOTR KOSIEWSKI

Ministerstwo Kultury przedstawiło projekt ustawy o uprawnieniach artysty – konsultacje nad nim potrwają do 2 czerwca. Ma ona zapewnić im minimum bezpieczeństwa socjalnego. To ważne, bo jak pokazało badanie Uniwersytetu SWPS z 2020 r., 60 proc. z nich znajduje się w trudnym, a aż 30 proc. w bardzo trudnym położeniu.

Projekt zakłada, że każdy twórca będzie mógł otrzymać dopłatę do składki na ubezpieczenia społeczne (od 20 do 80 proc. jej wysokości). Kwota będzie zależna od dochodów – wsparcia nie uzyskają zarabiający więcej niż przeciętne wynagrodzenie. Środki mają pochodzić z funkcjonującej od 1994 r. tzw. opłaty reprograficznej, która obejmie również nowe nośniki i urządzenia, m.in. komputery i tablety. Trafią one do Funduszu Wsparcia Artystów Zawodowych, a pomoc będzie mogła otrzymać każda osoba posiadająca udokumentowany dorobek lub będąca absolwentem uczelni artystycznej.

Niefortunne jest określenie „artysta zawodowy" – chociaż uzyskanie takiego statusu nie będzie warunkiem do prowadzenia działalności artystycznej. Większym problemem jest jednak „próg wejścia": potwierdzenie zawodu będzie wydawane przez stowarzyszenia artystyczne lub związki twórcze. Tyle że niektóre z nich nie są zbyt reprezentatywne dla tego, co dziś dzieje się w sztuce. Jest i pytanie: czy rządzący nie będą wykorzystywali Funduszu do wykluczania niepokornych?

Zabezpieczeniem przed politycznymi czy środowiskowymi manipulacjami ma być Polska Izba Artystów z radą, której 14 z 21 członków ma reprezentować organizacje artystyczne. Izba będzie czuwała nad dystrybucją środków i przyznawaniem uprawnień. Kluczowy będzie zatem jej skład oraz sposób funkcjonowania. Musi powstać przejrzysty, mało zbiurokratyzowany system, bez partyjnych wpływów. W przeciwnym razie nie uda się zbudować społecznego zrozumienia dla idei wsparcia twórców, a sam pomysł zostanie skutecznie ośmieszony. ©



TEMAT TYGODNIKA

NIEZADANE

Dlaczego między córkami a matkami jest aż tyle bólu?
Najlepsze, co samej sobie mogę odpowiedzieć, jest to, że pod spodem bólu jest miłość.
Ktoś, kogo nie kochamy, nie może nas aż tak zranić.

TEKST NATALIA DE BARBARO | ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

Idę po następną kawę, przekładam książki, poprawiam poduszki, a laptop już któryś raz przygasa od mojej bezczynności. Zwlekam. Czuję, że kiedy zacznę pisać ten tekst, stanę naprzeciwko czegoś nieskończenie skomplikowanego, a równocześnie tak ważnego, że nie można po prostu przejść obok tego tak, jak obok innych rzeczy nieskończenie skomplikowanych.

Poproszono mnie o napisanie artykułu o relacji między matką i córką, a zamawiający redaktor nazwał tę relację „osią świata". Czując, że potrzebuję pomocy, zapytałam liczne facebookowe znajome: „Jakie ważne pytanie chciałybyśmy postawić swoim matkom i córkom, ale nie byłyśmy gotowe?". Dostałam łącznie kilkaset odpowiedzi, głównie w prywatnych wiadomościach. Zdecydowana większość to pytania dorosłych córek do matek, a nie matek do dorastających córek.

Treść tych pytań poruszyła mnie do tego stopnia, że postanowiłam uczynić je osią tekstu. A potem je uporządkowałam, poruszając się na skali od tego, które zawiera najwięcej bólu, do tego, które zawiera najwięcej miłości, świadoma ograniczenia tego podziału – bo pod bólem przecież też jest miłość. Być może więc jest to skala od miłości zranionej do miłości doznanej.

Jak mogłaś? Jak mogłaś!

To pytanie zadawane najczęściej, choć nie zawsze tymi słowy. I w gruncie rzeczy nie zawsze będące pytaniem: nieczekające na odpowiedź, pozbawione ciekawości, wyrażające jedynie ból.

Jak mogłaś mnie nienawidzić. Jak mogłaś nigdy mnie nie przytulić. Jak mogłaś nigdy mi nie powiedzieć, że mnie kochasz. Jak mogłaś całe życie mnie upokarzać. Jak mogłaś codziennie okazywać mi niechęć. I, powtarzające się: jak mogłaś mnie nie obronić przed przemocą ojca. Jak mogłaś pozwalać, żebym patrzyła na przemoc.

Rana, którą jest niebędące pytaniem pytanie, nawet jeśli pozornie zabliźniona lub zaklejona prowizorycznym plastrem, wydaje się ciągle krwawić. Kobiety, których nigdy nie poznałam osobiście, pisały mi, że płaczą, pisząc je w prywatnej wiadomości i dla porządku stawiając na końcu znak zapytania, chociaż ten najgłębszy z wyrzutów tak naprawdę kończy się wykrzyknikiem. Jak mogłaś!

Patrzę na to zdanie, biorę je do ręki jak chore pisklę, próbując podtrzymywać w sobie nadzieję, że to, co piszę, może być jakimś krokiem na mozolnej i niepewnej drodze do zdrowienia.

Jak mogłaś – zbliżając się do tego zdania myślę najpierw o tym, że najczęściej matka jest dla niemowlęcia Wszystkim. Wszechświatem, Bogiem, Boginią, Źródłem informacji – na poziomie faktów psychicznych – na temat tego, co to za miejsce: świat, na który przyszliśmy (Bogiem i Boginią równoległą może też być ojciec, inny opiekun czy opiekunka, tutaj jednak, pisząc o matkach i córkach, patrzę na te sto procent, którego źródłem jest matka).

To pierwsza okoliczność. Od matki/opiekunki zależy tak wiele, że właściwie wszystko. Jej drżenie oznacza, że drży świat. Jej spokój i ciepło oznacza, że świat jest bezpieczny. Jej grymas dezaprobaty oznacza, że świat nie kocha. Szale się chwieją, wahając się pomiędzy „tak" i „nie", mówione nam przez matkę, czyli świat.

Kiedy dwudziestoletnia dziewczyna zachodzi w ciążę, bo w jakiś piątkowy wieczór dała się namówić przyjaciółce, żeby pójść na fajną imprezę, i kiedy tylko weszła, jej wzrok padł na magnetycznie przystojnego kolegę z drugiego roku, a potem zdecydowała się urodzić dziecko, ta dziewczyna nie wie, że dziewięć miesięcy po tamtej nocy zostanie Całym Światem innego człowieka i że od niej w dużej mierze będzie zależało, czy ten człowiek będzie miał szczęśliwe życie.

Kiedy trzydziestoletnia kobieta, która ani od swojej matki, ani od ojca, ani od przyjaciółki, ani od księdza, ani od nikogo innego nie miała jak się nauczyć, co to znaczy tworzyć bezpieczną więź – kiedy ta kobieta rodzi córkę, nie wie, że niniejszym zostaje czyimś Bogiem, a każdy jej niepokój, smutek, każda jej złość, radość czy poczucie spokoju są zasysane z wielką mocą przez dziecko i stają się substancją budującą tkankę czyjegoś świata, na zawsze. Większości kobiet nikt tego nie mówi. Nikt w bezpieczny, spokojny, kompetentny sposób nie przygotowuje na odpowiedzialność, którą poniosą przez sam fakt zostania matką. Zamiast ↦

↦ tego oglądamy idylliczne obrazki na reklamach pieluch i dziecięcych wózków.

Pierwsza okoliczność stojąca za broczącym w sercach dorosłych kobiet „Jak mogłaś?" jest związana z tym, czego nie wie matka. Druga jest związana z tym, czego nie wie córka, która stawia takie pytanie. Córka nie wie, że matka jest człowiekiem. A dokładnie – wie, ale nie wie. Wie, ale nie czuje swoim sercem, brzuchem, łonem.

Różnica jest zasadnicza. Marion Woodman, słynna jungowska terapeutka i pisarka, w jednej ze swoich książek mówi, że różnica między tym, że coś się wie umysłem, a tym, że coś poczuje się w sobie, w ciele swojego życia, jest taka, jak różnica między chłodną świadomością tego, że gatunek ludzki jest śmiertelny, a dowiedzeniem się właśnie od lekarza, że zapadliśmy na nieuleczalną chorobę. Podobnie wydaje się być w tym przypadku: córka, w której rozbrzmiewa pytanie do matki „Jak mogłaś?", teoretycznie wie, że matka jest człowiekiem, ale nie przepuszcza tej świadomości przez swoje ciało; głowa wie, serce nie wie.

Serce córki nie wie, że jej matka miała matkę. Że jej babka miała matkę. Że prababka miała matkę. Córka nie czuje, że jej matka, babka, prababka wyszły kiedyś z łona na świat, który mógł okazać się zimny, drżący, zlodowaciały albo po prostu odwrócony plecami do tamtego dziecka. Córka, która stoi wobec pytania „Jak mogłaś?", nie widzi małej dziewczynki, którą była jej mama. Nie słyszy słów, które słyszała tamta dziewczynka. Nie czuje jej strachu, smutku, opuszczenia, a tym bardziej nie ma odruchu, żeby wchodzić z tamtą dziewczynką w jakąś współczującą rozmowę.

I to jest absolutnie zrozumiałe. Stojąc w „Jak mogłaś?" możemy czuć tylko swój ból. W relacji tak fundamentalnej, jak relacja matka–córka, nie da się zrobić miejsca na ból matki, dopóki nie zrobimy miejsca na swój własny. Nasza dziewczynka idzie przodem. A czasem nawet nie idzie, siedzi w kącie.

Dlaczego mi to robiłaś?

To pytanie, drugie z trzech najczęściej niezadanych, różni się, wbrew pozorom, od „Jak mogłaś?". Znak zapytania, który je kończy, wydaje się naprawdę czekać na jakąś odpowiedź, chociaż bólu dalej jest dużo, a to coś, co następuje po „dlaczego", jest prawie zawsze rodzajem oskarżenia. A oskarżenie prawie zawsze dotyczy tego, co córka postrzega jako niezgodę matki na nią.

Dlaczego przez całe życie mnie obwiniałaś? Dlaczego nigdy nie byłam dla ciebie dość dobra? Dlaczego nawet teraz, kiedy jestem dorosłą kobietą, ciągle mnie krytykujesz? Dlaczego nie nauczyłaś mnie być kobietą? Dlaczego mnie biłaś? Dlaczego zawsze wolałaś mojego brata? Dlaczego obwiniałaś mnie o wszystkie swoje nieszczęścia? Dlaczego mnie urodziłaś, skoro całe życie mi to wypominałaś?

Czytam te pytania, zarówno ich rozpaczliwą litanię płynącą przez moją skrzynkę odbiorczą, jak i tę nieco mniej rozpaczliwą, umieszczoną publicznie na mojej facebookowej ścianie, i czuję, jak przez moje ciało przechodzi fala smutku.

Dlaczego nigdy ze mną nie rozmawiałaś? Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mi, że mnie kochasz? Dlaczego traktowałaś mnie jak rywalkę?

Tak postawione pytanie, w przeciwieństwie do „Jak mogłaś?", zostawia furtkę na odpowiedź. Furtka nie jest otwarta na oścież, jedynie uchylona, ale jednak gdyby stojące po dwóch jej stronach matka i córka obie tego chciały, może udałoby się przez nią przejść. A może nawet wystarczyłoby, żeby córka chciała znaleźć się po drugiej stronie – bo matka nie umiałaby na tak ostro zadane pytanie odpowiedzieć albo, być może, już nie żyje.

Gdyby córka zdecydowała się na samodzielne szukanie odpowiedzi, być może udałoby się jej zobaczyć nowy krajobraz. Być może, traktując znak zapytania jako zaproszenie dla siebie samej, udałoby się przepisać scenariusz.

Jako serialowa psychofanka wiem, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech słabych seriali jest to, że podział na dobrych i złych jest sztywny i od razu wiadomo, kto jest po której stronie. Np. za kierownicą jadącego zbyt szybko samochodu siedzi ponury przystojniak o zmrużonych od knucia oczach i zaciśniętej z wściekłości szczęce. Albo do pokoju wchodzi ubrana w ciasną garsonkę bizneswoman z zasznurowanymi ustami i bezwzględną miną. Edie Falco, grająca tytułową rolę w bardzo dobrym „Nurse Jackie", powiedziała kiedyś, że cechą nowych seriali jest natomiast złożoność postaci: są dobro-źli, oburzamy się na nich, wzruszamy się nimi, mówimy „ja nigdy bym tak nie zrobiła", a potem „chciałabym umieć zrobić tak, jak ona". Kiedy patrzymy na nasze niedoskonałe matki, czasami widzimy je tak, jak gdyby nasze życie, przynajmniej w tym aspekcie, było słabym serialem.

Co może pomóc córce zobaczyć matkę jako postać wieloznaczną, którą niewątpliwie była, nawet jeśli robiła rzeczy straszne?

Po pierwsze, paradoksalnie: bezkompromisowe, odważne, skupione spojrzenie na krzywdę, której doznała jako córka. Na warsztatach dla kobiet, które prowadzę, powtarzają się straszne, w pierwszym odruchu chciałoby się powiedzieć: niewybaczalne obrazy. Matki, które biją swoje dzieci. Matki, które wysyłają sześcio-, siedmioletnie córeczki do knajpy po pijanego ojca, bo wiedzą, że córeczka tatusia z knajpy wyciągnie, a żona już nie. Matki, które dosłownie zasłaniają się dziećmi, kiedy ojciec chce je uderzyć. Matki, które zjadliwie komentują każdy strój, fryzurę, samodzielną opinię. Takie rzeczy działy się – zwłaszcza w pokoleniu matek, które dzisiaj są starszymi paniami – tak często, że rozmiary tych nieszczęść przygniatają mnie czasem do ziemi, chociaż sama ich nie doświadczałam.

Bez spojrzenia na swoją krzywdę córka nie może przebaczyć, bo nie weszła w kontakt z tym, co jest do wybaczenia. Bez wybaczenia nie ma szansy pójść dalej, być może aż do wdzięczności za to, co, mimo wszystko, dostała. Spojrzenie na tę krzywdę to powrót do własnych początków, powrót do tamtej dziewczynki, która przecież ciągle w nas jest. Kobieta, która zadaje różne wersje pytania „Dlaczego mnie nie kochałaś?" lub „Dlaczego zachowywałaś się tak, że nie czułam twojej miłości?", miałaby teraz wykonać coś, co w terapii nazywa się reparentingiem, czyli ponownym wzięciem w opiekę siebie – tam, gdzie nasi rodzice nie umieli tego zrobić.

Ten powrót do siebie samej wydaje mi się podobny do japońskiej sztuki *kintsugi*, w której rozbite naczynia skleja się złotą nicią. „Widzę cię. Widzę twoje cierpienie. To nie jest w porządku, że tego doświadczałaś" – tak do siebie powiedzieć, powiedzieć to naprawdę, to głęboka praca wymagająca odwagi i dojrzałości. Praca niemająca przy tym charakteru wyprawy wysokogórskiej, która kończy się triumfalnym zatknięciem flagi na szczycie –

a potem wszystko jest już raz na zawsze posprzątane.

Widzę tę pracę jako żmudną i długotrwałą i wierzę, że będzie potencjalnie bardziej owocna, jeśli zostanie ubrana w strukturę jakiegoś procesu – terapii, medytacji czy choćby rozmów z kimś bliskim. Będzie to więc raczej proces schodzenia w dół, w głąb niż do góry czy do przodu. Bardziej jaskinia, studnia, dno morza i tam, jak w wierszu Adrienne Rich „Nurkując do środka wraku" – właśnie wrak, w środku którego od dawna czeka dziewczynka.

Kilka zdań od autorki

Tym, co sama mogę dodać, mając do dyspozycji tylko to niedoskonałe narzędzie, jakim są słowa, jest parę zdań, które w dodatku mogą wzbudzić opór u tych, które pytają swoich matek „Dlaczego mi to zrobiłaś?". Nawet jeśli nie mam pewności, czy wolno mi je napisać.

Pierwsze zdanie brzmi: twoja matka cię kochała. Prawie na pewno. Jeśli twój wzrok pada na „prawie" – powstaje pytanie, czy możesz go przenieść na tę drugą stronę. Czy można by zanieść – terapeutce, przyjaciółce, samej mamie – taką hipotezę? Czy można by przez dzień, godzinę, dziesięć minut, spróbować w to uwierzyć? Czy można by przyjąć, że to, co brałaś za niemiłość, było nieumiejętnością, jakimś rodzajem kalectwa, świadectwem braku, wyrwy, bólu i głodu twojej mamy? Gdyby popatrzeć nie na sam akt krzywdy, ale na to, co było wokół i co było przedtem w jej życiu – czy można by zobaczyć miłość jako coś, co szukało wyrazu, ale nie potrafiło go znaleźć? (Dopiszę jeszcze to – dziecko nigdy nie jest winne krzywdzie, której doświadcza. Dziecko jest dzieckiem i zawsze należy mu się miłość. Patrzenie na kontekst matki nigdy nie może się skończyć samoobwinieniem dziecka.)

Drugie zdanie brzmi: doświadczyłaś także dobra, nawet jeśli go nie pamiętasz. Psychologowie zbadali, że bodziec negatywny oddziałuje na nas z nawet pięciokrotnie większą siłą niż pozytywny. Ten sam mechanizm znany jest pod nazwą prawa hedonistycznej asymetrii – to, czego nam brakuje, oddziałuje silniej niż to, co jest. Jeśli w pokoju, w którym czytasz te słowa, temperatura powietrza jest w porządku, nie zwrócisz na to uwagi. Jeśli stanie się za zimno albo za gorąco, twój organizm zacznie protestować.

Pierwsza okoliczność stojąca za broczącym w sercach dorosłych kobiet „Jak mogłaś?" jest związana z tym, czego nie wie matka. Druga jest związana z tym, **czego nie wie córka,** która stawia takie pytanie.

Ten sam mechanizm może zadecydować o tym, że zapomnisz, jak mama, która była na co dzień krytyczna, chwaliła się twoimi osiągnięciami swoim koleżankom. Że wykonywała mnóstwo czynności okołodomowych, których intencją był twój dobry byt – nawet jeśli robiła ci z tego powodu wyrzuty i zapominała przy okazji o serdecznej rozmowie – to jednak się działo i nie może zupełnie się nie liczyć. Możesz zapomnieć również, że czasem plotła ci warkocze (chciałaś mieć krótkie włosy, ale ona się nie zgadzała) i w jej dotyku było coś, co można by uznać za czułość.

Trzecia rzecz, która może stać się kładką pomiędzy poczuciem krzywdy a wybaczeniem (i może nawet wdzięcznością) dotyczy mechanizmów psychologicznych. Wiele bólu, którego doznajemy od matek, jest związanego z dokonywanymi przez nie projekcjami. Matka, która ma w sobie spokojną wiarę w to, że jest wartościowym człowiekiem, nie krzyknie na córkę, że ta jest zerem. Matka lubiąca swoją zmysłowość nie będzie wyzywać córki od dziwek, kiedy ta pomaluje usta. Matka, która jest w czułym związku ze swoim partnerem, nie będzie wmawiać córce, że wszyscy mężczyźni to świnie. W tym sensie nasze deficyty i pretensje warunkują nasze niesprawiedliwe słowa wobec bliskich.

I jeszcze jedno – matka, która nie umie odróżnić swoich wyborów od wyborów córki, może ją atakować za to, że córka robi coś, po co ona sama nie umiała sięgnąć. „Po co ci jechać do miasta? Źle ci tutaj?" – spyta matka, która nawet nie pamięta, że na dnie jej serca śpi niespełnione marzenie o tzw. wyrwaniu się z małego miasta. „Jak to się rozwodzisz?" – spyta matka, która przez lata była w nieszczęśliwym związku. Wolne wybory jej córki – tej, która wyszła z jej ciała, która jest w jakimś sensie nią – grożą niemożliwym do zniesienia podejrzeniem, że to, co uznała za smutną konieczność, mogło być wyborem; że, być może, w jakimś aspekcie, zmarnowała kawałek życia. Kiedy jako córka zobaczysz ten mechanizm, może będzie ci łatwiej nie widzieć jego bolesnych dla ciebie skutków jako niemiłości.

I coś może najważniejszego: na tyle, na ile mamy wybór, „opłaca się" nam uwierzyć w historię o, być może kalekiej, ale jednak miłości. Dopóki będziemy wierzyć w niemiłość, trudniej będzie nam pokochać i swoje córki, i siebie same.

Jak to było być tobą?

Przede mną już właściwie końcówka tekstu: dochodzę do najbardziej pogodnej i pozbawionej bólu kategorii pytań niezadanych matkom. Kiedy to robię, czuję, jak moje ciało zaczyna inaczej oddychać. Jakby odzyskiwało przestrzeń po bezdechu dwóch poprzednich pytań.

Jak to było być tobą, mamo? Jak ci było, kiedy byłaś dziewczynką? Co czułaś w ciąży? Jak znalazłaś w sobie aż tyle siły w takich trudnych okolicznościach? Jaka chwila w twoim życiu była dla ciebie najważniejsza?

Trzecia kategoria pytań niezadanych matce to pytania zadane z miejsca, w którym można sobie pozwolić na płynącą z miłości ciekawość. Tych pytań, niestety, padło najmniej. A jednak wielu z nas udało się dotrzeć do miejsca wdzięczności dla naszych mam. Są takie córki, dla których ta wdzięczność nie wymagała żadnego wysiłku – dostały tyle ciepła, serdeczności, czułości, że po kilku niewielkich zawieruchach i paru pomniejszych pretensjach weszły w dorosłości w równie pełną ciepła, serdeczności i czułości więź ze swoją mamą, teraz już bardziej przypominającą przyjaźń dwóch niezwykle bliskich sobie kobiet. Ile jest takich związków między matkami a córkami? Nie wiem. Być może kobiety pozostające w takich dobrych więziach nie rwały się do odpowiadania na moje pytanie; być może statystyki przypominałyby te, które uznają, że tzw. bezpieczne więzi z rodzicami ma połowa dzieci.

Dla innych córek droga do wdzięczności była wyboista. Jeszcze inne – znam takie kobiety – wykonały pracę wręcz heroiczną, wybaczając swoim matkom. Miały ↦

↦ dwie dobre sceny z dzieciństwa na krzyż i morze krzywdy, ale zrobiły wirtuozerską zupę z gwoździa, same budując dobre domy i odbudowując więź z matką, która często nawet na starość z trudnością potrafi to przyjąć. Przed tymi córkami kłaniam się do ziemi. I przed ich matkami – bo przecież coś jednak dobrego musiało tam być, jakiś promyk światła, choćby tylko przedostający się przez szparę spod zatrzaśniętych drzwi, jeśli udało się z czegoś, co totalnie wyglądało na niemiłość, zrobić jednak miłość.

Historia o miłości

Nie znalazłam spokojnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego pomiędzy córkami a matkami jest aż tyle bólu. Najlepszym, co samej sobie mogę powiedzieć, jest to, że pod spodem bólu jest miłość – ktoś, kogo nie kochamy, nie może nas aż tak zranić.

I jeszcze jedno – w swojej pracy z kobietami patrzę z bliska na pokolenie matek, których córki są teraz nastolatkami albo młodymi kobietami. Praca, jaką wykonało to pokolenie, wydaje mi się gigantyczna. Nikt o tym nie pisze na żółtych ani czerwonych paskach w programach informacyjnych; nikt nie stawia tym matkom pomników – a jednak to ich praca sprawia, że dziewczyny i kobiety, które jesienią wyszły na ulice polskich miast, mają nieporównanie większe niż kobiety w moim wieku – i niż nasze matki – poczucie własnej integralności, wolności i przyjaźni ze sobą samą. Tej przyjaźni uczyły się od swoich matek.

Jedna z nich, kobieta po czterdziestce, napisała mi tak: „Temat, o którym chcesz pisać, jest szczególnie dla mnie ważny, odkąd zostałam mamą, a szczególnie, kiedy zaczęłam nad sobą pracować, żeby być realnie, wystarczająco dobrą mamą dla Nadii. Jestem jej niezmiernie wdzięczna za odwagę wykrzyczenia, jak to jest okropnie być moją córką. (...) Dzięki tej drodze, trudnej i krętej, i pełnej dziur oraz włoskich poziomów emocji, mam bliską, autentyczną relację z Nadią i mega wzrusza mnie to. (...) Nie mam problemu, żeby zadawać jej trudne pytania, i Nadia także zachowała tę odwagę. Jak jest naprawdę niezręcznie, to zakładamy koce na głowę, siadamy w różnych końcach pokoju i jedziemy z trudnymi pytaniami i trudnymi tematami. Potem każda idzie ochłonąć. I wiesz, z czasem nie potrzeba koców”.

© NATALIA DE BARBARO

Autorka jest psycholożką i socjolożką. Prowadzi warsztaty dla kobiet Własny Pokój, ostatnio opublikowała książkę „Czuła przewodniczka. Kobieca droga do siebie”.

Mama mamy

MIRA MARCINÓW, FILOZOFKA I PISARKA:

Doświadczenie relacji matki i córki jest tak indywidualne, że tylko opowiadając o nim osobiście możemy przedstawić coś, co nie jest kulturowym wymysłem.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: **Pamiętasz jej zapach?**

MIRA MARCINÓW: Wszędzie bym go rozpoznała. Poza tym są perfumy, kremy, których używała. Wystarczy otworzyć flakonik.

Ale z wywołaniem zapachów jest jak z wywoływaniem duchów.

Absorbujące?

Pytasz o to w momencie, gdy ja nie chcę wywoływać zapachu matki i pozwalam sobie, by czuć i lubić inne zapachy. Moja mama zmarła ponad cztery lata temu. Nadal uważam, że „utrata córki przez matkę i matki przez córkę jest podstawową kobiecą tragedią”, jak pisała Adrienne Rich w książce „Zrodzone z kobiety”. Zgadzam się z nią w tym, że za najważniejsze wcielenie ludzkiej tragedii w naszej kulturze uchodzą dramaty o synach i matkach, jak „Hamlet” czy „Król Edyp”, albo ojcach i córkach, jak w „Królu Learze”. Ale już nie chcę codziennie przypominać o tym, że utraciliśmy rozpoznanie namiętności między matką i córką, bo zapomnieliśmy o misteriach eleuzyjskich – uroczystości ku czci dwóch bogiń, matki i córki, Demeter i Persefony.

„Bezmatek” jest właśnie o sile tej relacji i tragedii związanej ze śmiercią Twojej mamy.

Bezmatek to ul pszczeli, w którym umarła królowa matka. Niemal codziennie dostaję wiadomości od kobiet, które straciły matki. Muszę przyznać, że to pochłaniające. A maj jest pod tym względem jeszcze intensywniejszy. Mamy Dzień Matki, ale nie mamy Dnia Bezmatka. Sama pierwszy Dzień Matki po śmierci mojej mamy spędziłam tak, że przygotowałam wystawę jej obrazów. Obawiałam się, że nie wstanę z łóżka, bo to było dwa miesiące po jej odejściu. Ale w tym pierwotnym żałobnym zaabsorbowaniu człowiek znajduje się w fazie zadaniowości – zdolny jest wykonać różne trudne rzeczy. Sądzi, że można się jeszcze przydać. Naiwnie wierzy, że da się jakoś zaprzeczyć śmierci, uczepić się życia, postawić pomnik umarłej, na pewien sposób ją ocalić.

A Dzień Matki za jej życia?

Uwielbiałyśmy go celebrować. Mam entuzjastyczne podejście do możliwości świętowania tego, co dla mnie ważne. Jako dziecko robiłam oczywiście laurki dla mamy, śpiewałam piosenki, układałam wierszyki, zbierałam kwiaty. Potem, jak już miewałam własne pieniądze – było bardziej uroczyście. Choć dziś myślę, że jako nastolatka miałam nietypowe podejście do tego, jak można zarobić – np. na konkursie poetyckim. Za pierwsze miejsce dostałam całe sto złotych i zamiast polnych kwiatów kupiłam mamie konwalie, perfumy, zaprosiłam na pizzę. A zaraz po studiach, gdy fundusze były większe, organizowałam majowe wyjazdy – raz do Toskanii, kiedy indziej do Budapesztu. Jak na moje możliwości finansowe, zawsze bardzo hucznie obchodziłyśmy to święto.

Lecz kilkudniowa podróż z własną matką może być wyzwaniem.

Bo?

Podróż dorosłej córki i matki to nie jest żadne kino drogi, raczej kino grozy albo moralnego niepokoju. Spanie w jednym pokoju, zdanie tylko na siebie nawzajem, trudne



JACEK PIOTROWSKI / HECTIQ STUDIO

MIRA MARCINÓW (ur. 1985) studiowała na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Humanistycznych UJ, gdzie obroniła doktorat z psychologii. Pracuje w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.
Wydała książki: „Szaleństwo jako wybór" (2012), „Niezabliźniona rana Narcyza" (2018, z Bartłomiejem Dobroczyńskim) oraz „Historia polskiego szaleństwa" (2018). Za prozatorski debiut „Bezmatek" otrzymała w 2021 r. Paszport „Polityki".

rozmowy, na które jakoś nigdy nie było czasu. Cała ta intensywność. W dodatku moja mama kopciła jak smok. Poszukiwania pokoju dla palących w Europie Zachodniej przypominały te, o których czytałam tylko u Houellebecqa w „Serotoninie". Właściwie to było niewykonalne. Groziło karą w euro. Pretensje mojej mamy o to, że nie może „jak normalny człowiek" wypalić papierosa przy kawie w pokoju, dziś wydają mi się zabawne – wtedy doprowadzały mnie do furii.

A może jednak gdyby podróże córek i matek były gatunkiem filmowym, to byłaby to czarna komedia? W każdym razie z przerażeniem słucham opowieści koleżanek, które mieszkają z matkami – zastanawiam się, jak tak okrutny eksperyment może się udać? Ale jest w tym też resentyment i element zazdrości – bo one żyją blisko z własną mamą. To może być piękne.

Dlaczego bywa trudne?

Może dlatego, że na początku matka jest całym naszym światem. I to dosłownie.

W pierwszej fazie rozwoju dziecko poznaje świat przez matczyne ciało, w tym sensie relacja z matką jest najważniejsza i najpełniejsza. Matka zaspokaja i reguluje wszystkie potrzeby dziecka. Ale też to ona przynosi pierwsze i największe rozczarowanie. Bo jednak nie zaspokoi każdej naszej niezwerbalizowanej potrzeby, jakkolwiek by się starała. To przez te pierwsze relacje uczymy się doświadczać różnego rodzaju strat. Dziecko, by przetrwać, musi na początku żyć w symbiozie z matką, a potem wyjść z tej pierwotnej relacji, odseparować się.

Ale dlaczego szczególnie trudny jest właśnie związek matki i córki?

Freud pisał o ambiwalencji wpisanej w tę relację, a ambiwalencja jest zawsze wyzwaniem. Lecz więcej miejsca poświęca on parom: córka–ojciec i syn––matka, czyli dwóm kompleksom: Elektry i Edypa. Zagadnienie córectwa marginalizuje. Dużo jest do przerobienia.

Do opowiedzenia?

Tak. Mamy za mało narracji samych kobiet na temat przeżywania kontaktu matki i córki. Tu pojawia się paradoks: doświadczenie relacji z matką jest tak indywidualne, że tylko opowiadając o nim osobiście możemy przedstawić coś, co nie jest kulturowym wymysłem.

Wymysłem tego, jak ta relacja powinna wyglądać?

Mamy znakomicie rozwiniętą kulturę zawłaszczania tej pierwotnej relacji społecznej. „Instytucję macierzyństwa", czyli wrogie kobiecości wyobrażenia, jaka powinna być córka, a jeszcze bardziej: jaka powinna być matka. W każdym razie presja społeczna jest ogromna, oczekiwania wobec roli matki kosmiczne i rozjeżdżające się z jakością, dynamiką i temperaturą relacji konkretnych kobiet.

Matka „społeczna" musi umieć wybrnąć z opresji psychicznych i fizycznych. Być oazą spokoju, stałości, mądrości, opanowania, sprytu, przedsiębiorczości.

To, o czym mówisz, to matka fantazmatyczna, nie realna. Albo Matka Boża – obraz dobrej matki wyklucza się z jej seksualnością. Swoją drogą wiemy trochę o relacji Jezusa Chrystusa ze swoją matką. Ale nie wiemy o tym, jaką córką była Maria z Nazaretu. Podobnie biblijna Ewa, nie została zrodzona z matki i miała synów, nie córki. Od początku brakuje nam tych kluczowych opowieści, jak być córką i jak być matką córki. W baśniach „dobra matka" szybko umiera. Realna matka paraliżuje córkę. Nie znamy dalszej historii życia matki i dorosłej córki. Mamy za to złą macochę, która mieści w sobie to, czego nie może udźwignąć tradycyjny obraz macierzyństwa. Ewentualnie mamy historie złych teściowych.

Widzę konieczność demontażu tych stereotypów, bo nie przynoszą nic dobrego, zwłaszcza kobietom. Lecz presja społeczna wobec matek jest olbrzymia: jest nacisk, by uzasadniać każdą swoją decyzję rodzicielską, który same potem uwewnętrzniamy. Męczące jest ciągłe usprawiedliwianie się, nie tylko przed innymi, ale i przed samą sobą.

Usprawiedliwiasz się?

Jestem podejrzliwa. I uporczywie przyglądam się sobie jako matce. Jeśli w pracy naukowej przydaje mi się podejrzliwość, to w życiu osobistym bywa męcząca.

Aż tak? ↦

↦ Aż tak, a nawet bardziej. Najpierw byłam podejrzliwa wobec feministycznej mistyki macierzyństwa, czyli presji, by zostać matką. Czytałam takie książki, jak „Historia miłości macierzyńskiej" Élisabeth Badinter, rozprawiające się z mitem uniwersalnego instynktu macierzyńskiego.

Następnie podjęliśmy decyzję, by mieć dzieci, wejść z nimi w relację, która bardzo dużo wymaga. Jak do tego dodasz, że chciałam i chcę dalej zajmować się psychologią i filozofią, a przede wszystkim pisać, to wymaga naprawdę wiele.

Wszystko.

Z uwagą obserwuję twórczość literacką kobiet, które mają dzieci, szczególnie małe i bardzo wymagające. I dostrzegam wspólny mianownik: ich pisanie jest fragmentaryczne, ma formę wymuszoną przez okoliczności zewnętrzne – chroniczny brak czasu, snu, łapanie każdej chwili na moment tworzenia między obowiązkami. Z drugiej strony rezygnacja z pracy na rzecz zajmowania się dziećmi jest wielorako krytykowana. A Simone de Beauvoir w „Drugiej płci" pisała wręcz, że macierzyństwo jest główną przeszkodą w emancypacji kobiet.

Przecież ona to pisała pod koniec lat 40. ubiegłego wieku.

Nie twierdzę, że zgadzam się ze wszystkim, co pisała de Beauvoir. Ale widzę, że wciąż przejęcie się rolą młodej matki może być trudne do pogodzenia z poczuciem satysfakcji na innych polach. Poza tym mamy też bardziej współczesne dzieła temu poświęcone: niedawno widziałam dokument „Instynkt (nie)macierzyński", który w interesujący sposób przedstawia wybór bezdzietności. Dobrych kilka lat temu wyszła książka „Macierzyństwo non-fiction" Joanny Czecott, która jest świetnym przykładem intymnej opowieści o rodzicielstwie. Sam fakt bycia matką małych dzieci jest połączony z niepojętym zmęczeniem – to temat na epopeję.

Dziś łatwiej kobietom opowiadać – bez zarzutu bycia wyrodną matką – o nieprzespanych nocach, życiu we wrzaskach dzieci, ale wciąż wymaga to odwagi.

Matka z „Bezmatka" jest zupełnie inna od tej ulepionej ze społecznych oczekiwań. Lubi alkohol, mocno się maluje, prowadzi bogate życie towarzyskie i uczuciowe.



Od początku brakuje kluczowych opowieści, jak być córką i jak być matką córki. W baśniach „dobra matka" szybko umiera. **Realna matka paraliżuje córkę.** Nie znamy dalszej historii ich życia.

Niektóre czytelniczki „Bezmatka" dzielą się ze mną tym, że mimo wieku zbliżającego je do postaci córki utożsamiły się z matką. Czytelnicy też do mnie piszą, że lubią postać matki. To nie jest Matka Polka, a raczej jej przeciwieństwo. Nie przejmuje się zanadto rolą matki, za to czerpie z życia, potrafi się nim cieszyć, ma pasje – maluje, tańczy, pływa. Prowadzi artystyczny żywot, jest nieprzewidywalna. Czytelniczkom i czytelnikom podoba się to, że nie wpisała się w konwencjonalne macierzyństwo, w czasach, kiedy było to jeszcze trudniejsze niż dzisiaj, że udało jej się zachować autentyczność mimo narzuconej roli.

Moja matka swoim życiem pokazała mi, że jednocześnie mogę robić różne rzeczy i one nie muszą się wykluczać. Z wykształcenia była zootechnikiem, w latach 90. bizneswoman, i jednocześnie nigdy nie przestała tworzyć: malowała obrazy, zajmowała się rękodziełem.

Ja też mogę z jednej strony być akademiczką, z drugiej zajmować się tańcem i performansem, z trzeciej pisać książki, które wypływają z mojego osobistego doświadczenia.

I jednocześnie jestem inną mamą, trzymającą pewne ramy, przyglądam się mojemu macierzyństwu, ale przede wszystkim przyglądam się moim dzieciom, innym przecież, niż ja byłam. Przeszłam już etap matrofobii, nazywany też matkofobią, czyli strachu przed powtórzeniem scenariusza życiowego własnej matki. Najczęściej doświadczają tego kobiety między 18. a 30. rokiem życia. Ale obserwuję, jak ten lęk przed staniem się własną matką jest silny. Ile energii wkładamy w to, by być inną kobietą niż nasza mama.

Z jakim efektem?

Długa jest droga wychodzenia poza to, by nie stać się własną matką, ale żeby też nie stać się jej przeciwieństwem. W perspektywie pokoleniowej tę sinusoidę łatwo zaobserwować: jeśli matki z lat 80. bez reszty poświęcały się swoim dzieciom, to matki współczesne pragną się od nich odseparować, nie wpaść w te same pułapki.

Mogą wpaść w inną pułapkę: racjonalności. Ufają bardziej intelektowi niż intuicji.

Może to kwestia zaufania we władzę ojcowską? Kiedy rozsądek jest utożsamiany z męskością, intuicja z tym, co kobiece. Może więc chodzi o pułapkę odcięcia się od matki, a przez to od swojej kobiecości?

To problematyczny moment: jak żywo doświadczać relacji z matką? Jak zobaczyć matkę poza rolą, jaką dla nas pełni – jako człowieka z wadami i z zaletami?

A Ty jak widzisz matkę?

Jej obraz w naturalny sposób się zmieniał. Gdy miałam może siedem lat, mama wydawała mi się najpiękniejsza – pięknie się malowała, jeszcze piękniej pachniała, nosiła wspaniałe ołówkowe spódnice. Najmądrzejsza. Chciałam być jak ona.

Dziesięć lat później stałam się wobec niej bardzo krytyczna – za mocno się malowała, używała zbyt silnych perfum, nosiła za duże dekolty. Wymagająca. Wymazywałam w matce kobietę, utożsamiałam ją całkowicie z macierzyństwem i uważałam, że do tej roli powinna się była bardziej przyłożyć.

Musiało minąć kolejne dziesięć lat, gdy po studiach zobaczyłam w matce człowieka z wieloma wadami, które jednak siła zalet przewyższała. Zaakceptowałam ją taką, polubiłam na nowo. Kontakt dorosłej córki i matki stał się możliwy.

A potem przyszedł etap, kiedy sama zostałam matką i spojrzałam na własną

matkę jeszcze inaczej. Dlaczego ona nigdy mi nie powiedziała, że to jest tak ciężkie? Kiedy byłam po pierwszym roku macierzyństwa i zupełnego braku snu, powiedziałam mamie: „Jestem ci wdzięczna, że przetrwałaś. Nawet jeśli mówisz, że tyle się mną nie zajmowałaś, co ja swoją córką, to jednak musiałaś być w ciąży, musiałaś urodzić i na początku pewnie być skupioną wyłącznie na mnie, co jest niezwykle trudne".

I do teraz ją za to podziwiam, bo koniec końców jestem zadowolona z tego, kim jestem i do czego mam dostęp. Myślę: „Mamo, *chapeau bas*, ja też bym chciała umieć dać coś takiego swojej córce, by mogła tak odważnie iść w świat". I oczywiście mam masę obaw, że to mi się nie uda.

To co trzeba robić?

Nic nie trzeba, ale można. Można cieszyć się relacją z drugim człowiekiem. Tak lubię myśleć o macierzyństwie: nie jako o roli, ale o relacji właśnie. Żywej, innej. Można tak bardzo się nie przejmować rolą społeczną matki, a pozwolić sobie na wspomnianą radość macierzyństwa.

To musi być wyzwalające.

I jednocześnie pociągają mnie „klany matek". Kiedy byłam w drugiej ciąży i szłam z córką, zaczepiła mnie kobieta z dwójką dzieci i też w zaawansowanej ciąży, poprosiła o numer telefonu, proponując spacer, kiedy urodzimy. Natychmiast w głowie wykonałam eksperyment myślowy – czy do męża podszedłby inny mężczyzna mówiąc: „Daj mi swój numer telefonu, bo też masz dzieci, musimy się spotkać"?

Okazało się, że ta kobieta należy do wspólnoty duchowej Domowy Kościół, gdzie rodziny spotykają się w kręgach kilku małżeństw. Ma to służyć dowartościowaniu życia miłości małżeńskiej i rodzicielskiej. W piaskownicy, dosłownie, poznałam więc jej koleżanki, kobiety urodzone i wychowane w Warszawie, w której też skończyły dobre studia. I podjęły decyzję, że rezygnują ze ścieżki zawodowej, zakładając wielodzietne rodziny. Oczywiście feministka we mnie krzyczy: „Co wy robicie!". Ale antropolożka przygląda się z zaciekawieniem.

Inny „klan matek" poznałam mieszkając jeszcze w Krakowie. To były matki-ekspatki. Ekspatki, czyli specjalistki wysokiej rangi, najczęściej pracujące w korporacjach, które wyjechały ze swojego kraju – z Norwegii, Szwecji, Francji – by pracować i często rozwijać daną firmę za granicą. Poznałam je w momencie, gdy ich mężowie dalej pracowali w jakiejś Ikei w Polsce na kierowniczych stanowiskach, a one rezygnowały z pracy, zostawały matkami. Spotykały się regularnie w willach na Woli Justowskiej lub w luksusowych restauracjach, dzieci wspólnie się bawiły, a one np. szydełkowały.

To niesamowicie interesujące: ich motywacje, poczucie satysfakcji lub rozczarowania z całkiem nowego sposobu życia. Interesuje mnie to również jako feministkę. Do tego stopnia, że na trochę włączyłam się w życie ekspatek. Wystarczyło udowodnić, że mieszkało się kilka lat za granicą. Oficjalnie nigdy nie weszłam do klanu. Chyba składki były dla mnie za drogie.

Ale przyglądałam się różnym grupom kobiet, które zostały matkami. Czasem myślimy o mamach małych dzieci, że siedzą zamknięte w domu lub na placu zabaw, nuda, a tu proszę: jaki nieformalny awangardowy ruch. Normalnie beatnicy macierzyństwa.

Twoja mama mogłaby przynależeć do „sekty matek"?

Chyba nie – była dużo bardziej zdystansowana wobec swojego bycia mamą. Za to we mnie pozostała ta forma dialogu. Moja rozmowa z mamą, z kobiecością, macierzyństwem, które mi przekazała, a które ja mogę uelastyczniać, sprawdzać, znaleźć własne sposoby przeżywania rzeczywistości. Sądzę, że każda konkretna relacja matki i córki, nawet opowiedziana do końca, jak moja historia opisana w „Bezmatku", zawsze pozostanie tajemnicą. Jak tajemnicą do dziś pozostały dla nas misteria eleuzyjskie ku czci Demeter i Kory. Tej najdziwniejszej, może i jednej z najpiękniejszych miłości, matki i córki.

©℗ Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Drodzy Czytelnicy! 30 kwietnia opuściliśmy ulicę Wiślną. Już jesteśmy na ulicy Dworskiej 1C, 30-314 Kraków

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Próba



„Człowiek nie grzeszy, póki nie owładnie go duch głupoty” – czytamy w talmudycznym traktacie poświęconym głównie żonie podejrzanej o cudzołóstwo. Za dowód służy Lb 5, 12: żona w tym wersie *tiste* – robi skok w bok – ale można to słowo przeczytać jako *tiszte*, co łączy się etymologicznie ze *sztut* – głupotą. W Lb 5, 11-31 znajdujemy opis jedynej w judaizmie próby mającej zbadać domniemaną winę.

Nierównowaga jest oczywista – póki mężczyzna nie tyka kobiety zamężnej, czyli cudzej własności, wszystko mu uchodzi płazem, tymczasem żona jest „poświęcona” (czytaj: zarezerwowana tylko dla męża). Miszna (pierwsza część Talmudu) z jednej strony łagodzi biblijne prawo: aby test zadziałał, mąż sam nie może mieć nic za uszami oraz wcześniej musi ostrzec żonę w obecności dwóch świadków, żeby nie przebywała sam na sam z konkretnym mężczyzną. Ona go nie posłuchała, lecz nie ma dowodów zdrady, choć podejrzani byli dostatecznie długo razem – tyle czasu, ile potrzeba na upieczenie jajka i pochłonięcie go. Z drugiej strony w Misznie pojawia się dodatkowe poniżenie kobiety i domniemanie jej winy – nieomal polowanie na czarownicę.

Cała ceremonia kręci się wokół uczuć męża. Z braku dowodów zdrady śledztwo jest umorzone, ale on i tak wie swoje. Tylko dzięki znakowi z nieba zyska pewność, że jego podejrzenia są niesłuszne. Nikt nie liczy się z uczuciami przerażonej i poniżonej żony. Jeśli jest niewinna – zapewnia Talmud – po ceremonii wzmocni się i oblicze jej rozbłyśnie. Jeśli przez chorobę nie mogła zajść w ciążę, pocznie i porodzi syna. Jeśli dotychczas miała ciężkie porody, odtąd będzie rodzić w trymiga. Jeśli rodziła dziewczynki, będzie rodzić chłopców. Koncertowo zredukowana do funkcji rozrodczej.

I jeszcze: kara może zostać czasowo zawieszona, jeśli cudzołożnica ma zasługę związaną z Torą: odprowadza synów do szkoły i/lub – moja trawestacja – bez zrzędzenia czeka na studiującego z dala od domu męża. Ben Azaj, wybitny uczeń, który jednak nigdy nie został rabinem, tak podsumowuje dyskusję: „Człowiek jest zobowiązany uczyć swoją córkę Tory, aby w sytuacji, gdy wypije [wodę, która wykaże winę bądź jej brak], wiedziała, że to zasługi zawieszają jej karę”. A tak brzmi po tysiąckroć wyciągana z kontekstu przez mizoginów riposta słynącego z surowości rabina Eliezera: „Ktokolwiek uczy swoją córkę Tory, to tak jakby uczył ją bezeceństwa”.

Na pustyni manna rozwiewała wszelkie wątpliwości – porcja dla niewiernej żony spadała u wejścia do innego namiotu. Po zburzeniu Świątyni ceremonia została zniesiona i kiedy w małżeństwie jest już tak źle, że mąż bezpodstawnie oskarża żonę o zdradę albo ona rzeczywiście zdradza, w odwodzie pozostaje tylko – dopuszczalny w judaizmie – rozwód. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wycięliśmy krzaki



Uroczystość Trójcy Świętej zamyka i podsumowuje okres paschalny, a to znaczy, że jest kluczem do zrozumienia, jaki jest Bóg i jaki jest Kościół. Stanowi też ostrzeżenie dla wszystkich, którzy o Bogu opowiadają, zwłaszcza na mocy święceń, żeby uważali, o kim mówią, i nie byli zbyt pewni tzw. osobistych przekonań uzasadnianych twierdzeniem: bo ja tak myślę.

Wyznajemy, że Bóg jest jeden, ale w trzech osobach: Ojciec, Syn i Duch. Ten dogmat, ta teologiczna matematyka, stawia nasz umysł pod ścianą. Stąd jedni mówią, że w poznawaniu Boga dalej pójść się nie da, a inni przeciwnie, że dopiero teraz zaczyna się najważniejszy etap, gdyż dogmat nie zamyka, ale otwiera niekończące się możliwości. Dla przykładu, przez całe wieki z mocą nauczaliśmy, że zmarłe nieochrzczone dzieci idą do piekła albo w najlepszym przypadku do otchłani nazywanej *limbus puerorum*, gdzie „ani zimno, ani ciepło”, czyli żyją, jakby nie żyły. I naraz na naszych oczach ów limbus z Katechizmu Kościoła Katolickiego zniknął. A przecież wystarczyło pamiętać o wypowiedzi Jezusa: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im, bo do takich jak one należy królestwo Boże”, żeby nie pogłębiać bólu rodziców, którzy instynktownie czuli, że coś tu z Bogiem, jako Ojcem, jest nie w porządku. Co prawda istnienie limbusa nie było dogmatem i byli tacy, którzy go negowali, ale w kazaniach i konfesjonale taką rangę mu nadawano.

Dogmaty, jeśli mają być dla Kościoła źródłem wiary, muszą być sformułowane w przystępny sposób. Ogłaszano je w języku ich czasów, dzisiaj już niezrozumiałym, a nawet wprowadzającym w błąd. Takie słowa jak ciało, krew, dusza, duch co innego znaczyły dla autorów Biblii, a co innego znaczą dla dzisiejszych jej czytelników. Jak rozszyfrować choćby takie zdanie z prefacji, że „wyznając prawdziwe i wiekuiste Bóstwo, wielbimy odrębność Osób, Jedność w istocie i równość w majestacie”? Jak dosłuchać się w tych słowach, co dzisiaj Duch Ojca i Syna mówi Kościołowi? A mówi – tyle tylko że spoza horyzontu tego, co już wiemy i co uważamy za istotne.

Prof. Remigiusz Kijak w rozmowie z Agą Kozak mówi: „Pamiętam dyrektorkę domu pomocy społecznej, w którym prowadziłem warsztat z zakresu seksualności osób niepełnosprawnych intelektualnie. Powiedziała, że według niej to strata czasu. »No bo my tutaj, panie profesorze, problemów seksualnych za dużo nie mamy«. Zapytałem, jak to się dzieje, że nie ma. »Kiedyś były, ale zakazy zrobiliśmy i już nie pozwalamy im na ten seks. W krzakach się chowali i tam próbowali ten seks uprawiać – więc powiem panu: wycięliśmy krzaki«”. Tyle tylko, że nie o seks i krzaki tu chodzi, ale o życie i miłość dzieci Bożych. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Do starszych



„Uważajcie na samych siebie i na całe stado, w którym Duch Święty ustanowił was biskupami, abyście kierowali Kościołem Boga, który On nabył własną krwią. Wiem, że po moim odejściu wejdą między was wilki drapieżne, nie oszczędzając stada. Także spośród was samych powstaną ludzie, którzy głosić będą przewrotne nauki, aby pociągnąć za sobą uczniów. Dlatego czuwajcie!”. Tych słów św. Pawła (zob. Dz 20, 28-31) – skierowanych kiedyś do „starszych” Kościoła efeskiego, a dziś skierowanych do nas – słuchaliśmy niedawno dzięki Liturgii.

To słowa wyjątkowe – testamentalne: Paweł wypowiada je świadom, że już więcej nie zobaczy swoich rozmówców. Tak naprawdę przekazuje im ostatecznie odpowiedzialność za Kościół, który dane mu było założyć w ciągu długiej, ponad dwuletniej pracy. Zawierzając im troskę o ten Kościół, nie przestrzega ich przed „światem” i przed złem, jakie może spotkać Kościół z jego strony. Nie! Przestrzega ich przed złem, jakie sami mogą ściągnąć na wspólnotę uczniów.

A więc: „Uważajcie na samych siebie!” – od tego zaczyna. Nad sobą najpierw mają czuwać! Sami najpierw potrzebują się nawracać! Do siebie najpierw stosować naukę Pana; sami najpierw potrzebują otwierać się na Jego działanie. Wydaje się to oczywiste...

Łatwiejsze wszakże jest postępowanie dokładnie odwrotne: łatwiej jest choćby nawoływać innych, np. małżeństwa w parafii, do jedności i wiernej miłości, niż zadbać o jedność i rzeczywistą wspólnotę na plebanii, np. o wspólnotę stołu proboszcza i wikariusza. Wtedy „starszy” woła o jedność, sam nigdy jej nie doświadczając; owszem, tkwiąc samemu po uszy w oswojonej niezgodzie, dla której potrafi znaleźć wyjaśnienie i usprawiedliwienie. A przecież wielu rzeczy nie wystarczy jedynie powiedzieć; trzeba je jeszcze ukazać. Nieco dalej (w wersecie 35) Paweł mówi, że „pokazał” swoją postawą (bezinteresownością) zasadę sformułowaną przez Pana Jezusa: „więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu”.

Słusznie w szkołach nowej ewangelizacji mówi się przyszłym ewangelizatorom: „Nie mów o tym, co możesz pokazać”! To nie zasada warsztatu; to zasada owocowania.

Niekonsekwencja między słowem a życiem to jednak dopiero wierzchołek góry lodowej. Miarą nie-nawrócenia „starszych” jest to, że „ciągną uczniów za sobą”. I że w tym celu zdolni są nawet manipulować Bożym przesłaniem – głosić nauki „przewrotne”, zapewne atrakcyjniejsze (czy rzeczywiście?) dla słuchaczy od Pańskiego Słowa. Wtedy też z pasterzy stają się „wilkami drapieżnymi”, które zamiast zbierać – rozpraszają stado. ©

W Nim spoczywaj.

ODY SALOMONA



Wiedz, że jesteś gościem.

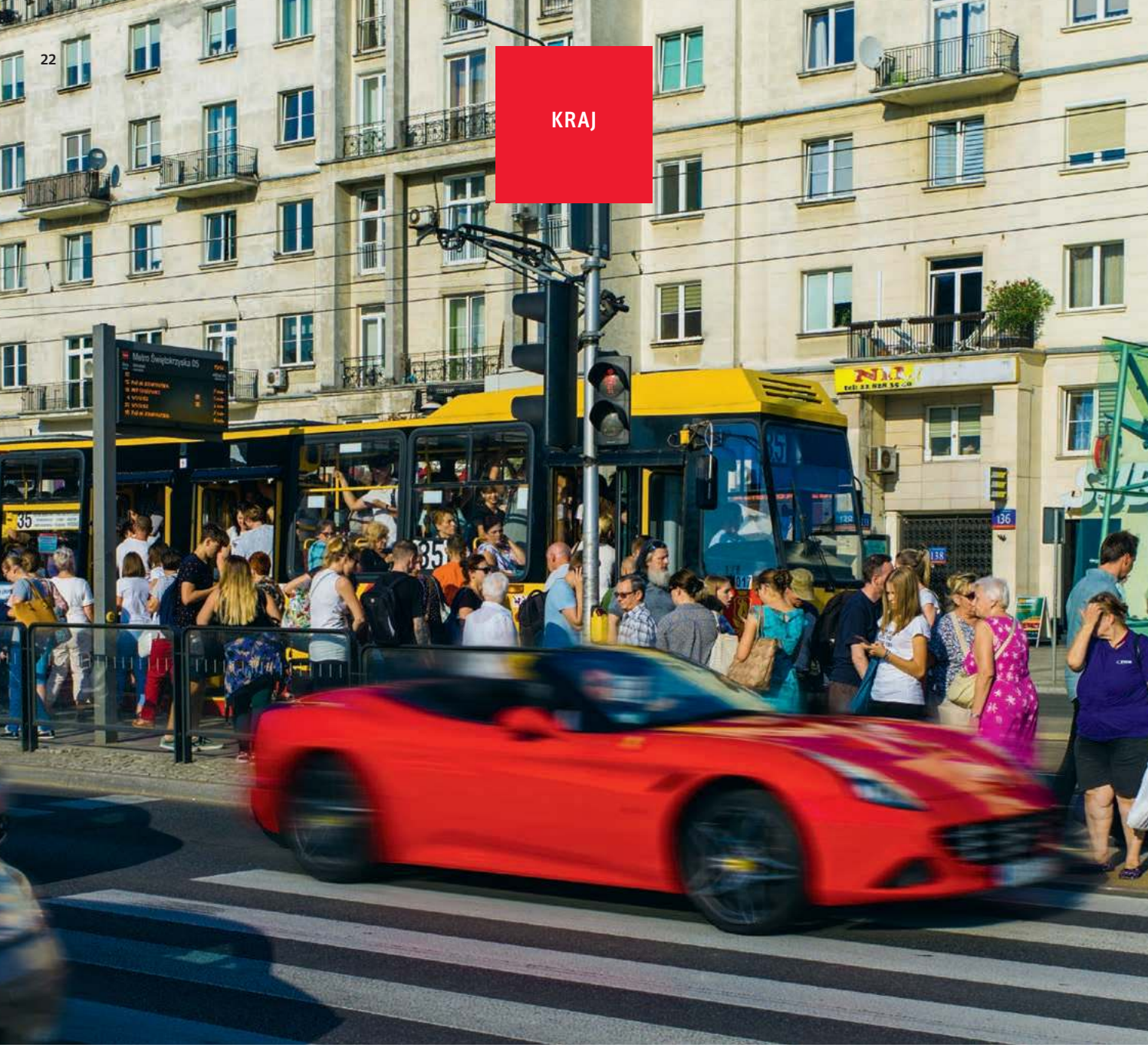
SENTENCJE DELFICKIE



Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (30 V – 6 VI)

Niedziela, uroczystość Najświętszej Trójcy: Pwt 4, 32-34. 39-40; Ps 33; Rz 8, 14-17; Mt 28, 16-20;
Poniedziałek: So 3, 14-18 albo Rz 12, 9-16b; Ps: Iz 12, 2-6; Łk 1, 39-56;
Wtorek: Tb 2, 9-14; Ps 112; Mk 12, 13-17;
Środa: Tb 3, 1-11a. 16-17a; Ps 25; Mk 12, 18-27;
Czwartek, uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa: Wj 24, 3-8; Ps 116B; Hbr 9, 11-15; Mk 14, 12-16. 22-26;
Piątek: Tb 11, 5-18; Ps 146; Mk 12, 35-37;
Sobota: Tb 12, 1b. 5-15. 20; Ps: Tb 13, 2. 6-8; Mk 12, 38-44;
10. niedziela zwykła: Rdz 3, 9-15; Ps 130; 2 Kor 4, 13 – 5, 1; Mk 3, 20-35.



W POSZUKIWANIU ŁADNIEJSZEGO ŁADU

Dawne podziały polityczne były oparte na podziałach klasowych. Dziś dla zrozumienia źródeł zróżnicowania społecznego kluczowe może być pojęcie operatywności – zdolności radzenia sobie ze światem.

JAROSŁAW FLIS



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // MONTAŻ TP-ONLINE

Na przystanku Metro Świętokrzyska. Warszawa, wrzesień 2018 r.

Sądząc po pierwszych reakcjach oponentów PiS – polityków, publicystów czy aktywistów – mają oni w sprawie rządowego „wielkiego projektu", czyli Polskiego Ładu, bardzo mieszane uczucia. Część jest zdeprymowana, część oburzona. Część traktuje go jako wyborczą ściemę, część jako przedsięwzięcie o olbrzymich konsekwencjach dla codziennego życia, daleko wykraczających poza to, kto sprawuje władzę. Takie wyjaśnienia się nie wykluczają, stąd raz jeszcze warto przemyśleć, jak podziały polityczne osadzone są w realiach społecznych. Czy polaryzacja, którą tak wielu podkreśla w polityce, przeszkadza, czy pomaga w utrzymaniu ładu, jego wywróceniu albo ewentualnej przebudowie.

Podziały i odchylenia

Ten wątek, który pojawia się już regularnie na łamach „Tygodnika", doprowadził mnie do nowego spojrzenia na różnice społeczne. Podobnie jak w przypadku naszej biologii, możemy dostrzec dwa rodzaje różnic – podziały i odchylenia. Ludzie różnią się ze względu na płeć i na wzrost. W pierwszym przypadku możemy mówić o podziale, w którym granica (jakkolwiek by na jej temat dyskutować) jest znacznie wyraźniejsza niż w przypadku wzrostu. Wzrost jest zróżnicowany, ale ludzie nie dzielą się na niskich i wysokich, tak jak dzielą się na kobiety i mężczyzn. Najwięcej jest bowiem średnich, najniżsi i najwyżsi zaś przykuwają uwagę, bo się od średniej odchylają. Są to mimo wszystko rzadkie przypadki, nad którymi i tak zazwyczaj przechodzimy do porządku dziennego. Stanowić mogą źródło stereotypów, ale większości w ogóle to nie dotyczy.

Czy dzisiejszy ład społeczny opiera się na podziałach, czy na odchyleniach? Które przechyły mogą się przełożyć na realny, widoczny gołym okiem podział? Warto zacząć od tego, że ukształtowane przed stu laty podziały polityczne były silnie oparte na tych klasowych, gdy przynależność była widoczna na pierwszy rzut oka, po ubiorze, zachowaniu albo języku. Dzisiejsze podziały polityczne nie dają tak łatwych odpowiedzi, nawet jeśli na samym końcu skali są osoby, co do przynależności których trudno mieć wątpliwości. Jak i dlaczego doszło do zatarcia niegdysiejszych różnic? Kluczowym terminem dla zrozumienia źródeł zróżnicowania społecznego może być pojęcie operatywności – zdolności radzenia sobie ze światem.

Każdy z nas ma swój poziom operatywności – umiejętności rozwiązywania napotykanych problemów. Tak jak w przypadku wzrostu, nie dzieli się ludzi na całkiem operatywnych i całkiem nieoperatywnych – są oni raczej bardziej lub mniej operatywni. Operatywność może być wybiórcza: w jednych sprawach ludzie radzą sobie lepiej niż w innych. Kluczowym efektem operatywności jest jakość życia i zasobność – dostęp do dóbr materialnych.

Pojawia się tu zasadnicze pytanie, jak powinny zostać podzielone zasoby pomiędzy tymi bardziej i mniej operatywnymi. Część zróżnicowania jest naturalna – operatywny myśliwy upoluje więcej. Lecz w bardziej złożonych społecznych strukturach pojawia się inne źródło zróżnicowania – świadome motywowanie przez system. Decydują o tym osoby pełniące kluczowe role – czy to posłowie, ustalający stawki i progi podatkowe, czy kierownicy przyznający premie. Motywacja do podnoszenia operatywności i większego wysiłku wiąże się w naszym systemie z nagrodą. Alternatywne pomysły okazały się nie tylko niewykonalne, ale i zupełnie nieskuteczne. Dalej jednak pozostaje istotne pytanie o proporcje pomiędzy tymi bardziej i mniej operatywnymi. Wygląd tej krzywej jest stałym zagadnieniem, nad którym pochylają się ekonomiści.

Łamacze barier

Jest zatem operatywność cechą indywidualną, lecz jest też uzależniona od miejsca jednostki w społeczeństwie. Składa się na nią nie tylko osobista inteligencja i motywacja, ale też kapitał społeczny czy kulturowy oraz sieć powiązań. Ta sieć może sprawić, że człowiek nie spadnie nigdy poniżej pewnego poziomu, choć jego osobista operatywność jest wątła. Może też stanowić nieprzezwyciężalne ograniczenie, sprawiające, że nie przebije się on na wyższy poziom.

Historia uczy nas, że ludzie, chcąc przekazywać swój dorobek życia dzieciom, mają tendencje do budowania takich wspomagających sieci. W pewnym momencie stają się one przegrodami: rozdzielają poszczególne światy, utrudniają konkurencję, zmieniają szanse na przepływ – upadek czy awans – osób znajdujących się na różnych poziomach. Tak powstają progi dla operatywności wynikające z instytucji społecznych. Zarówno twardych, jak niegdysiejsza przynależność stanowa, jak i miękkich. Mogą być wyraźnie widoczne, mogą też mieć postać szklanych sufitów, o których tak wiele się dziś mówi.

Współczesna historia ludzkości polega na zmaganiu się z przełamywaniem takich barier. Stare podziały społeczne, w szczególności na prawicę i lewicę, były ↦

↦ odpowiedzią na realne bariery społeczne, związane z klasami czy stanami. Łatwo powiedzieć, skąd wzięli się w kontekście tego podziału politycznego rzecznicy ludzi bardziej operatywnych. Po prostu pewna część osób bardziej operatywnych zajęła się tym, by bronić swego dobra, troszczyć się o przedstawicieli własnych warstw i ich dostęp do interesów czy udziałów w dobrach publicznych. Kto natomiast ma być rzecznikiem mniej operatywnych – to poważniejszy problem. Zwłaszcza że skuteczność rzeczników wymaga od nich samych operatywności.

Skąd zatem biorą się bardziej operatywni rzecznicy tych mniej operatywnych? Jest tu kilka źródeł. Po pierwsze, to dziedziczona więź, tak jak często bywało w partiach chłopskich czy robotniczych. Ich liderami były osoby, które przebiły się przez siatkę społeczną ze względu na swoją wyjątkową operatywność, ale zachowały więź z macierzystym środowiskiem i jego problemy leżały im na sercu. Stawali się więc rzecznikami tych mniej operatywnych. Istotnym elementem jest też wspólna tożsamość – odwołanie do więzi narodowej czy religijnej, tworzącej szersze wspólnoty. Państwa dobrobytu zostały stworzone przez społeczeństwa wyjątkowo jednolite etnicznie i wyznaniowo. Jedno i drugie źródło jest jednak coraz mniej wydajne – to już temat na znacznie dłuższą opowieść. Ogólnoludzka empatia stanowi jakąś alternatywę, lecz czy wystarczy?

Ktoś może się podjąć takiej roli z wykalkulowanego interesu. Nawet w najmniejszej gminie wójt zarabia więcej niż średnio jego współobywatele. Rzeczników takich podejrzewa się jednak o zdradę, bo przecież nie zrobią sobie krzywdy i nie nałożą większych obciążeń na własne sieci społeczne, które nie znikają tylko dlatego, że ktoś najmuje się jako rzecznik drugiej strony.

Tu na scenie pojawiają się outsiderzy – osoby, które wypadły ze środowiska bardziej operatywnych, ale jednocześnie są na tyle operatywne, by nająć się albo zadeklarować jako rzecznicy mniej operatywnych. Taka motywacja bywa wątpliwa – niejednokrotnie może za tym stać osobiste nieudacznictwo lub złamanie norm etycznych. Choć może to być też sprzeciw wobec niesprawiedliwego uprzywilejowania własnego środowiska. Takie osoby mogą być traktowane jako swoi tylko dlatego, że są nielubiane bądź wręcz pogardzane przez tych bardziej operatywnych.

Jak bardzo średnia jest klasa średnia

Ogląd społeczeństwa ze szczytu drabiny społecznej wiąże się z jeszcze jednym skrzywieniem – perspektywy. Tym, co łączy prezentację Polskiego Ładu w wykonaniu rządu oraz opisy najnowszych badań społecznych wykonanych pod egidą środowiska „Krytyki Politycznej" i mających świadczyć o „odrzuceniu 500 plus", jest posługiwanie się pojęciem „klasy średniej".

Jeśli spojrzeć na źródłosłów, określenie to powinno odnosić się do ludzi znajdujących się pośrodku społecznej drabiny. Tymczasem jednak za klasę średnią uważa się na ogół ludzi usytuowanych pomiędzy 60. a 90. centylem, jeśli uszeregować społeczeństwo pod względem zasobności. Pomimo że takie ujęcie prowadzi do zafałszowania obrazu, jest szeroko wykorzystywane do opisu życia społecznego.

Pogląd, że na miano klasy średniej zasługują wspomniani obywatele między 60. a 90. centylem, da się obronić tylko w jednym znaczeniu – jeśli mówimy nie o liczebności, lecz o „wadze" grup społecznych. Jeśli w największym uproszczeniu przyjmiemy, że ludzi można pod względem zasobności ustawić na dziesięciu szczeblach drabiny społecznej, to każdemu z nich możemy też przypisać różne wagi. Jeśli taka domniemana waga będzie odpowiadać numerowi szczebla (czyli najwyższa ma wagę dziesięć razy większą niż najniższa), wtedy środek ciężkości społeczeństwa wypada gdzieś między siódmym a ósmym szczeblem. Działa to w różnych obszarach ekonomicznych, np. na rynku reklamowym, gdzie zasobność konsumenta przekłada się na jego wagę w strategii marketingowej. Nawet jeśli ludzi biedniejszych jest bardzo wielu, to w sumie mają do wydania mniej pieniędzy.

Jednak głosy w wyborach liczy się zupełnie inaczej niż budżety konsumpcyjne czy reklamowe. Siła głosu w demokracji jest taka sama, czy ktoś jest milionerem, czy ledwo wiąże koniec z końcem. Jest wprawdzie lekko przesunięta w górę, gdyż milionerzy głosują prawie wszyscy, ubodzy zaś niekoniecznie, ale w polskich realiach przesunięcie to nie jest wcale tak duże i ostatnio się zmniejsza.

Asymetrie rywalizacji

Równość głosu w demokracji jest więc czynnikiem zmieniającym równowagę, choć nie wyrównuje całkowicie pola społecznych zmagań. Jeśli jakaś grupa ze względu na swoją operatywność jest zasobniejsza, ma ona też znacznie więcej środków, by utrwalać ten stan i bronić go przed zmianą. Z szerokiego arsenału argumentów może się też odwołać do troski o stabilność ładu – co w praktyce oznacza obronę *status quo*. Wiemy z historii, że nie wszystkie próby zmiany społecznej prowadziły do poprawy. Wiele z nich przyczyniło się do pogorszenia sytuacji wszystkich. Te doświadczenia też utrudniają zmianę.

Nieoczywisty wpływ na równowagę ma inny jeszcze paradoks. Jeśli porównać indeksy rozwoju cywilizacyjnego oparte na twardych miarach, to okazuje się, że im bogatsze społeczeństwo, tym trudniej je naprawić. Największe przyrosty występują u tych, którzy mają wiele do nadrobienia. Natomiast zbliżanie się do doskonałości jest wyjątkowo trudne. Brak postępów jest oczywiście dużo mniej dotkliwy w społeczeństwie o wysokim poziomie dobrostanu, ale i tam może on kłuć w oczy. Najlepiej ten mechanizm dziedziczenia zasobów komentuje afrykańskie przysłowie: „Ojciec karmi krowę, syn doi, a wnuk zarzyna". Wraz z awansem społecznym pojawia się wzrost możliwości, ale i spadek motywacji do dalszego rozwoju. Łatwiej jest przekroczyć pewne progi, ale też coraz mniej oczywiste jest przekonanie, że należy to robić i że warte to jest wysiłku.

Samookaleczenie opozycji

Wszystkie te paradoksy i niuanse skupiają się jak w soczewce, gdy przyjrzeć się bliżej sprawie Polskiego Ładu. W odpowiedzi na propozycję zmiany reguł rozkładu obciążeń podatkowych pomiędzy poszczególne części społeczeństwa pojawiły się od razu głosy biorące w obronę „klasę średnią". Autorzy projektu zwrócili zresztą na jej przedstawicieli uwagę już w samej prezentacji, traktując ich jako tych, którzy wyróżniają się pracowitością i zasługują na nagrodę. Przeciwnicy rządu zmniejszenie tej nagrody postrzegają jednak jako element niesprawiedliwości i coś, co może ograniczyć

mobilizację i wysiłek, a w skrajnych formach doprowadzić do „zarżnięcia" czy „oskubania" tych, którzy „ciągną kraj do przodu".

Trudno z całkowitą powagą podchodzić do takich twierdzeń, jeżdżąc przez bogate przedmieścia wśród przystrzyżonych trawników i mijając na drogach nowe SUV-y. Niewiele wskazuje na to, by w Polsce osobom najbardziej operatywnym głód zaglądał w oczy. Skala wspomnianych obciążeń, z punktu widzenia osobistego dobrostanu, nie wydaje się usprawiedliwiać histerycznego tonu protestów. Zwłaszcza że obrona „klasy średniej" jest prowadzona tak, jakby ona rzeczywiście znajdowała się w środku społeczeństwa i była tym wyborcą, który przesądzi o wyniku głosowania.

Tymczasem za propozycją rządową kryje się chyba kalkulacja polityczna, której opozycja nie bierze pod uwagę, przez co znalazła się w impasie. Ze strony partii władzy była to kolejna prowokacja, skłaniająca oponentów do apeli, których jedynym efektem jest to, że rozjuszają mniej operatywną część społeczeństwa. I efekt ten jest politycznie ważniejszy od samego przeniesienia akcentów w polityce społecznej, np. realnych transferów finansowych czy rozwoju określonych usług publicznych. To, czy jakieś ugrupowanie polityczne da nam podwyżkę, czy jej nie da, wcale nie musi się przekładać na zmianę sympatii. Jednak jeśli przeciwnicy danego ugrupowania będą głośno protestować przeciwko „dopłacaniu do niedouczonych nieudaczników i nierobów", może się pojawić poczucie więzi i wsparcie dla „darczyńców".

Najlepiej rzecz widać w przypadku programu 500 plus, który był w minionych latach okazją do stałego samookaleczania się opozycji. Stare przysłowie mówi: „Kto chce, szuka sposobu, kto nie chce, szuka powodu". Czytając różne wypowiedzi liderów opozycji w tej sprawie trudno zapamiętać, o co im właściwie chodzi – czy wsparcie jest nieskuteczne, bo zostanie przepite, czy też nie trafia ono do tych, którzy go naprawdę potrzebują – ale na pewno można wyczuć, że im się to ogólnie nie podoba. To komunikat, który odbiorcy 500 plus na pewno potrafią zrozumieć. Jest klarowny i nie ma sensu dyskutować z argumentami – do zniechęcenia ludzi wystarczy przekaz, że to, co dla nich ważne, najchętniej by im zabrano.

Nawet jeśli ludzi biedniejszych jest wielu, to mają w sumie do wydania mało pieniędzy. **Ale głosy w wyborach liczy się inaczej niż budżety reklamowe.**

Ryżowi Polacy

Prowokując opozycję do podgrzewania podziałów idących w poprzek społecznej drabiny, partia rządząca skutecznie próbuje zniwelować swoje słabości zwłaszcza na dwóch polach – sprawności rządzenia (w tym także nepotyzmu i korupcji) oraz obyczajowym. W pierwszej kwestii sugeruje się, tak jak przed poprzednimi wyborami: „Może i kradną, ale przynajmniej się dzielą". Tu rzeczywiście uwidacznia się diabelska alternatywa, przed jaką staje część wyborców: nawet jeśli dostrzegają wszelkie podłości obozu władzy, widzą po stronie opozycji przede wszystkim polityków, którzy nie odczuwają z nimi żadnej więzi i nie potrafią z przekonaniem pokazać, że popierają korzyści, jakie są udziałem istotnej części społeczeństwa w ciągu ostatnich 6 lat.

Podobnie rzecz się ma z kwestiami obyczajowymi. Nawet jeśli zachodzą przemiany obyczajowe potencjalnie niekorzystne dla partii o takim przekazie jak PiS i nawet kiedy ponosi ona znaczne straty po tak godnym pożałowania wydarzeniu, jakim było wprowadzenie do systemu prawnego tylnymi drzwiami rozstrzygnięcia w sprawie aborcji, znów okazuje się, że w pakiecie z odwróceniem tej decyzji są inne kwestie, które nie znajdują akceptacji wahających się wyborców.

Przypomina to znane z Azji zjawisko „ryżowych chrześcijan", do których misjonarze docierali poprzez dostarczanie im korzyści materialnych. Z tak stworzonych przyczółków rozwijała się dalej głęboka wiara, choć przecież w wielu przypadkach u początków była tylko jakaś kalkulacja. Dlatego nie dziwi, że np. mieszkańcy ziem zachodnich, dalecy od symbolicznego tradycjonalizmu i narodowych wzmożeń, zaakceptują wszystkie te antyskuteczne formy prezentowane przez obecną partię rządzącą tylko dlatego, że alternatywą jest zupełnie inny nowy ład. Mają powody sądzić, że jeśli byłby wcielony w życie, znów będą traktowani nie jako grupa warta docenienia, ale jak zapóźnione piąte koło u wozu.

Coś więcej niż kontra

Dlatego szczególnie istotne jest to, jaki poziom operatywności mają rzecznicy bardziej operatywnych. Bycie ich rzecznikiem jest bardziej komfortowe, wywołuje mniej napięć i sprawia, że łatwiej uzyskać wiarygodność u odbiorców. To jednak wcale nie znaczy, że łatwiej tu o skuteczność. W skrzywionym postrzeganiu wagi poszczególnych części społeczeństwa czai się pułapka. Rzecznicy operatywnych nie potrafią uchwycić tego, co jest potrzebne, by uzyskać akceptację ogółu. Przypodobanie się ważniejszym w hierarchii prestiżu czy dochodów nie wystarcza, by zdobyć wyborcze poparcie większości.

A przecież można by się spodziewać, że odpowiedzią na propozycje zmian w ładzie społecznym przedłożone przez rządzących okażą się rozwiązania, które nie będą wobec nich prostą kontrą. Chodzi o coś więcej niż szukanie dziur w każdym z rządowych postulatów i podważanie zasadniczych tez projektu – czasem zresztą z zupełnie przeciwnych stron. Przygotowanie alternatywy dla rządowego planu to sztuka znacznie trudniejsza i wymaga przemyślenia problemu przez tych najbardziej operatywnych. Nie wystarczy czekać w przekonaniu, że PiS jako rzecznik mniej operatywnych okaże się nieoperatywny i potknie się o własne nogi, oddając opozycji wymarzone zwycięstwo.

To temat do naprawdę poważnej dyskusji: jak powinien wyglądać ład społeczny, aby nie mogły się na nim żywić nadużycia władzy? Zarówno tej pochodzącej z wyboru, jak i tej znacznie subtelniejszej – wywodzącej się z pozycji technokratycznej, opartej na lepszym wyposażeniu w kapitał, sieci kontaktów i uprzywilejowaniu na wszystkich możliwych polach. W bogatym i wykształconym społeczeństwie znalezienie takiego nowego ładu powinno być łatwiejsze, ale – jak widać – nie jest to takie oczywiste.

© JAROSŁAW FLIS



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Mateusz Morawiecki w świetlicy środowiskowej „Świetlik". Rybie, marzec 2019 r.

Demografia bez boomu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Zjednoczona Prawica przedstawia nową, ambitną strategię dźwigania wskaźników dzietności. O poprzedniej – zakończonej fiaskiem – strategicznie milczy.

Dziś to już pewne: prognozy demografów, także formułowane na tych łamach przez prof. Irenę E. Kotowską ze Szkoły Głównej Handlowej w zeszłym roku, zaczynają się sprawdzać. Pandemia zahamowała dzietność – wbrew potocznym wyobrażeniom, że przymusowe zamknięcie młodych par w domach to gotowa recepta na *baby boom*.

Nie ma komu rodzić

Pikowanie widać po wskaźnikach urodzeń od grudnia zeszłego roku – pierwszego miesiąca, którego dane coś nam w tej kwestii mogą powiedzieć (od marca do tego momentu zdążyło wszak upłynąć 9 miesięcy). I tak w ostatnim miesiącu 2020 r. narodziło się w Polsce o ponad 2 tysiące dzieci mniej niż w grudniu roku poprzedniego; w styczniu 2021 r. – ten wskaźnik zdaje się najlepiej obrazować koronawirusowy szok – przyszło na świat aż o około 8 tysięcy mniej Polaków w stosunku do stycznia tak roku 2020, jak i 2019; w lutym liczba urodzeń była niższa od tej z ubiegłego roku o mniej więcej półtora tysiąca. Ogólnego ujemnego bilansu „pandemicznego" okresu nie zmienia marzec, w którym na świat przyszło o 4 tys. więcej dzieci niż w analogicznym miesiącu ubiegłego roku, i tyle samo co w 2019 r.

Według prof. Kotowskiej pozostaje tylko jedno pytanie: w jakim stopniu wybuch epidemii i towarzyszące mu lęki (zdrowotne, ekonomiczne) mogły wpłynąć trwale na rezygnację z posiadania potomstwa, a na ile spowodowały jedynie tymczasowe odkładanie decyzji o dziecku (na to drugie mogą wskazywać marcowe zwyżki).

Źle byłoby i bez epidemii. Starzejemy się i jest nas coraz mniej (wirus dołożył tu swoją tragiczną pulę). Rodzi się bardzo mało dzieci: w ubiegłym roku tylko 355 tysięcy, czyli najmniej od kilkunastu lat. Polki są coraz mniej chętne do rodzenia: współczynnik dzietności, po wzroście w 2016 i 2017 r., zaczął znowu spadać, aż do wartości 1,37 dzieci na kobietę w wieku rozrodczym w 2020 r., podczas gdy do tzw. zastępowalności pokoleń potrzebne jest nieco ponad 2.

A będzie tylko gorzej. Z tyleż banalnego, co rzadko eksponowanego publicznie powodu: w Polsce nie ma komu rodzić. W ciągu ledwie kilku lat (od 2013 r.) ubyło więcej niż pół miliona kobiet z przedziału wiekowego 20-34 lata. A w ciągu lat kolejnych ubywać będą następne setki tysięcy. Spójrzmy na tylko jeden z jaskrawych wycinków tego zjawiska: podczas gdy w 2013 r. żyło nad Wisłą niemal 1,5 miliona kobiet w wieku 25-29 lat, w okolicach 2030 r. może ich być około 900 tysięcy.

Nie tylko pieniądze

Politycy i urzędnicy rządzącego obozu najwyraźniej tę wiedzę już przyswoili, skoro unikają hurraoptymistycznej – obecnej jeszcze przy wprowadzaniu 500 plus – retoryki, zgodnie z którą władza posiadła jakoby receptę na „polski *baby boom*". Znamienne, że w rozdętym pomimo dość ogólnikowego języka do 132 stron Polskim Ładzie o demografii wprost mowa jest raz, o dzietności zaś dokument milczy.

O tym, że poprawa jej wskaźnika to jeden z celów głośnego pakietu zmian, dowiadujemy się z mediów. „Liczę, że te rozwiązania (...) istotnie wpłyną na zwiększenie dzietności" – mówiła np. w wywiadzie dla portalu tvp.info wiceminister rodziny i polityki społecznej Barbara Socha, zapowiadając rychłe ogłoszenie rządowej strategii demograficznej.

O jakie rozwiązania chodzi? Główna nowość to pakiet propozycji mieszkaniowych. – To, że brak samodzielnego mieszkania stanowi jedną z barier decyzji o posiadaniu potomstwa, wiemy od lat – mówi prof. Kotowska. – Nie może być inaczej, skoro niemal połowa Polaków w wieku 25-34 lata mieszka z rodzicami. A może być jeszcze gorzej, bo ceny nieruchomości rosną, a sytuacja ekonomiczna wielu młodych się pogarsza.

Czy sytuację uleczą propozycje z Polskiego Ładu? Jeśli wejdą w życie, państwo wyłoży pieniądze na tzw. wkład własny do mieszkania młodego Polaka. A nawet spłaci część jego kredytowych zobowiązań: po 30 tys. zł z tytułu każdego kolejnego dziecka – począwszy jednak od drugiego.

Drugi filar Ładu w wydaniu prorodzinnym to rozszerzenie strumienia finansowego kierowanego do par z dziećmi. Połączony ściśle z trzecim – próbą wzmocnienia pomocy państwa w opiece nad dziećmi w wieku żłobkowym (1-3 lata), ale niekoniecznie w żłobkach. Chodzi o kolejne finansowe wsparcie, zwane przez autorów dokumentu „kapitałem opiekuńczym": wypłacane w ratach przez rok lub dwa 12 tysięcy złotych gotówki rodzice drugiego i kolejnych dzieci będą mogli wykorzystać dowolnie, np. płacąc wynajętej opiekunce.

– Nie znajduję uzasadnienia dla nazywania tego transferu „kapitałem opiekuńczym", przecież środki te mogą być wydatkowane na inne cele niż opłacanie opieki dla dziecka. To zatem nic innego jak dodatkowe świadczenie pieniężne dla rodziców małych dzieci. A może po prostu trzeba powiedzieć, że wobec istniejącego niedostatku publicznych usług edukacyjno-opiekuńczych dla dzieci do 3. roku życia, te 12 tys. zł należy potraktować jako rekompensatę ponoszonych wydatków – komentuje prof. Kotowska.

Badaczka dzieli się swoją największą obawą w związku z tym rozwiązaniem: – Może ono, podobnie zresztą jak 500 plus kilka lat temu, wpłynąć na spadek aktywności zawodowej kobiet, zwłaszcza tych, którym było na rynku pracy najtrudniej. Zarówno Polski Ład, jak i wypowiedzi urzędników oraz polityków towarzyszące ogłoszeniu tego dokumentu wskazują zresztą na to, że dla przedstawicieli władzy wychowanie dzieci to opowieść niemal wyłącznie o kobietach. Pani minister Socha w wywiadzie dla TVP Info mówi nawet o „rocznym urlopie macierzyńskim", choć takiego urlopu nie ma: macierzyński w wymiarze 20 tygodni przy urodzeniu jednego dziecka przysługuje matce, która po pierwszych 14 tygodniach może przekazać go ojcu, pozostałe 32 tygodnie zaś to urlop rodzicielski, który może wziąć matka albo ojciec.

Polski Ład w części poświęconej rodzinie to zatem odtworzenie jej konserwatywnej wizji. Ale równocześnie – przynajmniej na papierze – odpowiedź na formułowany przez demografów od lat postulat: jeśli chcemy mieć więcej dzieci, nie ograniczajmy się do wypłacania młodym Polakom pieniędzy. W dodatku, jak na standardy obozu Jarosława Kaczyńskiego, odpowiedź pozbawiona zbytniej ilości ideologicznego sosu. Gdyby nie bijąca wszelkie rekordy groteski zapowiedź stworzenia „nowej umowy międzynarodowej" – konwencji mającej w istocie dać prawo rodzicom do trzymania z dala od szkoły organizacji, które prawicy kojarzą się z tolerancją i równością płci – moglibyśmy wręcz mówić o dokumencie pragmatycznym.

A jednak istnieje kilka zasadniczych „ale".

Niech państwo się rozliczy

Pierwsze jest prozaiczne: nie wiemy dziś, ile z zawartych w Polskim Ładzie obietnic przejdzie do szybko zapomnianej historii politycznej propagandy, a ile zostanie faktycznie wdrożonych.

Drugie „ale": władza szykuje właśnie kolejną potężną, wielomiliardową inwestycję w polską dzietność, nie rozliczywszy się z poprzedniej. To znamienne, że Polski Ład – sumujący także to, co obóz rządzący uważa za swój sukces – strategicznie milczy o fiasku pierwszej kampanii na rzecz dzietności. Skoro po krótkotrwałym i nieznacznym wzroście dzietności w latach 2016-17, w ubiegłym roku wróciliśmy do liczby urodzeń sprzed 500 plus, warto zadać pytanie: czy polskie państwo nie wyczerpało potencjału wpływania na wybory młodych ludzi? Nie topi miliardów w finansowanie misji niemożliwej, w dodatku pogłębiając mimowolnie podział na Polaków lepszych i gorszych – dzietnych i bezdzietnych?

Prof. Kotowska uważa, że odpowiedź jest mimo wszystko nadal przecząca. – Sugerują to zmiany dzietności w niektórych krajach europejskich, gdzie udało się uniknąć spadku do niskiego poziomu właśnie dzięki mądrze prowadzonej polityce – mówi badaczka. Według niej do takiej polityki wiele nam jeszcze jednak brakuje. Bo lekceważone są ważne dla rodzin sektory usług edukacji czy zdrowia; bo nie dostrzegamy zmian życia rodzinnego i podziału zobowiązań między kobiety i mężczyzn; bo nie doceniamy wagi coraz powszechniejszych lęków: klimatycznych, zdrowotnych czy tych związanych z wprowadzeniem restrykcyjnego prawa antyaborcyjnego.

– Jeśli to zmienimy, w połączeniu z transferami pieniężnymi i innymi narzędziami możemy osiągnąć efekt – mówi demografka. – Polegający jednak nie na wzroście urodzeń, ale na próbie zmniejszenia ich spadku. Na to pierwsze w najbliższych dekadach nie liczmy. ©℗

REKLAMA





ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Ogródki kawiarniane ponownie otwarte dla gości. Gdańsk, 15 maja 2021 r.

Koszyk się rozpadł

WOJCIECH PACZOS, EKONOMISTA:

W obecnej sytuacji inflacja jest czymś naturalnym. To koszt uratowania gospodarki.

MAREK RABIJ: Zaczęła się dekada szalejącej inflacji?

WOJCIECH PACZOS: Nie używajmy tak mocnych słów.

Świat nie ma z nią problemu?

Nie. To wciąż zjawisko lokalne, choć występujące w kilku miejscach jednocześnie. Nie jest do końca jasne, czy z tych samych powodów, i to jest ciekawe. Problem z inflacją mają USA, ma Polska, w mniejszym stopniu Wielka Brytania. W strefie euro wzrost cen wydaje się być pod kontrolą.

Skupmy się na Polsce.

To może zacznijmy od tego, że na poziom inflacji największy wpływ mają trzy czynniki. Pierwszy to nadmierny popyt. Drugi to wzrost kosztów, na przykład surowców. Trzecią sprawą jest sposób, w jaki się tę inflację mierzy. W Polsce wiosną ubiegłego roku jej odczyty były na bardzo niskim poziomie, dlatego aktualne wskaźniki mogą wydawać się tak niepokojące. Jeśli uznamy, że jedynym powodem wzrostu inflacji jest taki, nazwijmy to, zbieg statystycznych okoliczności, nie ma powodu do interwencji ze strony banku centralnego. Podobnie jak w drugim przypadku, kiedy za wzrostem cen stoją drożejące surowce. Bank centralny powinien jednak wkroczyć do akcji, kiedy inflację napędza nadmierny popyt.

Jak teraz?

Niestety Rada Polityki Pieniężnej nie ma dziś pomysłu na to, co się dzieje w gospodarce. W jej komunikatach nie znajdziemy typowych dla tego typu ciał prognoz, z których można by się dowiedzieć, czy Rada uważa skok inflacji za zjawisko krótkoterminowe, czy raczej za coś poważniejszego.

Można odnieść wręcz wrażenie, że Rada nie walczy z inflacją. Dzięki temu rząd może się tanio zapożyczać na polskim rynku kapitałowym.

No to mielibyśmy jeszcze większy problem, bo ten scenariusz oznaczałby, że członkowie RPP są cyniczni. Ja bym się aż tak daleko nie zapuszczał, wolę założyć, że to błąd. Bo jeśli prześledzisz zeszłoroczne komunikaty RPP, znajdziesz w nich w zasadzie aż do listopada ostrzeżenia przed deflacją, czyli spadkiem cen. A to znaczy, że członkowie Rady po prostu nie wiedzieli, co w gospodarce trzeszczy. Ten kryzys rzeczywiście różni się genezą i dynamiką od wcześniejszych, bo zaczął się od zmuszenia tysięcy firm do przestoju, czyli sztucznego ograniczenia strony podażowej. Ale to nie zmienia faktu, że RPP nie dostrzega jego natury, nie potrafi rozróżnić, kiedy ma do czynienia z szokiem podażowym, a kiedy w grę wchodziła zmiana dynamiki popytu. A to nie wszystko. Powiedz mi, czym się zajmuje Rada Polityki Pieniężnej?

Zgodnie z ustawą o Narodowym Banku Polski stoi na straży inflacji. Ma nawet wyznaczony próg: 2,5 proc.

Czyli mogę to sparafrazować tak, że polityka monetarna w Polsce zarządza inflacją. Tak to przynajmniej funkcjonuje w odbiorze społecznym. Tylko że to nieprawda. Inflacją się nie da zarządzać. Za pomocą polityki monetarnej można za-

rządzać jedynie oczekiwaniami inflacyjnymi.

Czyli?

Wyobraźmy sobie, że jesteś właścicielem fabryki i co miesiąc musisz kupić surowce potrzebne do produkcji. Stale monitorujesz rynek. Jeśli poczujesz, że surowce mogą zdrożeć, zapewne spróbujesz się zawczasu na to przygotować i podniesiesz ceny swoich wyrobów.

A mogę być także poddostawcą dla innych fabryk.

Otóż to. Ich właściciele również obserwują bacznie rynek i jeśli wyjdzie im, że pan Marek będzie podnosić ceny, zrobią to samo. Suma tego typu intuicji i obserwacji – bo mechanizmy inflacyjne są badane gruntownie od lat – tworzy właśnie coś, co nazywamy oczekiwaniami inflacyjnymi. Dlatego RPP, do której zaprasza się doświadczonych praktyków, zbiera się co miesiąc i ocenia poziom ryzyka utraty kontroli nad emocjami rynku – bo to oczekiwania inflacyjne decydują o tym, jaka będzie w przyszłości inflacja. Gdyby chodziło wyłącznie o reakcję na przekroczenie wspomnianego pułapu 2,5 proc., mogłoby się to odbywać automatycznie. Całą politykę monetarną mógłby robić nam jeden komputer albo praktykant.

Powiedziałeś: „utrata kontroli nad emocjami".

Bo inflacja to zjawisko w głównej mierze psychologiczne. Klasycznie pojmowana inflacja, tak jak ją definiował Milton Friedman, była zjawiskiem związanym z podażą pieniądza. Gdy jest go dużo w gospodarce, ceny rosną. Matematycznie wynika to z tzw. równania wymiany Fishera, ale dziś rozumiemy już, że sprawdza się to tylko przy założeniu, że PKB nie ulega zmianie i że tempo obiegu pieniądza w gospodarce jest mniej więcej stałe.

Czyli w warunkach, które w realnej gospodarce nie istnieją.

I może się okazać na przykład, że większa ilość gotówki w obiegu spowalnia jej obrót i żadnej inflacji nie ma. W przybliżeniu coś takiego wydarzyło się po kryzysie finansowym w Europie i USA.

W Polsce w ciągu kilku miesięcy rząd wpompował do gospodarki setki miliardów złotych – i to w żywej gotówce, która trafiła na konta firm i pracowników. Te pieniądze miały od początku jeden cel: stymulować popyt. Jego wzrost nie powinien być więc zaskoczeniem.

I tak, i nie. W sektorze prywatnym popyt się załamał, bo pozamykani w domach, nierzadko przestraszeni ludzie ograniczyli wydatki. Na obiad do restauracji czy na narty nie dało się zresztą ot tak po prostu wyjść, bo te usługi nie działały. Część konsumentów w obawie przed niepewną przyszłością wolała oszczędzać. Ale z drugiej strony mieliśmy do czynienia z gigantycznym nadpopytem ze strony sektora publicznego. Za pomocą tarczy antykryzysowej państwo *de facto* płaciło za to, żeby firmy nie działały – tak jakby zgłaszało popyt na ich produkty i usługi, ale nie oczekiwało ich dostarczenia.

Optymalnym rozwiązaniem byłoby zrównoważenie spadku popytu w sektorze prywatnym identycznym wzrostem w sektorze publicznym w czasie lockdownu, a potem odwrotnie – takie ograniczenie popytu sektora publicznego, aby równoważyć wzrost popytu prywatnego. Ale gospodarka to nie jest programowalny algorytm – tego się tak dokładnie wymierzyć nie da. Od początku powtarzałem, że lepiej przedobrzyć, niż zrobić za mało, bo jeśli popyt będzie na niedostatecznym poziomie, gospodarka się do niego dostosuje zmniejszając swoją podaż. Zaczną się zwolnienia, obniżki wynagrodzeń, bankructwa, słowem – procesy, których odwrócenie w porównaniu ze schłodzeniem gospodarki kosztuje o wiele więcej.

W nocy z 14 na 15 maja szał konsumpcjonizmu ogarnął polskie miasta. Z wybiciem północy otworzono ogródki w barach i restauracjach.

I ten niezrealizowany popyt będzie jeszcze przez chwilę widoczny. Dla rządu to czas na stopniowe hamowanie popytu publicznego. To się zresztą w dużej mierze dzieje automatycznie, bo większość programów z tarczy antykryzysowych dobiegła już końca.

Już w zeszłym roku pisałem, że właśnie ten moment, kiedy dojdzie niejako do zrównoważenia obu wymienionych popytów, będzie chwilą prawdy dla polskiej polityki monetarnej, bo niemal na pewno dojdzie do wzrostu inflacji. Rada Polityki Pieniężnej mogła zapowiadać to od miesięcy bez narażania się na zarzuty ekonomicznego kuglarstwa, bo w obecnej sytuacji inflacja jest czymś naturalnym. To koszt uratowania gospodarki.

Rachunek za reanimację jest już zamknięty?

W tym roku PKB znowu będzie na plusie, ale lepiej zauważyć, że pomimo bezprecedensowej w dziejach polskiego wolnego rynku interwencji państwa gospodarka wciąż nie wróciła do tempa, z jakim rozwijała się przed pandemią. Nadal nie działa na pełnych obrotach. Znikają kolejne obostrzenia, ale strach pozostaje. Przez niemal cały ubiegły rok firmy nie inwestowały i udział inwestycji w PKB spadł przez to do rekordowo niskiego poziomu.

Premierowi Morawieckiemu w jego planie sprzed kilku lat śnił się 25-procentowy wkład inwestycji w PKB. Nie mamy tymczasem nawet 17 proc.

Trudno się dziwić. Wielu ekonomistów zakłada, że tego odłożonego popytu – tych niewypitych kaw w mieście, niezjedzonych obiadów, niewysłuchanych koncertów i niezrobionych zakupów w centrach handlowych – zgromadziło się przez ostatni rok na tyle dużo, że wystrzelą teraz gospodarkę jak z procy. Ale czy będąc przedsiębiorcą postawiłbyś na to założenie własne pieniądze? Ja ciągle mam obawy o najbliższe miesiące. Widzę w statystykach, że chętnie szczepią się 30-, 40-latkowie, ale wśród 80-latków tylko trochę ponad połowa dostała zastrzyk. W pozostałych starszych rocznikach nie jest wiele lepiej, dlatego uważam, że nadal istnieje realne ryzyko czwartej, jesiennej fali i ponownego lockdownu. Nie ma też pewności, czy szczepienia będą chronić przed nowymi wariantami koronawirusa. Wątpliwości jest nadal tak dużo, że będą studzić entuzjazm inwestorów i konsumentów.

Prawdę mówiąc, nie zazdroszczę teraz członkom RPP. Gospodarka znajduje się w newralgicznym momencie i wiele zależy od tego, co zrobi Rada. Problem w tym, że oni moim zdaniem nawet nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji.

A może niechęć do podnoszenia stóp procentowych trzeba odczytać jako zachętę do wydawania? „Konsumujcie, obywatele, albo to, co macie, zeżre wam inflacja". ↦

↦ Nie. Pomimo najniższych od lat stóp mamy też rekordowo wysoki poziom oszczędności. I prywatnych, i firmowych. Stopą procentową, która uruchomiłaby te zasoby, jest dopiero stopa głęboko ujemna. Te, które mamy, bliskie zera, są nadal „wysokie". Używam tego określenia z premedytacją, wiedząc, że brzmi to absurdalnie, ale tak jest – poziom niepewności jest po prostu tak wielki, że posiadacze oszczędności gotowi są ponosić straty na lokatach, byle zachować kapitał na czarną godzinę.

W państwach Europy Zachodniej to zjawisko kumulowania się oszczędności pomimo niskich, czasami wręcz ujemnych stóp procentowych znane jest od kilkunastu lat, nazywa się je sekularną stagnacją. Nie wiemy w tej chwili, czy właśnie obserwujemy jego początki w Polsce, czy może trzeba je wiązać z ostatnim kryzysem.

To co powinna zrobić w tej sytuacji RPP?

Według mnie podwyżka stóp byłaby nazbyt ryzykownym krokiem, bo to może wykoleić odbicie gospodarki. Poza tym w ten sposób można wylać dziecko z kąpielą. Stopy procentowe podnosisz przecież wszystkim. Nie da się podwyższyć ich tylko tym, którzy już mają oszczędności i dzięki temu przestaną tracić na trzymaniu pieniędzy na lokatach, a jednocześnie utrzymać je na niskim poziomie na przykład dla tych, którzy planują wziąć kredyt na pierwsze mieszkanie. No i przy podwyżce stóp rosną automatycznie również koszty obsługi długu publicznego.

Czyli nie da się jednocześnie schładzać gospodarki tam, gdzie zaczyna się przegrzewać, i stymulować tam, gdzie tego potrzebuje?

Do tego służą podatki. Już gdzieś mówiłem, że zanim w Polsce pójdą w górę stopy procentowe, najpierw powinny wzrosnąć podatki. No nie ma zmiłuj, jakoś musimy spłacić ten kryzys. Jasne, to politycznie trudne, ale z punktu widzenia teorii ekonomii znacznie skuteczniejsze, bo pozwala interweniować bardziej punktowo. Przypomnę, że gdy na początku lat 90. w Polsce szalała hiperinflacja, Leszek Balcerowicz ograniczył ją między innymi właśnie za pomocą podatków.

Ze stopami procentowymi jest jeszcze inny problem. W tej chwili nie wiemy dokładnie, jak wysoką mamy inflację. Wiosną zeszłego roku, kiedy wprowadzono pierwszy lockdown, ceny zaczęły spadać. RPP ogłosiła alert deflacyjny, ale pominęła fakt, że z rynku zniknęło wiele usług. Na wczasy w kwietniu nie mogłeś pojechać za żadne pieniądze. To samo z siłownią i piwem w knajpie. Pisaliśmy wtedy z Pawłem Bukowskim, moim kolegą po fachu, że za rzekomym ryzykiem deflacji kryje się tak naprawdę inflacja niedomierzona o około 1 punkt procentowy. Około, bo nie dało się jej dokładnie zliczyć. Koszyk produktów i usług, służący zwykle do tego celu, nagle się nam rozpadł. Dopiero niedawno nasze symulacje potwierdził raport Polskiego Instytutu Ekonomicznego, którego autorzy dopasowali zawartość koszyka inflacyjnego do realiów pandemicznych, patrząc na dane z kart płatniczych.

Rada Polityki Pieniężnej powinna była o tym wiedzieć i uspokajać nastroje, zamiast opowiadać banialuki o deflacji. Potrzebny był wtedy komunikat, że informacje płynące z gospodarki są szczątkowe i mogą być mylące, dlatego na pierwszy plan musi iść utrzymanie podaży poprzez takie wirtualne podtrzymywanie popytu, a inflacją zajmiemy się później. Tak mówiły inne banki centralne. Nasz poszedł swoją drogą, dość – szukam dobrego słowa – kontrowersyjną. Prezes Glapiński jeszcze przed pandemią zapowiadał, że do końca jego kadencji nie będzie żadnych podwyżek stóp procentowych. Nie rozumiem tego, bo RPP w ten sposób sama związuje sobie ręce.

Mamy zatem powiedzieć przeciętnemu Polakowi, że ma się znowu poświęcić dla PKB? Komuś z pensją na poziomie 3-4 tys. zł, bez większych szans na podwyżkę, bo bezrobocie znowu zaczęło rosnąć. Żywność, na którą wydaje większość zarobków, drożeje w szybkim tempie. Więcej kosztuje także paliwo, opłaty komunalne. Oszczędności – jeśli w ogóle jakieś posiada – przy obecnych stopach procentowych są *de facto* oprocentowane ujemnie, a odsetki nie pokrywają nawet opłat bankowych.

Dokładnie przed tym ostrzegaliśmy rok temu w tekście, który napisałem razem ze wspomnianym Pawłem Bukowskim. Apelowaliśmy wtedy, że poza planem na ratowanie gospodarki potrzebny jest także plan, kto i ile za to zapłaci. Bo jeśli go nie będzie, skończy się tak, jak to opisałeś. Stopy procentowe utrzymywane na niskim poziomie sprawią, że zadłużenie w stosunku do rosnącego PKB będzie się spłacać niejako samo, ale jednocześnie uderzą po kieszeni niezamożnych. Tych kurierów, te kasjerki i pielęgniarki, które nie mogły przejść na pracę zdalną, żeby zmniejszyć ryzyko zakażenia.

Ci ludzie nie mają oszczędności, które powstały wskutek ograniczenia konsumpcji podczas lockdownu, bo nigdy nie konsumowali ponad miarę, a jeśli jakieś zgromadzili, to właśnie zjada je inflacja. Podwyżka stóp procentowych zapewniłaby im ochronę tych skromnych nadwyżek, ale odebrałaby jeszcze więcej, bo wraz ze stopami procentowymi w górę poszłoby także oprocentowanie kredytów. Dlatego mówiliśmy, że czas na trudną rozmowę o podwyżce podatków.

Zwracam uwagę na temperaturę dyskusji, jaka rozgorzała po ogłoszeniu założeń tzw. Polskiego Ładu. Dominuje konsensus, że podatki trzeba podnieść. Ale tajemniczym „im". Nigdy „nam".

W Polsce pułap 10 proc. najlepiej zarabiających zaczyna się od zarobków na poziomie 9 tys. zł brutto. Z jednej strony to niewiele w porównaniu z najbogatszymi krajami, ale z drugiej strony – to więcej niż zarabia 90 procent Polaków. I teraz zadajmy sobie dwa pytania: kto najwięcej skorzystał na tym, że nasza gospodarka nie zwinęła się w trakcie kryzysu? I kto za te pakiety ratunkowe powinien zapłacić? W mojej ocenie propozycje podatkowe Polskiego Ładu są wyjątkowo skromne, ta temperatura dyskusji bardzo mnie dziwi, ale to chyba temat na inną rozmowę.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ



ARCHIWUM PRYWATNE

DR WOJCIECH PACZOS pracuje na Uniwersytecie w Cardiff. Prowadzi badania długu publicznego i polityki monetarnej. Jest adiunktem w Polskiej Akademii Nauk i założycielem grupy eksperckiej „Dobrobyt na pokolenia".

JACEK

Podsiadło:
Jak tworzę



Stają przed Wami nagi, z gronostajem na półłokciu i regał suto zastawiony książkami mając za plecami, gdyż pragnę się wypowiedzieć, jak tworzę, a dawno nie była na ten temat przeprowadzona ankieta ani sonda z moim udziałem.

Otóż ja tworzę tak, że sam nie wiem, jak to robię. Dopiero jak coś stworzę, to widzę z grubsza, com uczynił. I zauważam wtedy to i owo. Tym tylko się mogę podzielić.

Jak wiecie, jestem poetą. Tworzę zatem wiersze, zaś moim ulubionym tworzywem jest samo życie, z którego czerpię garściami. I zauważyłem ciekawą rzecz: że już bardzo dawno nie napisałem wiersza nowoczesnego. Takiego, wiecie, który już sto lat temu był nowoczesny: bez kropek, bez dużych liter, bez rymów, bez niczego. Za to coraz częściej piszą mi się wiersze zdaniowe. Dałoby się nawet powiedzieć, że cofam polską poezję do średniowiecza, bo wtedy się tak w nadwiślańskich borach pisało na kolanie. To dlatego, że wieloznaczność osiągnięta przez to, że się gdzieś nie postawiło przecinka, wydaje mi się efektem tanim, odpustowym.

Kogo wiersze nie interesują, ten niech sobie wsadzi język wszędzie tam, gdzie mówię o poezji. To się Wam naprawdę może przydać, jeśli nie macie zaplanowanej niemoty na resztę swoich dni. Miałem niedawno przyjemność wymienić z Tomaszem Ososińskim kilka luźnych uwag o wszystkim, tylko nie o języku, i niespodziewanie doszliśmy do wniosku, który był dla nas obu oczywisty, że poezja to język przyszłości. Że wszystko na to wskazuje. Że wszystkim nie wiadomo, dokąd prowadzącym liniom rozwoju języka w tym właśnie Rzymie wypada przesiadka, choćby skały skakały. Ostatnie doniesienia o odkryciu japońskich naukowców, że oddychanie dupą jak najbardziej jest możliwe, aczkolwiek jeszcze nie dziś, nadwątliły to moje przekonanie w niewielkim tylko stopniu.

Język chce do nas przemówić. Wiersz pragnie rygoru i nie ma na to rady. Jak próbujesz napisać wiersz pozbawiony rytmu, to musisz stosować bardzo wymyślne formy rytmiczne, jak chcesz pozbawić wiersz rymu, szukasz rymów jak najbardziej odległych. I nie wymyślimy już żadnych nowych form innych niż hybrydy. Poeta zawsze stoi w punkcie wyjścia, co wcale mu nie uniemożliwia międzyplanetarnych rajz.

Dlaczego poezja jest językiem przyszłości? Bo chyba tylko poezja jest w stanie spakować w języku więcej informacji, niż język jest w stanie pomieścić. Przeciwnie niż maksymalnie jednoznaczny język urzędowy, zmierza do wieloznaczności, może nawet nieskończonej (nawiasem mówiąc, właśnie dlatego poeci przed sądem zawsze wypadają z pozoru źle). Jest sposobem komunikacji, prawdopodobnie jedynym takim, któremu nie podoła sztuczna inteligencja. Jest szyfrem, który nigdy nie może zostać złamany do końca. Grą, której zasady dopiero się kształtują w trakcie każdej rozgrywki. Podupadły człowiek, który przegrywa w szachy z byle maszynką, nigdy nie przestanie wygrywać turniejów poetyckich o Listek Laurowy. W porównaniu z poezją szachy to warcaby. Poezja to też język, którego nie można się nauczyć inaczej, jak tylko ze słuchu. Podręczniki do kosza. Wszelkie „interpretowanie" wiersza, domaganie się, np. przez nauczycieli, informacji, co się wyłania po rozpakowaniu komunikatu nadesłanego przez p. Słowackiego, jest jak błaganie ślepego, żeby mu zaraz po rozpakowaniu prezentu opowiedzieć to, co jest w środku. Ślepy zawsze dostaje to samo, figę i rózgi.

Może słyszeliście, że w poezji słowa dziwią się słowom, a nie wiecie, jak to możliwe. A wyguglujcie sobie podwójne wahadło. Najlepiej po angielsku, *double pendulum*, bo po polsku to Wam mogą moje wiersze wyskakiwać. Pojedyncze wahadło wszyscy znamy i wiemy, jak działa. Mamy je oswojone, przewidywalne. Wiersze Marii Konopnickiej to jest to. Natomiast wahadło podwójne to wahadło zamocowane na wahadle. Widzicie? Widzicie, jak po wprawieniu go w ruch dolne wahadło zdziwione jest tym, co się z nim wyrabia? Jak rozsadza je energia, którą dostaje nie wiadomo skąd? Założę się, że macie wrażenie, że macie do czynienia z czymś w rodzaju tańca, z chaosem, w którym panuje porządek. Działanie poezji można sobie tak właśnie wyobrażać. Z każdym majtnięciem każdego elementu wahadła przed całym układem otwierają się nowe możliwości. Jak w wierszu: to, co się „działo" w pierwszym wersie, wciąż trwa i działa na wers drugi, potem na trzeci, wpływa na niego raz słabiej, raz mocniej. Wiersz jest prosty jak konstrukcja cepa, tyle że w przypadku cepa młócący próbuje zapanować nad pierwszym z dwu wahadeł, żeby to drugie zachowało się w sposób w pełni przez niego zaplanowany. Gdyby zorganizowano światowy czempionat Mister Cep 2021, to też pierwsze miejsce wziąłby komputer, drugie robot, a człowiek ledwie by się załapał na podium. Ale gdyby dać cepowi wolność, żeby był cepem-samoklepem... Muszę kończyć, chociaż wciąż stoimy w progu, bo są przecież różne rodzaje wahadeł i różne podwójności, wahadła potrójne i inne. Krótko mówiąc, wysoka sondo, lepiej tego nie potrafię wyłożyć. W każdym razie ja tak właśnie tworzę, że wypuszczam gronostaja, rozbieram się do naga i wprawiam w ruch pierwsze słowo, a reszta jakoś leci, jakoś się buja. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 67/21 toczy się postępowanie z wniosku Haliny Skwara o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w Skowierzynie, a stanowiących działkę numer ewidencyjny 633 o powierzchni 0,69 ha i działkę numer ewidencyjny 634 o powierzchni 0,10 ha, na które został wydany akt własności ziemi na rzecz Marii Szalka zamieszkałej ostatnio w Rzeszowie przy ulicy Limanowskiego 8.

Wzywa się spadkobierców Marii Szalka, aby zgłosili się do udziału w sprawie i wykazali swoją własność w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia.

PIES STRÓŻUJĄCY I OJCIEC DYREKTOR

Prawnicy Watchdoga, domagając się informacji na temat dotacji publicznych dla Fundacji Lux Veritatis o. Tadeusza Rydzyka, poruszyli delikatną strunę. Stąd gwałtowna reakcja mediów o. Rydzyka – i przedstawicieli władzy.

KAROL WILCZYŃSKI



KAROL PORWICH / EAST NEWS

ZA ATAKAMI *na Radio Maryja stoją organizacje niesprzyjające Kościołowi, a nawet antyewangelizacyjne. One nie tylko nas nękają, wręcz dążą do zamknięcia nam ust – o. Rydzyk na antenie Radia Maryja, 28 kwietnia.*

Chciałbym wyrazić słowa solidarności z ojcem dyrektorem i całą rodziną Radia Maryja" – powiedział 30 kwietnia na antenie radiostacji należącej do o. Tadeusza Rydzyka Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości i prokurator generalny. Słowa te padły w dniu, w którym o. Rydzyk został wezwany do sądu na rozprawę dotyczącą zarządzanej przez niego Fundacji Lux Veritatis (Światło Prawdy) oraz dostępu do informacji na temat dotacji publicznych dla Fundacji, o który wystąpiło Stowarzyszenie Sieć Obywatelska Watchdog Polska.

TO MY POWINNIŚMY *podać do sądu Watchdoga, że nas prześladuje. To jest prześladowanie chrześcijan – o. Rydzyk na antenie Radia Maryja, 3 maja.*

Sam proces miał się rozpocząć na początku kwietnia, ale Sąd Rejonowy Warszawa-Wola otrzymał liczne wnioski formalne od obrońców Fundacji oraz – co nietypowe – od samej prokuratury. Sąd nie może rozpocząć procesu, dopóki nie rozpatrzy takich wniosków.

Pomimo to Zbigniew Ziobro już rozstrzygnął, że „w sposób oczywisty, jasny widać, że jest to sprawa naciągana" i określił ją jako „nękanie", „prześladowanie", „inwigilację". „To są metody rodem wzięte z reżimu i realiów, w jakich działa reżim Łukaszenki" – stwierdził w Radiu Maryja.

Poza porównaniem do białoruskiego przywódcy jest to powtórka narracji obowiązującej w mediach należących do o. Rydzyka, które w ostatnich dniach poświęcają sprawie Watchdoga najlepszy czas antenowy oraz obszerne artykuły na pierwszych stronach „Naszego Dziennika". Według tej narracji sam o. Rydzyk jest ofiarą: nie tylko polskiego NGOsa, ale również bliżej nieokreślonych sił wrogich mediom Rydzyka, Kościołowi i Polsce.

Choć cała sprawa nabrała tempa i medialnego rozgłosu w ostatnich dniach, to zaczęła się w połowie 2016 r., kiedy Sieć Obywatelska Watchdog Polska przesłała do Lux Veritatis wnioski o udostępnienie informacji publicznej. Pytania dotyczyły działań Fundacji, finansowanych ze środków publicznych (chodziło wówczas o dotacje otrzymane w latach 2008–2016



XXVII Pielgrzymka Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. Częstochowa, lipiec 2018 r.

oraz zestawienie wydatków z nich poczynionych w 2016 r.).

– Chcieliśmy zobaczyć, jak wygląda przepływ funduszy publicznych w fundacjach związanych z Tadeuszem Rydzykiem – Lux Veritatis i Nasza Przyszłość – po zwycięstwie wyborczym PiS – tłumaczy Szymon Osowski, prezes stowarzyszenia Sieć Obywatelska Watchdog Polska.

Po sześciu miesiącach nieskutecznych zabiegów o udostępnienie informacji, pod koniec stycznia 2017 r. przedstawiciele Watchdoga złożyli zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Kolejne 5 miesięcy zajęło Fundacji Lux Veritatis udzielenie częściowej odpowiedzi na wniosek. W przesłanej informacji wymieniono listę dotacji ze środków publicznych, ale nie udzielono pełnej odpowiedzi.Co istotne, przekazanie tego pisma zbiegło się w czasie z utrzymaniem przez Sąd Rejonowy dla Warszawy-Woli postanowienia prokuratury o odmowie wszczęcia śledztwa (24 maja 2017 r.). Prokuratura uzasadniała odmowę tym, że brakowało wyroku sądu administracyjnego.

Wyrok ten pojawił się dopiero pół roku później. Potwierdzono w nim, że dane, o które wnioskował Watchdog, „są informacją publiczną". Lux Veritatis złożyło skargę kasacyjną, ale 30 listopada 2018 r. oddalił ją Naczelny Sąd Administracyjny. Tylko w tym okresie Fundacja i media o. Tadeusza Rydzyka otrzymały od organów państwa niemal 100 milionów złotych.

OD POCZĄTKU *odbiera się nam dobre imię przez kłamstwa, oszczerstwa itp., bo tak się robi, jeżeli chce się kogoś zniszczyć. Tak robił Hitler, tak robił Stalin, tak robili w Hiszpanii, w Meksyku. Tak było z ks. Jerzym Popiełuszką – o. Rydzyk na antenie TV Trwam, 27 kwietnia.* ↦

↦ Fundacja Lux Veritatis funkcjonuje od 1998 r. Jej twórcą i prezesem jest o. Tadeusz Rydzyk. W zarządzie Fundacji znajdziemy najbliższych współpracowników zakonnika: o. Jana Króla (również redemptorystę, właściciela i prezesa spółki Bonum, członka komisji rewizyjnej Fundacji Nasza Przyszłość oraz – co najistotniejsze z perspektywy dotacji rządowych w ostatnich latach – prezesa spółki Geotermia Toruń) i Lidię Kochanowicz-Mańk (także zasiadającą w ścisłych władzach Geotermii Toruń, Fundacji Nasza Przyszłość oraz Bonum).

Fundacja Lux Veritatis jest najważniejszym podmiotem założonym i prowadzonym przez o. Rydzyka. To ona otrzymała koncesję na nadawanie telewizji Trwam oraz odpowiada za rozpoczętą w 2012 r. budowę świątyni pod wezwaniem Maryi Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i św. Jana Pawła II w Toruniu. To do Fundacji wreszcie należy spółka Geotermia Toruń, która otrzymała wielomilionowe dotacje od rządu PiS na budowę ciepłowni geotermalnej. Przychody Lux Veritatis zaczęły systematycznie rosnąć od 2015 r., osiągając kwoty ok. 50 mln złotych rocznie.

Dosyć dużą część tych przychodów stanowią dotacje z różnych resortów. Te z Ministerstwa Sprawiedliwości, o których wiadomo, wyniosły ok. 4 mln złotych w 2017 r., z czego największą część stanowią zamówione przez resort „Szkolenia kompetencji medialnych dla pracowników sądów i prokuratury" (niemal 3 mln zł), finansowane w 84 proc. ze środków unijnych (Program Operacyjny „Wiedza Edukacja Rozwój"). Niestety Fundacja nie publikuje dokładnych rozliczeń – dlatego Watchdog się nią zainteresował.

Głosy mediów oraz interwencje najwyższych władz państwa wskazują, że prawnicy Watchdoga poruszyli delikatną strunę. Nic dziwnego, majątek o. Tadeusza Rydzyka, redemptorysty, założyciela Radia Maryja, TV Trwam i „Naszego Dziennika", od lat jest przedmiotem powszechnego zainteresowania i regularnie wraca jako temat medialnych „jedynek".

MYŚLĘ, ŻE POWINIEN *odezwać się Trybunał Konstytucyjny, bo ta sprawa wygląda na działania wbrew Konstytucji RP, podjęte wobec dużej społeczności Radia Maryja i Telewizji Trwam – o. Rydzyk na antenie TV Trwam, 27 kwietnia.*

Media kościelne milczą o procesie sądowym przeciwko Fundacji Lux Veritatis. Narrację katolicką **zdominowały media ojca Rydzyka.**

Politycy PiS oraz koalicyjnej Solidarnej Polski mogą zawsze liczyć na ciepłe przyjęcie przez o. Rydzyka. Ma to swoją cenę. Z wyliczeń Blanki Mikołajewskiej z Oko.press wynika, że w ciągu niemal 6 lat rządów PiS toruńskie media oraz Fundacja Lux Veritatis otrzymały łącznie co najmniej 335 milionów złotych. Co istotne, w zestawieniu dotacji od różnych resortów (tutaj wyróżnia się Piotr Gliński, którego Ministerstwo przekazało blisko 185 milionów złotych, czyli ponad połowę ujawnionych dotacji) brakuje informacji o dotacjach z Ministerstwa Sprawiedliwości, choć informacje o „współfinansowaniu" projektów przez ten resort pojawiają się np. na planszach w TV Trwam. Nic dziwnego więc, że o. Rydzyk zaczął poświęcać tak wiele uwagi działaniom Watchdoga i tak się stara, by sprawa w sądzie nie ruszyła.

Zaczął mobilizować zwolenników – z jednej strony krytykując działania Watchdoga, a z drugiej przedstawiając siebie jako ofiarę: „Być ciąganym po sądach, doświadczać kłamstwa, oszczerstw szerzonych nie tylko w Polsce, ale i w świecie; (...) to szansa na to, by choć trochę być podobnym do Pana Jezusa, który za bezgraniczną miłość był odrzucony, sądzony, strasznie znieważany, katowany, ukrzyżowany przez tych, których darzył i darzy bezgraniczną miłością" – pisał w artykule „Brońmy naszych mediów!" opublikowanym 5 maja na stronie internetowej Radia Maryja.

O. Rydzyk wskazuje też, że ofiarą działań Stowarzyszenia padają osoby korzystające z jego mediów: „Chcą nam odebrać możliwość wolnego nadawania przez radio i telewizję takiej ewangelizacji. Pytajcie, czy to jest konstytucyjne. Może to jest zapowiedź końca Polski? Oddawanie wszystkiego w ręce niepolskie. Czy nie są to polecenia spoza Polski? Czy to nie jest zorganizowane? To, co dzieje się z Telewizją Trwam i Radiem Maryja, jest zorganizowane. Mamy na to dowody" – pisał na łamach „Naszego Dziennika". Zaapelował do czytelników, by ci pisali do najwyższych władz polskich nie tylko w obronie Lux Veritatis, ale też wolności i niezależności Polski.

Do chóru zwolenników, oprócz Zbigniewa Ziobry, przyłączyli się czołowi politycy PiS (choć na razie sam prezes Jarosław Kaczyński czy prezydent Andrzej Duda nie zabrali głosu). „WSPIERAM Fundację LUX VERITATIS i NIE ŻYCZĘ sobie udostępniania informacji na ten temat lewackiej, antychrześcijańskiej sieci WATCHDOG Polska nękającej sądownie tę katolicką Fundację" – napisała Krystyna Pawłowicz, pełniąca aktualnie funkcję sędzi w Trybunale Konstytucyjnym.

Jak dotychczas, inne media kościelne nie wypowiedziały się w sprawie Watchdoga i Lux Veritatis. Narrację katolicką zdominowały media o. Tadeusza.

TRZEBA SIĘ MODLIĆ *za Polskę, za nas wszystkich, aby nie było w kimkolwiek z nas nienawiści, pragnienia odwetu, nienawiści do drugiego, nie było złego słowa. Do tego kusi szatan. Nienawiścią człowiek buduje jego królestwo – o. Rydzyk na łamach „Naszego Dziennika", 5 maja.*

Dlaczego dopiero teraz media związane z Fundacją Lux Veritatis zaczęły tak intensywnie interesować się sprawą? Ponieważ kiedy okazało się, że prokuratura się nią nie zajmie, Watchdog Polska w czerwcu 2020 r. wniósł subsydiarny akt oskarżenia. Od 9 kwietnia wyznaczane są rozprawy w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli.

Jednak 29 kwietnia tego roku, kiedy miało się odbyć przesłuchanie o. Rydzyka, jego obrońcy złożyli wniosek o zawieszenie sprawy do momentu, gdy Trybunał Konstytucyjny orzeknie o zgodności art. 23 ustawy o dostępie do informacji publicznej z Konstytucją. Artykuł ten stwierdza: „Kto, wbrew ciążącemu na nim obowiązkowi, nie udostępnia informacji publicznej,

podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku".

Co dalej? Istnieje obawa, że Trybunał Konstytucyjny – w którym dziś zasiada m.in. Krystyna Pawłowicz, była posłanka PiS znana jako gorąca zwolenniczka mediów Tadeusza Rydzyka – może doprowadzić do zamknięcia sprawy przed wyrokiem sądu.

„Cała sprawa pokazuje, jak wielki wpływ ma Tadeusz Rydzyk, prezes Fundacji Lux Veritatis, na większość rządzącą" – pisze na stronie Watchdoga Katarzyna Batko-Tołuć.

„Rydzyk wam nie musi pokazywać, na co wydaje wasze pieniądze, które mu dałem – tak należy czytać wypowiedź Ziobry" – pisze dla „Rzeczpospolitej" Katarzyna Sadło. „Po sześciu latach obserwowania »ziobryzacji« wymiaru sprawiedliwości czuję coś na kształt ulgi, że w tej akurat sprawie Zbigniew Ziobro się zapomniał i zrobił to publicznie. Obserwując pozbawionego hamulców ministra można sobie lepiej wyobrazić, do czego jest się w stanie posunąć, gdy nikt nie widzi" – dodaje.

Na robieniu z siebie ofiary oraz wyrazach solidarności ze strony rządzących się jednak nie kończy.

SĄ OPŁACANI *spoza Polski, m.in. przez Sorosa, amerykańskiego finansistę i węgierskiego Żyda. (...) w Polsce jest ponad tysiąc organizacji, które promują ducha antychrześcijańskiego – o. Rydzyk na antenie Radia Maryja, 29 kwietnia.*

W ostatnich tygodniach media Tadeusza Rydzyka, ale również rozmaite platformy związane ze środowiskami nacjonalistycznymi, zaczęły atakować i obrażać członków Watchdoga. Aleksander Nalaskowski na antenie Radia Maryja określił ich jako „zarazę". Na jednym z portali pojawił się artykuł mający demaskować prawdziwe oblicze Adama Kuczyńskiego, prowadzącego sprawę Lux Veritatis ze strony Stowarzyszenia.

– Razem z pracownikami Watchdoga, z których część jest po czterdziestce, cieszymy się, że nadal uznaje się nas za młodych buntowników – żartuje Kuczyński, radca prawny współpracujący z Watchdogiem od 2017 r., pełnomocnik Stowarzyszenia w sprawie karnej z Fundacją Lux Veritatis. – A tak na serio, nie chciałbym komentować artykułów znajdujących się w mediach związanych z oskarżonymi. Nie chcę rozmawiać z oskarżonymi poprzez media, ale na sali sądowej – dodaje Kuczyński.

Wysłuchiwanie, że jesteśmy jak mordercy
ks. Jerzego Popiełuszki, może być bardzo nieprzyjemne – mówią pracownicy sieci obywatelskiej.

Watchdog Polska otrzymuje w ostatnich dniach liczne wiadomości i telefony od osób niezadowolonych, że atakuje Fundację Lux Veritatis.

– Wysłuchiwanie, że jesteśmy jak mordercy księdza Jerzego Popiełuszki, może być bardzo nieprzyjemne szczególnie dla pracowników Stowarzyszenia, którzy są głęboko wierzący – mówi Kuczyński. – Ci ludzie nie rozumieją też, że jako Watchdog, pies stróżujący, gryziemy wszystkich równo. Niebawem – pod koniec maja – ruszają nasze procesy wytoczone Ewie Kopacz, Grzegorzowi Schetynie, Jarosławowi Kaczyńskiemu czy Wiośnie Biedronia. Nasze działania nie są wymierzone w konkretnego zakonnika czy daną grupę religijną lub polityczną – tłumaczy.

Prawo do informacji publicznej wynika z art. 61 ust. 1 i 2 Konstytucji RP. Dlaczego jest tak ważne? – Bo wiedza to władza – stwierdza Kuczyński. – Jeśli ukrywa się przed nami informacje, jeśli nie wiemy, jakimi motywacjami kierują się politycy, to nie jesteśmy w stanie rzetelnie ich ocenić. Zamknięty dostęp do informacji nie pozwala nam w pełni uczestniczyć w życiu publicznym, kontrolować władzy i wpływać na nią, a tym samym – funkcjonować lepiej w codzienności i budować sprawniej działającego państwa – tłumaczy.

Dostęp do informacji publicznej można rozumieć wyłącznie jako kontrolę wydatków, ale zdaniem pełnomocnika Watchdoga nie jest to trafne. Informacja publiczna może też dotyczyć np. umowy koalicyjnej między rządzącymi partiami. – Przecież powinniśmy wiedzieć o ustaleniach rządzących, najważniejszych osób w kraju. To nie jest umowa między kumplami z piaskownicy, ale coś, co realnie dotyczy życia każdego i każdej z nas – mówi Kuczyński.

Jakie mogą być konsekwencje ukrycia informacji dotyczących Lux Veritatis? „Największe zagrożenia wiążą się z tym, że w wyniku zawłaszczenia Trybunału Konstytucyjnego, nieostrożnego słowa ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego lub nieprzejrzystego sposobu przydzielania sędziów do spraw, w ogóle nie dojdzie do rozpatrywania sprawy" – tłumaczy Batko-Tołuć.

Kuczyński wskazuje, że jej zamknięcie może doprowadzić do tego, iż władza coraz częściej będzie się chować przed obywatelami. Największą jego obawą jest jednak to, że środki polityczne, a nie karne, zostaną użyte do tego, by sprawę zakończyć – np. prezydent ułaskawi sprawcę, zanim zostanie podjęty proces. Proces Watchdog–Fundacja Lux Veritatis może być jego zdaniem kolejną cegiełką do budowy w Polsce państwa niedemokratycznego. Równocześnie Kuczyński deklaruje, że gdyby otrzymali informację publiczną, o którą wnioskowano, Watchdog wycofałby się ze sprawy karnej. – Interesuje nas informacja publiczna, nie spory ideologiczne czy ciąganie Tadeusza Rydzyka po sądach – mówi Kuczyński.

Jak skończy się ten konflikt? – Jako prawnikowi bardzo trudno mi to określić. Bo nie jest to tylko sprawa między oskarżycielem a oskarżonym, ale znajduje się ona w orbicie zainteresowań polityków. Dotyka ich żywotnych interesów. A zaangażowanie polityków w proces sądowy to nie jest normalna sytuacja w demokratycznym państwie prawa, o ile przyjmujemy, że jeszcze w takim żyjemy. Chciałbym wierzyć, że ten proces pójdzie sprawnie, a sędziowie wykażą się niezawisłością i niezależnością – mówi Kuczyński. – Ale patrząc na to z boku, trudno mi utrzymać tę wiarę.

Fundacja Lux Veritatis nie odpowiedziała na maile oraz prośbę o udzielenie komentarza w opisywanej sprawie. Nie odbiera też telefonów.

© KAROL WILCZYŃSKI



ARIEL SCHALIT / AP / EAST NEWS

Papież Franciszek przed "murem separacji" (przez Izrael nazywanym "murem bezpieczeństwa") oddzielającym Zachodni Brzeg od Jerozolimy. Betlejem, 25 maja 2014 r.

Zachwianie równowagi

MASSIMO FAGGIOLI, HISTORYK KOŚCIOŁA I WATYKANISTA:

Obie strony konfliktu, izraelska i palestyńska, chcą przekonać świat, że Watykan stoi po ich stronie.

EDWARD AUGUSTYN: Widział Pan ostatnią okładkę „Osservatore Romano" poświęconą wydarzeniom na Bliskim Wschodzie?

MASSIMO FAGGIOLI: Tak. I jestem nią zaskoczony. Martwe palestyńskie dziecko na pierwszej stronie gazety, która jest oficjalnym dziennikiem Stolicy Apostolskiej, to mocne uderzenie. I nie chodzi mi o względy estetyczne, choć „Osservatore Romano" unikało zawsze wszelkiej brawury, także stylistycznej. Zawsze było dalekie od grania na emocjach, no, chyba że chodziło o papieża i sprawy ważne dla Kościoła. Ale w tym przypadku okładka łamie tabu nie tylko z wizualnego punktu widzenia. To stanowisko polityczne.

Czy to oznacza, że dzisiejszy Watykan jest propalestyński? A wcześniej był proizraelski?

Historycznie rzecz biorąc, Watykan zawsze był propalestyński. Zawsze. Trochę to się zmieniło za Jana Pawła II, który nawiązał pełne stosunki dyplomatyczne z Izraelem w 1993 r., a dialog z judaizmem i Izraelem był dla niego sprawą centralną, więc nieco przestawił zwrotnice. Dziś, za Franciszka, następuje jednak kolejna zmiana – zachwianie wcześniejszej równowagi, bo papież nie zgadza się na ścisłe naśladowanie polityki Stanów Zjednoczonych. Watykan za Franciszka nie jest już częścią Zachodu. To papiestwo globalne.

To istotne *novum* także w porównaniu do pontyfikatu Benedykta XVI, który opowiadał się za obroną międzynarodowego *status quo*. Ratzinger był pierwszym papieżem wybranym w świecie po 11 września. Martwił go upadek islamu i opowiadał się za Zachodem, który powinien w jakiś sposób zareagować na islamski radykalizm. Franciszek ma inną wizję. I pokazuje to nie tyle okładka watykańskiej gazety, co wszystkie przemówienia i inicjatywy papieża. Mówią o tym, że na świecie jest strona silniejsza i słabsza. Franciszek jest jedną z nielicznych osób publicznych, które mogą to powiedzieć. Że jest część świata ekonomicznie i militarnie silna oraz część słaba. I że więcej ofiar jest po tej drugiej stronie. Takie słowa to wcale nie jest mało. Warto je zauważyć.

Od ponad miesiąca nie ma już nuncjusza apostolskiego w Izraelu i Palestynie. Poprzedni został przeniesiony do Indii, papież nie wyznaczył nowego. W międzyczasie wybuchł konflikt między Izraelem a Hamasem. To stawia Watykan w trudnej sytuacji?

Nie sądzę, by w marcu ktokolwiek spodziewał się tego, co wydarzy się za miesiąc. Sytuacja na pewno się skomplikowała, ale uważam, że Sekretariat Stanu zawsze ma bezpośredni dostęp do informacji od swoich służb i może działać. W nuncjaturze jest chargé d'affaires, czyli druga osoba po nuncjuszu. Zresztą wiele państw było takim rozwojem sytuacji zaskoczonych, choćby Stany Zjednoczone. Joe Biden skupiał się na całkiem innych sprawach, wewnętrznych, i moim zdaniem też nie był przygotowany do rozwiązywania konfliktu w Izraelu i w Strefie Gazy.

Kardynał Parolin zapewnia, że Stolica Apostolska w tej kwestii nie prowadzi żadnych mediacji. To samo mówi nam watykański minister spraw zagranicznych abp Paul Gallagher. Watykan się trzyma z daleka?

Nie sądzę, choć na pewno nie podejmuje się roli mediatora w sensie technicznym. Niewątpliwie jest podmiotem, który może zaprosić strony do wznowienia rozmów. Zresztą bardzo rzadko się zdarza, by Watykan w sposób oficjalny podejmował się mediacji. Jeśli już to robi, to zawsze przez pośredników, tak jak w latach 90. w Mozambiku czy w początku tego wieku w Algierii, gdzie skorzystał z pośrednictwa wspólnoty Sant'Egidio.

Ambasador Izraela przy Stolicy Apostolskiej uchylił się od odpowiedzi na pytanie, jakie kroki podejmuje Watykan, by rozwiązać konflikt [wypowiedzi abp. Gallaghera oraz ambasadorów Izraela i Palestyny publikujemy w ramkach obok – red.]. Może to tylko dyplomatyczne uniki, a tajne negocjacje trwają?

W kwestii izraelsko-palestyńskiej nikt nie ma możliwości prowadzenia mediacji poza Stanami Zjednoczonymi. Nawet ONZ. Zatem jest oczywiste, że Watykan nie proponuje siebie jako mediatora. Ale na pewno działa, by zapobiec rozlewowi krwi, tyle że nie jest to mediacja. Tu możemy wierzyć kard. Parolinowi.

Myślę, że Watykan kontaktuje się zwłaszcza z Izraelem, bo ma wiele oficjalnych kanałów przekazywania informacji do władz tego państwa, ale nie jest

to mediacja, bo ta polega na posadzeniu naprzeciwko siebie dwóch stron i skłonieniu ich do rozmowy. To dziś niemożliwe.

Ten sam ambasador, zapytany, jak ocenia zaangażowanie Watykanu w rozwiązanie konfliktu na Bliskim Wschodzie, cytuje słowa Franciszka, że antysemityzm to nie tylko ataki na Żydów, ale też każdy zamierzony atak na państwo Izrael.

Oczywiście, część krytyki rządu Izraela ma swoje źródło w antysemityzmie, ale jednak jest zasadnicza różnica między uzasadnioną krytyką polityki władz izraelskich a antysemityzmem. Zresztą dla Watykanu prawo Żydów do własnego państwa nie budzi wątpliwości – wiemy to od co najmniej 50 lat.

A co z Palestyńczykami?

Tradycyjne stanowisko Watykanu nie budzi kontrowersji – to opcja „dwóch państw" i umiędzynarodowienie Jerozolimy. To zresztą jest również oficjalnie stanowisko USA. W latach 90., po porozumieniach w Oslo, opcja ta wydawała się możliwa do zrealizowania, dziś już chyba nie.

Oficjalnie także Izrael popiera ideę dwóch państw.

Cóż, mówić można, co się chce. Ale widzimy, że praktycznie każde działanie Izraela w ciągu ostatnich 25 lat, po odejściu premiera Icchaka Rabina, a zwłaszcza polityka osadnictwa – uniemożliwia realizację porozumień. Mówię to nie po to, żeby usprawiedliwiać Hamas, bo on też zmarnował wiele okazji na rozsądny kompromis.

Jakie jest dziś wyjście z sytuacji?

Alternatywą dla dwóch państw może być jedno państwo dwunarodowe. W takim znaczeniu, że Izrael akceptuje Arabów jako obywateli „kategorii A", podobnie jak Żydów. Ale zdaje się, że rząd izraelski nie jest zainteresowany żadną z tych dwóch propozycji.

Ambasador Palestyny przy Stolicy Apostolskiej, odpowiadając na nasze pytanie, powołuje się na słowa łacińskiego patriarchy Ziemi Świętej, abp. Pierbattisty Pizzaballi, który oskarżył Izrael o sprowokowanie obecnego konfliktu przez wysiedlenie palestyńskich rodzin z jednej z dzielnic Jerozolimy i uniemożliwienie wyznawcom islamu dostępu do meczetu Al-Aksa podczas ramadanu. Pod nieobecność nuncjusza Pizzaballa jest najwyższym oficjalnym przedstawicielem Kościoła w Ziemi Świętej. Zdaje się, że obie strony, izraelska i palestyńska, chcą przekonać opinię publiczną, że Watykan stoi po ich stronie.

To oczywiste. Choć jeśli chodzi o samą wypowiedź Pizzaballi, musimy pamiętać, że on nie jest ani Izraelczykiem, ani Palestyńczykiem. Jest Włochem, katolikiem, biskupem, który mieszka w Jerozolimie i widzi rzeczywistość inaczej niż ambasador Izraela. I może tak mówić, bo to, co się dzieje w mieście, wpływa również na jego wiernych. Sądzę, że Watykan nigdy by tak nie powiedział, bo wie, jak delikatne są relacje z Izraelem. Miejscowy biskup może mówić rzeczy, których Stolica Apostolska w tym kontekście by nie wypowiedziała.

Zatem obie strony próbują manipulować Watykanem?

Tak. Ambasador Palestyny, cytując Pizzaballę, próbuje przeciągnąć Watykan na swoją stronę. Ale ambasador Izraela, cytując słowa papieża o antysemityzmie, robi to samo. Próbuje wyeliminować wszelką krytykę rządu, mówiąc, że jest antysemityzmem. Tymczasem Pizzaballa na pewno nie jest antysemitą ani w żaden sposób nie kwestionuje legitymacji izraelskiego rządu.

Izraelska dyplomacja od mniej więcej dwóch dekad próbuje przekonać świat, że krytyka rządu jest równoznaczna z antysemityzmem, i zresztą odnosi w tym sukcesy. Ambasador Izraela w USA nawet publicznie się tym chwalił po 11 września 2001 r. A to przecież skrajne wypaczenie faktów, nadużywane do niekoniecznie szlachetnych celów.

Dodać jednak trzeba, że krytykowanie państwa Izrael jest dla Watykanu kłopotliwe, zważywszy na długą historię bardzo trudnych relacji. Izrael jest świadomy tego historycznego wstydu w Kościele i choćby dlatego Watykan nie może pełnić oficjalnie roli mediatora.

Izrael próbuje też przekonać, że nie tylko broni swego terytorium, ale walczy ze światowym terroryzmem. To słuszny argument? ↦



VATICAN NEWS

ABP PAUL GALLAGHER, Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej

Watykan może podjąć się mediacji między stronami konfliktu jedynie gdy obie strony o to poproszą. Nie nadeszła żadna prośba, więc żadne bezpośrednie działania mediacyjne nie są prowadzone. Sekretariat Stanu potwierdza pragnienie, by któregoś dnia ujrzeć dwa państwa: Izrael i Palestynę, żyjące bezpiecznie obok siebie.



PALVATICANEMBASSY.ORG

ISSA KASSISSIEH, ambasador Palestyny przy Stolicy Apostolskiej

Stolica Apostolska uznaje formułę „dwóch państw" jako właściwą drogę do trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. Patriarcha łaciński Jerozolimy w odważny sposób wyraził się o prowokacji policji Izraela wobec wierzących w pobliżu meczetu Al-Aksa i zaplanowanym ataku na cztery palestyńskie rodziny uchodźców we wschodniej Jerozolimie.



EMBASSIES.GOV.IL

OREN DAVID, ambasador Izraela przy Stolicy Apostolskiej

Stolica Apostolska to autorytet moralny, który może pomóc zwalczać religijną nietolerancję, stającą się pretekstem dla fundamentalistycznego terroryzmu, który zagraża nie tylko Izraelowi, ale wszystkim demokracjom. Pragnę przypomnieć słowa papieża Franciszka, że antysemityzmem jest nie tylko atakowanie Żydów, ale też każdy rozmyślny atak na Państwo Izrael. Dobrze, gdyby te słowa znali wszyscy, którzy negują istnienie Państwa Izrael. Bez jego uznania dialog jest niemożliwy.

(skróty wypowiedzi dla „Tygodnika Powszechnego" – pełne wersje na stronie internetowej)

↦ No cóż, mur – cokolwiek by o nim nie powiedzieć – jednak działa. To niepopularne stwierdzenie, ale rzeczywiście oddzielenie się murem po zamachach z początku XXI wieku zmniejszyło zagrożenie czy wręcz całkiem je zlikwidowało. Tyle tylko że ten mur, a jeszcze bardziej polityka osadnictwa w radykalny sposób uniemożliwia myślenie o dwóch państwach. A nawet w ogóle o państwie palestyńskim, bo cóż to za państwo bez własnego terytorium? Dziś problem Palestyńczyków nie polega na braku władzy państwowej, ale na tym, że nie mają własnego terytorium. Nie mają go nawet na terenach okupowanych, ponieważ zakładane są tam żydowskie osady, które podlegają władzy izraelskiej. Tam, gdzie byli od zawsze, choćby w Jerozolimie, ich świat znika.

Czy jest jakaś nadzieja, że Watykan wpłynie na izraelski rząd oraz na sponsorów Hamasu i nakłoni ich do rozmów i dialogu? Spotkanie papieża z ministrem spraw zagranicznych Iranu i telefoniczna rozmowa z prezydentem Turcji temu służą?

Tak sądzę. Presja polityczna z różnych stron jest ogromna. Europa liczy się dziś znacznie mniej niż kiedyś. Zresztą zawsze miała wpływ jedynie na Palestyńczyków, nie na Izrael. W grę wchodzą więc aktorzy regionalni i na nich trzeba się skoncentrować, bo tylko oni mają realne możliwości działania.

A czy jest nadzieja? Dobre pytanie. Chciałbym bardzo, ale obawiam się, że obie strony są dziś w rękach przywódców, którzy nie są zainteresowani dialogiem, bo są w równym stopniu, choć na różne sposoby, ekstremistami. Zarówno dla premiera Netanjahu, jak i dla Hamasu jedynym sposobem przetrwania jest konfrontacja. ©℗ ROZMAWIAŁ EDWARD AUGUSTYN



ARCHIWUM PRYWATNE

MASSIMO FAGGIOLI *(ur. 1970) jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej oraz publicystą. Cała rozmowa na naszej stronie internetowej.*

Dekret numer piętnaście

KS. PIOTR ADAMEK SVD

Księża w Państwie Środka mają wspierać Komunistyczną Partię Chin. Wymusza to na nich nowe prawo.

W JEDNYM Z CHIŃSKICH MIAST środkowych Chin w kościele za ołtarzem wisi ogromny krzyż z figurą ukrzyżowanego Chrystusa. Uwagę przyciągają jednak dwa sporych rozmiarów obrazy umieszczone po lewej i po prawej stronie krzyża: portret twórcy Chińskiej Republiki Ludowej Mao Zedonga i portret obecnego przywódcy Chin Xi Jinpinga. Widząc moje zdziwienie, miejscowy chiński ksiądz wzrusza ramionami: – Takie są przepisy, musimy z tym żyć.

Po chwili dodaje z przekąsem: – Poza tym, wszyscy przecież wiemy, kto wisiał obok Jezusa na krzyżu...

Sinizacja

1 maja w ChRL weszło w życie nowe prawo uchwalone w styczniu 2021 r. jako „dekret nr 15" i regulujące przepisy dotyczące osób pełniących funkcje religijne. Paragrafy te, zatwierdzone przez Chińskie Państwowe Biuro ds. Religii, wyszczególniają prawa i obowiązki duchownych różnych religii, a także określają sankcje w przypadku naruszenia przepisów. Do istniejących już od 2007 r. dyrektyw dotyczących rejestracji duchownych i miejsc kultu, które stały się częścią dekretu, nowy dokument dodaje kolejne, aby „zintensyfikować sinizację" religii w Chinach, rozumianej jako zgodność religii z linią Komunistycznej Partii Chin.

Według nowych przepisów warunkiem dopuszczenia przez państwo buddyjskiego mnicha lub katolickiego kapłana do legalnej duchowej posługi jest m.in. „wspieranie systemu socjalistycznego", popieranie KPCh, a także „praktykowanie centralnych wartości socjalistycznych". Innymi słowy, jak to niedawno sformułował brytyjski tygodnik „The Tablet", duchowni powinni wpierw poświadczyć „swoją miłość do partii". Niezależnie od tego, osoby pełniące funkcje religijne muszą być całkowicie niezależne od zagranicy (np. od decyzji Watykanu), a także usilnie wspierać sinizację religii i jedność etniczną Chin (nie wolno im m.in. popierać autonomii mniejszości etnicznych w Tybecie lub w regionach muzułmańskich).

Podkreślana jest odpowiedzialność, jaką duchowni wszystkich uznanych przez państwo religii ponoszą za swoje wspólnoty: powinni oni usilnie przeciwdziałać wszelkiej nielegalnej działalności religijnej (np. zerwać kontakty ze wspólnotami podziemnymi i je oficjalnie potępić), zapobiegać propagowaniu „niewłaściwej" myśli religijnej (tzn. nie zezwolonej przez państwo) i bronić się przeciw infiltracji religii z zagranicy (m.in. odrzucając wszelkie wsparcie finansowe). Nie wolno im akceptować żadnych „nielegalnych" nominacji, takich jak nominacje biskupie z Watykanu czy uznanie reinkarnacji „żywego Buddy" w buddyzmie tybetańskim. Zakazane jest również „rozpowszechnianie religii" poprzez działalność charytatywną, edukacyjną lub „inną nielegalną działalność misyjną". W razie przekroczenia powyższych zasad bądź „niedopełnienia obowiązków" przewidziano dla duchownych kary finansowe i zakaz działalności religijnej.

Punkty karne

Nowe przepisy dotyczące osób pełniących funkcje religijne nie zawierają rewolucyjnych zmian. Komunistyczna Partia Chin już od dziesięcioleci (w ostatnich latach pod nowym hasłem sinizacji religii) stara się kontrolować, reglamentować i infiltrować działalność akceptowanych w Chinach religii, tzn. buddyzmu, daoizmu, islamu i chrześcijaństwa (administracyjnie rozdzielanego przez władze na katolicyzm i protestantyzm), a także eliminować wszelką inną działalność religijną uznaną za nielegalną. Już od kilkunastu lat wszyscy duchowni i pracownicy organizacji religijnych są „prześwietlani" i rejestrowani,



MATERIAŁY PRASOWE RZĄDU CHRL

Spotkanie wicepremiera ChRL Wanga Yanga (pierwszy z prawej) i członków Biura Politycznego KPCh z przedstawicielami Konferencji Episkopatu Chin i Stowarzyszenia Katolickich Patriotów z okazji Nowego Roku. Pekin, luty 2018 r.

zanim otrzymają pozwolenie na legalną działalność religijną, a duchowni „nielegalni" są prześladowani. Także inne nakazy i zakazy dotyczące działalności religijnej były już wielokrotnie ogłaszane i egzekwowane, w zależności od gorliwości lokalnych władz.

Nowy dokument ma jednak szerszy charakter: kumuluje różne dotychczasowe lokalne przepisy i nadaje im charakter ogólnokrajowych norm prawnych. Jest więc nie tylko kolejnym krokiem w konsekwentnej polityce władz chińskich, ale instytucjonalizuje i konkretyzuje represje wobec religii i wynosi je na nowy poziom.

Szczególny niepokój budzi również tworzenie zapowiedzianej w przepisach nowej elektronicznej bazy danych personelu religijnego, w której są gromadzone i aktualizowane wszystkie informacje na temat osób pełniących religijną funkcję, włącznie z ewidencją punktów za „właściwą" obywatelską postawę i punktów karnych za niedostateczną „miłość do ojczyzny i wsparcie partii komunistycznej". Taka baza danych pozwoli władzy na rozszerzenie już istniejącego ogólnochińskiego systemu oceny obywateli, tzw. systemu wiarygodności społecznej, na sferę religii. System ten obecnie umożliwia totalną zdalną kontrolę i dyscyplinowanie obywateli ChRL, m.in. poprzez uniemożliwienie zakupu biletu, otrzymania paszportu czy znalezienia pracy przez osoby z niską liczbą punktów. Uruchomienie religijnej bazy danych umożliwi szybkie wyegzekwowanie przez Wielkiego Brata sankcji wobec duchownych i wspólnot religijnych na obszarze całych Chin.

Pełna kontrola

Dekret nr 15 nie jest ani pierwszym, ani ostatnim dokumentem „systematyzującym" politykę religijną w Chinach. Na drodze do pełnej kontroli religii władze – podkreślające swą absolutną zwierzchność nad religią – wciąż publikują nowe normy prawne. 1 września br. wejdą w życie następne przepisy dotyczące administracji miejsc religijnych (tzw. dekret nr 16), określające m.in. warunki i kryteria ich otwierania, prawa i obowiązki religijnych organizacji, a także ograniczenia dotyczące katechezy i edukacji w miejscach kultu. Deklarowanym ich celem jest standaryzacja i optymalizacja zarządzania w ośrodkach religijnych, a także promowanie sinizacji religii. W rzeczywistości dadzą one władzy kolejny pretekst i narzędzie do kontroli miejsc kultu, a także bazę prawną do regulacji zezwoleń i zakazów na działalność religijną.

„Sinizacja" i kontrola religii nie ogranicza się oczywiście tylko do publikacji nowych przepisów. Istotniejsza i bardziej niebezpieczna jest ingerencja państwa w treści nauczania poszczególnych religii. Już od wielu lat publikacje religijne są cenzurowane pod kątem zgodności z zasadami socjalizmu i linią partii, a kazania w kościołach czy meczetach – monitorowane, by umożliwić szybką reakcję władz na poglądy uznane za niepoprawne. Pod pretekstem „weryfikacji patriotyzmu" w niektórych miejscach kultu wymagane jest wieszanie państwowych symboli i portretów przywódców partii. Duchowni różnych religii są również regularnie gromadzeni na kursach mających na celu zaszczepienie i kształcenie ducha socjalizmu. W czasie tegorocznego Wielkiego Postu chińscy katoliccy biskupi wzięli udział w obowiązkowych „rekolekcjach" z okazji 100-lecia powstania KPCh, rozważając „krew, trud, łzy, odwagę, mądrość i siłę", które doprowadziły do „sukcesu" partii. Celem podobnych spotkań jest praktyczna implementacja rządowych dyrektyw również w zakresie myśli religijnej.

W Kościele katolickim w Chinach kolejne restrykcje władz prowokują także pytania o sens „tymczasowego porozumienia" Stolicy Apostolskiej z rządem Chińskiej Republiki Ludowej, odnowionego jesienią 2020 r. To porozumienie dotychczas nie spełniło pokładanych w nim przez część wiernych nadziei na dialog i choćby niewielką poprawę sytuacji Kościoła. Wydaje się, że takie dokumenty jak dekret nr 15, jawnie negujące rolę Watykanu w nominacji biskupów, podważają domniemane ustalenia tymczasowego porozumienia. Jak na razie jedyną widoczną jego konsekwencją było częstsze nakłanianie „nielegalnych" katolickich duchownych do oficjalnej państwowej rejestracji, skoro „nawet papież do tego namawia".

Wejście w życie dekretu nr 15 najprawdopodobniej nie będzie miało poważnych bezpośrednich reperkusji. Większość jego dyrektyw już była lokalnie praktykowana wcześniej, a zarówno lokalne władze, jak też miejscowi duchowni i wierni nauczyli się ze sobą koegzystować. Dekret jest jednak częścią szerszego planu przykręcania śruby w sferze religii, wyraźnie widocznego w polityce rządu od kilku lat, i jeszcze silniejszej kontroli działalności religijnej w ChRL, w tym kontroli głoszonych poglądów. Ma m.in. sprawić, aby zawieszone obok krzyża portrety były „właściwie" interpretowane. ©

Autor jest werbistą, sinologiem, adiunktem na Wydziale Religioznawstwa Uniwersytetu Katolickiego Fu Jen w Tajpej na Tajwanie. Były dyrektor Instytutu Monumenta Serica w Sankt Augustin w Niemczech, zajmującego się m.in. monitorowaniem sytuacji katolików w Chinach.

O mądrości przebudzonej

PIOTR SIKORA

„Wszystko badajcie, co dobre zachowujcie” – pisał św. Paweł. Rada bardzo bliska nauce Buddy.

Numer „Tygodnika”, który Państwo właśnie czytają, trafił do kiosków 26 maja, w dzień, w który w tym roku buddyści obchodzą swoje największe święto – Vesak. We wszystkich nurtach buddyzmu jest to dzień narodzin Buddy, w niektórych – także dzień jego oświecenia i wejścia w Nirwanę. Od wielu lat papieże składają w tym dniu buddystom życzenia. Może jednak warto także posłuchać, co Przebudzony (to właśnie znaczy słowo „budda”) ma do powiedzenia nam?

Nie sposób, oczywiście, 2,5-tysiącletniej tradycji przedstawić w krótkim tekście. Chciałbym podzielić się tym, czego ja, chrześcijanin przełomu XX i XXI wieku, nauczyłem się od Buddy i jego uczniów – z nadzieją, że ta mądrość, kulturowo odległa i jednocześnie duchowo bliska, zainspiruje także innych chrześcijan.

Buddyzm, po pierwsze, wyrasta z odkrycia przez młodego księcia Siddhartę Gautamę, że rzeczywistość wokół nas nie jest idealna, że w nieunikniony sposób niesie cierpienie. Budda uczył realistycznej wrażliwości na tę „ciemną” stronę świata. Wrażliwość taka może zabezpieczyć chrześcijan przed płytkim rozumieniem biblijnej narracji o stworzeniu, że „było dobre”. Dobry świat jest bowiem także groźny, nieprzewidywalny i wcale nie dostosowuje się do naszych pragnień.

Warto więc pamiętać przestrogę Gautamy: iluzją jest przekonanie, że możemy poradzić sobie z cierpieniem przez opanowanie i kontrolę zewnętrznych okoliczności życia. Gdybyśmy głębiej przyswoili sobie tę naukę, osobiste nieszczęścia i planetarne katastrofy, jak choćby obecna pandemia, być może nie byłyby dla nas traumatyzującym szokiem.

Bywa, że próbujemy radzić sobie z ciemną stroną świata zaprzeczając rzeczywistości, usiłując znieczulić się na nią na różne sposoby, uciekając w złudzenia, w bezpieczne – w naszym mniemaniu – enklawy. Bywa, że enklawy takiej i ucieczki szukamy w przestrzeni religijnych przeżyć. Buddyzm wskazuje drogę przeciwną: ścieżkę wyostrzonej i pogłębionej świadomości wszystkich aspektów egzystencji i rozpoznanie ich prawdziwej natury.



NAVESH CHITRAKAR / REUTERS / FORUM

Chodzi zatem m.in. o świadomość ciała – jego ruchu, spoczynku, fizjologicznych czynności. Chodzi też o świadomość swoich uczuć i stanów umysłu – zarówno pozytywnych, np. skupienia czy rozwoju, jak i negatywnych – rozproszenia czy żądzy.

Nie ma tu pruderyjnego podziału na to, co wzniosłe, godne zainteresowania człowieka duchowego, i to, co przyziemne lub wstydliwe. Chrześcijaństwo jest religią boskiego wcielenia sięgającego wszystkich aspektów człowieczeństwa, ale to w buddyjskim świętym tekście natrafiłem na *explicite* wyrażoną radę, jak włączyć w duchowy rozwój tak podstawowy i niezbędny do życia cielesny proces, jak oddawanie moczu.

Jest to – co ważne – świadomość połączona z akceptacją tego, jak jest. Nie ma oceniania, budowania idealnego obrazu siebie i spychania w nieświadomość wszystkiego, co do ideału nie dorasta.

Wyostrzona świadomość rzeczywistości łączy się w buddyjskiej tradycji ze współczuciem. Współczucie pobudza do działania, by ulżyć cierpieniu. Świadomość pozwala rozpoznać, kto czuje i cierpi.

Tu właśnie, jak sądzę, chrześcijanie mogą się od buddystów najwięcej nauczyć. Otworzyć oczy szerzej niż dotąd i spostrzec, że ludzie nie są w tym aspekcie specjalnie wyjątkowi i że etyka współczucia dotyczy również innych czujących stworzeń. A także, że współzależność pomiędzy nami a pozaludzkim światem jest znacznie głębsza, niż rozpoznaliśmy to w naszej chrześcijańskiej tradycji. Nie chodzi przy tym o polemikę, lecz o zrównoważenie antropocentryzmu religii wywodzących się z tradycji biblijnej pogłębioną świadomością współzależności całej rzeczywistości.

Być może nie wszyscy zgodzą się, iż wymienione wyżej buddyjskie inspiracje są warte przyjęcia przez chrześcijan. Budda zapewne by się nie zdziwił – i wcale nas, chrześcijan, nie zamierzał do ich przyjęcia przymuszać. Albowiem – i to kolejna buddyjska lekcja dla mnie – wcale nie wymagał od swoich uczniów wiary we własne nauki. Wręcz przeciwnie: sprawdzajcie – podkreślał – to, co mówię, w swoim własnym, egzystencjalnym doświadczeniu. Spotkanie się z takim podejściem do religijnej tradycji jest dla nas, katolików, którzy uczeni jesteśmy w naszych wspólnotach nie tyle samodzielnych poszukiwań, co raczej posłuszeństwa autorytetom: instytucji, duchowym przewodnikom, świętym pismom – okazją, by odnaleźć równowagę i osiągnąć dojrzałość. ©℗

RDC POLSKIE RADIO

NATALIA I MACIEJ PODYMOWIE opowiedzą Grzegorzowi Chlaście, co łąki kwietne mają wspólnego ze smogiem (czytaj dodatek na s. 67) w środę 26 maja o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

WOJCIECH

Bonowicz:
Moje, nie moje



Nastąpiło ogólne rozleniwienie i piłka wpadła do lasu. Pobiegłem po nią, przy okazji kalecząc sobie stopy". Kiedy zapisałem to zdanie? W jakich okolicznościach?

Ilekroć przystępuję do porządkowania papierów, szybko wpadam w panikę. Liczba kartek, na których coś tam kiedyś zanotowałem, także pod kątem felietonu dla „Tygodnika", wydaje się nieprzeliczona. Puchną w teczkach, wysypują się z książek i kalendarzy, odnajdują się w szufladach wśród wizytówek i pocztówek, a bywa, że znajduję je także między ubraniami. Moje myśli i spostrzeżenia mieszają się na nich z cudzymi; dobrze, jeśli jest cudzysłów, ale co zrobić, kiedy cudzysłowu nie ma, a ja nie jestem pewien, czy zanotowane słowa nie są przypadkiem cytatem?

To było lato, tak, przypominam sobie. Byliśmy u przyjaciół w Smogorzewcu pod Toruniem. Skąd wiem? Bo ich dom stoi na skraju lasu. Bo znalazłem wówczas na półce małą powieść Michała Choromańskiego zatytułowaną „Makumba". Bo na kartce, prócz dwóch przywołanych na wstępie zdań, są wypisane z „Makumby" co smaczniejsze fragmenty. Na przykład: „Wszystko było cicho"; „...z profilu nos ma pan trochę ten sam"; „Był jeszcze jasny dzień, kiedy wszedłem do łazienki. Atoli noc w tamtych stronach zapada tak gwałtownie, że kiedy zbliżyłem się do zlewu, w łazience zrobiło się czarno. Po omacku otworzyłem kran".

A więc było lato, upał i jedzenie działały rozleniwiająco, piłka wpadła do lasu. No tak, graliśmy w wykoszonym rogu podwórka, tuż przy granicy wyznaczonej przez zarośla. Ktoś co chwilę musiał między nie zanurkować, żeby ta niespieszna zabawa trwała dalej. Pamiętam, że był tam też hamak i niewielki basen, w którym w czasie deszczu siedzieliśmy pod czarnym parasolem.

Notuję na kartkach, bardzo rzadko w telefonie. Przyglądam się ze zdumieniem, jak zmienia mi się charakter pisma. Notatki zrobione mniej więcej w tym samym czasie wyglądają, jakby robiła je nie jedna, ale dwie różne osoby. Młodsza i starsza, dziecko i dorosły. Notuję czytając, notuję myśli, które przyjdą mi do głowy podczas spaceru, notuję w trakcie spotkań autorskich. Zapisałem kiedyś wyznanie Wiesława Myśliwskiego, że garnitury zawsze sobie szył u krawca. „Człowiek przecież nie jest symetryczny", tłumaczył. Na innej kartce zanotowałem wspomnienie na podobny temat: Maria Karpowiczowa opowiadała, że jej sławny mąż, Tymoteusz, również był wrażliwy na ów brak symetrii. „Żadna krawcowa nie mogła z nim wytrzymać... Krawcowa zwykle pobiera miarę na jedną stronę sukienki, a potem robi symetrycznie. A przecież ręce, nogi nie są idealnie równe...".

Notuję, nie wiedząc, co się do czego przyda. Historie rodzinne, które opowiadała mi mama, kiedy była chora, mieszają się z zapiskami dotyczącymi życia innych osób. Powstaje z tego nieco dziwaczny, meandryczny życiorys, portret nieosoby, kogoś, kto byłby raczej syntezą różnych istnień w różnym czasie. Ale to właśnie jest fascynujące: zestawianie fragmentów z różnych układanek, puzzli z różnych kompletów, które dopasowuje się do siebie bez wysiłku, przez sam fakt, że leżały dłuższy czas na jednym stole.

„Być może piszę, bo nie boję się wystawienia na śmiech ani obojętność, ani nawet – z rzadka, ale jednak – na podziw. Kiedy twórczość traktuje się dostatecznie poważnie, każda z tych rzeczy z osobna jest do zniesienia, a i razem również. Kiedy się dostatecznie poważnie traktuje swoją twórczość, nikt nie wyśmieje twórcy lepiej niż on sam i nikt nie jest mu w stanie ofiarować podziwu większego, niż on sam sobie ofiaruje. Nikomu nie jest on też równie obojętny jak sobie samemu".

To także moje słowa. Albo nie moje. ©

Postanowieniem z dnia 20 października 2017 r. **Sąd Rejonowy w Jarocinie** Wydział I Cywilny zezwolił Annie Skibińskiej na złożenie do depozytu sądowego kwoty 5745,00 zł należnej tytułem czynszu najmu lokalu. Dłużnik złożył do depozytu powyższą kwotę. Uprawnionym do odbioru powyższej kwoty są następcy prawni Teresy Nowackiej.

Sąd wzywa osoby uprawnione do odbioru depozytu, gdyż w przeciwnym razie stwierdzona zostanie likwidacja depozytu. I Ns 331/17

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 519/18, na wniosek Prokury Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego we Wrocławiu, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Sylwestrze Franciszku Gadomskim, zmarłym dnia 2 września 2013 roku w Pruszkowie, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 171/21 toczy się postępowanie z wniosku Heleny Partyki o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Kotowej Woli oznaczonej numerem ewidencyjnym 1447 o powierzchni 0,3401 ha. W dawnym lwh 740 jako właściciele ujawnieni są Jan Bednarczyk, Karolina Bednarczykówna, Katarzyna Bednarczykówna, mał. Maryjanna Bednarczykówna, mał. Józef Bednarczyk.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Jana Bednarczyka, Karoliny Bednarczykówny, Katarzyny Bednarczykówny, mał. Maryjanny Bednarczykówny, mał. Józefa Bednarczyka, aby zgłosili się do udziału w sprawie i wykazali swoją własność w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia.

OGŁOSZENIA



DO NASTĘPNEGO RAZU

Po 11 dniach walk Izrael i Hamas wstrzymały ogień. Zostają zgliszcza: rodzin i domów w Gazie, relacji żydowsko-arabskich w Izraelu. I po raz kolejny nadziei, że kiedyś nastanie tu pokój.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Proszą, żeby pisać o nich: Palestyńczycy.

N., Beduinka z okolic Beer Szewy, studentka architektury na uniwersytecie w Tel Awiwie: – Kiedy po raz pierwszy rozległy się syreny alarmowe, byliśmy na zajęciach. Zbiegliśmy do schronu. Przeszło mi przez myśl, że gdy już się tam znajdziemy, nasza mieszana, życzliwa sobie żydowsko-arabska grupa, która na co dzień nie rozmawia o polityce, podzieli się na dwie. I tak się stało: syreny wyły, Żydzi usiedli razem w jednym kącie, Arabowie w drugim.

G. z Akki, kolega z grupy N.: – Zaraz po wybuchu wojny z Gazą zorganizowaliśmy na uniwersytecie pokojowy protest arabskich studentów przeciwko interwencji w Gazie. Chwilę potem w wirtualnych grupach dla studentów naszego uniwersytetu zaczął wylewać się hejt. „Skoro jesteście za Hamasem, wynoście się stąd". „Przenieście się do innego kraju arabskiego, zobaczycie, jak wam tam będzie". „Macie szczęście, że was tu tolerujemy". Wyjechałem z akademika najszybciej, jak tylko mogłem, bo bałem się linczu.

W pierwszych dniach majowego zaostrzenia konfliktu izraelsko-palestyńskiego przez Izrael przetoczyła się fala za-



RONEN ZVULUN / REUTERS / FORUM

Za pokojowym współistnieniem, przeciw wojnie i przemocy: Żydzi i Arabowie wspólnie demonstrują pod murem Starego Miasta w Jerozolimie, 19 maja 2021 r.

mieszek między żydowskimi nacjonalistami a skrajnie nastawionymi Arabami. Do najbardziej zaciekłych doszło w miastach, które były symbolami wzajemnej koegzystencji, jak Hajfa, Lod czy Jaffa (część Tel Awiwu). Mieszkańcy zabarykadowali się w domach, strach padł na obie nacje. Wzajemne zaufanie w tych miejscach, budowane z mozołem i latami, stanęło pod znakiem zapytania.

Dzień Gniewu

Działający w Izraelu Arabski Komitet Monitorujący [Higher Arab Monitoring Committee; organizacja, której celem jest koordynacja działań różnych organów izraelsko-arabskich; w jego skład wchodzą arabscy posłowie, arabscy politycy i działacze lokalni – red.] ogłosił wtorek 18 maja dniem strajku i wezwał wszystkich Palestyńczyków w regionie do protestu wobec sytuacji w Gazie, Jerozolimie oraz w mieszanych izraelskich miastach. Fatah i Hamas ogłosiły „Dzień Gniewu" i wydały w tej sprawie osobne oświadczenia. Na Zachodnim Brzegu Jordanu protesty przebiegały gwałtownie: w starciu z izraelskim wojskiem zginęło trzech Palestyńczyków, a ponad 180 zostało rannych.

Na uniwersytecie telawiwskim strajk przebiegł pokojowo. „Informujemy, że popieramy strajk generalny społeczeństwa arabskiego, naszych braci i sióstr, i nie pojawimy się dziś na zajęciach. (...) Jako arabscy-palestyńscy studenci czujemy się atakowani i zagrożeni na terenie akademików i w sferze wirtualnej. Rzecz najbardziej podstawowa – nasze poczucie bezpieczeństwa – została naruszona na skutek sytuacji w Izraelu" – napisali w liście do władz uczelni palestyńscy studenci wydziału architektury.

Otrzymali odpowiedź: „Respektujemy wasze prawo do strajku, rozumiemy motywacje. Także my, nauczyciele i kierownictwo, z dużym niepokojem śledzimy to, co się dzieje w ostatnich dniach. (...) Nie bagatelizujemy waszego strachu. Nasz fakultet zrobi wszystko, by umożliwić wam spokojny i bezpieczny powrót do nauki".

N.: – Spodziewaliśmy się takiej odpowiedzi. Uniwersytet w Tel Awiwie słynie z bardziej lewicowego podejścia, więc czuliśmy, że możemy liczyć na zrozumienie i wsparcie. Ale na innych uniwersytetach w Izraelu już tak nie było. Doszło do starć z żydowskimi demonstrantami, z policją, a także do aresztowań arabskich studentów.

Strajk pokazał siłę izraelskich Arabów, stanowiących 20 proc. społeczeństwa tego kraju. Został zauważony szczególnie w tych branżach, w których arabscy pracownicy są licznie reprezentowani. Izraelskie Stowarzyszenie Przedsiębiorców Budowlanych ogłosiło, że strajk sparaliżował tę branżę, przynosząc straty w wysokości 40 mln dolarów.

Arabskich studentów strajk zjednoczył. W grupie studenckiej, do której należą N. i G., Arabowie stanowią jedną trzecią, a mimo to dotąd nie odważyli się założyć np. wspólnej grupy whatsappowej z obawy przed oskarżeniem, że trzymają się tylko we własnym gronie. Po strajku zdecydowali się zorganizować. Uznali, że potrzeba wzajemnego wsparcia jest silniejsza niż kiedykolwiek. Pierwsze spotkanie zaplanowali na najbliższe dni, w trybie online.

Pośrodku drogi

Izrael i Hamas ogłosiły, że zawieszenie broni wchodzi w życie w piątek 21 maja o drugiej nad ranem. Po 11 dniach walk, najostrzejszych od 2014 r., pozostają zgliszcza. W Gazie na skutek lądowych i powietrznych działań Izraela zginęły co najmniej 232 osoby, w tym 65 dzieci. Sytuacja humanitarna, i tak na co dzień szalenie trudna, znów stanęła na skraju przepaści. O gigantycznej traumie ludzi, nawarstwionej i teraz zwielokrotnionej, nie wspominając.

W Izraelu, chronionym przed ostrzałem rakietowym Hamasu przez Żelazną Kopułę – rozbudowany system antyrakietowy – ofiar śmiertelnych było 12, w tym dzieci. Fala nienawiści i lęku zalała całe społeczeństwo i podkopała relacje żydowsko-arabskie, które w ostatnich latach zostały wzmocnione i odnowione.

W obu społeczeństwach nadzieja na pokój odsunęła się o lata świetlne.

Oceny sytuacji w obu społecznościach na chwilę przed informacją o zawieszeniu broni podejmuje się w rozmowie z „Tygodnikiem" dr Harel Chorev-Halewa, historyk o prawicowych poglądach z telawiwskiego Centrum Mosze Dajana; specjalizuje się w analizie społecznej i politycznej sytuacji na Bliskim Wschodzie.

– W ostatnich latach w Izraelu obserwowaliśmy pogłębienie się więzi między Arabami i Żydami – mówi Chorev-Halewa. – Arabowie pokazali, że są zainteresowani funkcjonowaniem jako część społeczeństwa Izraela, jego aktywnym współtworzeniem. Świadczy o tym chociażby zmiana w podejściu ich przywództwa, a dobrym przykładem jest tu Mansour Abbas, arabski polityk, który wyszedł z zupełnie nowym programem społecznym. Dotąd liderzy partii arabskich w pierwszej kolejności podkreślali potrzebę walki o sprawę palestyńskiej państwowości. Tymczasem Abbas powiedział: najpierw zadbajmy o nasze sprawy tu w Izraelu, a dopiero potem zajmijmy się sprawami Palestyńczyków na terytoriach [tj. ziemiach okupowanych przez Izrael – red.]. W ostatnich dniach Abbas zdecydowanie potępił przemoc, szczególnie względem Żydów, do której dochodziło podczas zamieszek. Takie ↦

↦ postawy znajdują uznanie wśród izraelskich Arabów, a nawet wśród żydowskiej prawicy. Przecież większość ludzi nie jest zainteresowana radykalizmem.

Harel Chorev-Halewa zauważa, że zniszczenie obustronnej nadziei, iż Arabowie i Żydzi mogą się spotkać pośrodku drogi, a także wzajemny lęk, podejrzliwość i nienawiść – to największa krzywda, jaką ta eskalacja konfliktu wyrządziła zarówno społeczeństwu żydowskiemu, jak i arabskiemu w Izraelu. To jedno ze „zwycięstw" tej wojny. – Zwycięstw Hamasu – uważa badacz, dodając, że powrót do zniszczonych relacji zajmie dużo czasu.

Mój rozmówca – jak wspomniano, o poglądach prawicowych – nie wspomina o roli, którą odegrał tu premier Beniamin Netanjahu: o jego podżeganiu do nienawiści wobec Arabów na przestrzeni wielu lat jego kariery, o instrumentalnym wykorzystywaniu relacji z Arabami w zależności od politycznej koniunktury. Przykładowo: przed ostatnimi wyborami, gdy Netanjahu dyskutował o możliwości politycznej współpracy także ze wspomnianym Mansourem Abbasem.

Wojna na wizerunki

Na Zachodnim Brzegu Jordanu zakończona właśnie eskalacja może skutkować umocnieniem się pozycji Hamasu. I to bynajmniej nie dlatego, że tamtejsi Palestyńczycy zgadzają się z jego działalnością.

O konflikcie mówi się tam przede wszystkim jako o konsekwencji polityki okupacyjnej Izraela. Zdaniem wielu Palestyńczyków to Izrael doprowadził do eskalacji, a rakiety wystrzelone przez Hamas na izraelskie terytorium były w pierwszym momencie jedynie ostrzeżeniem po tym, jak izraelska policja wkroczyła na Wzgórze Świątynne [miejsce święte dla muzułmanów – red.]. Istnieje też przekonanie, że Hamas – nielubiany na Zachodnim Brzegu – wykorzystał sytuację, by wypromować siebie w roli obrońcy sprawy palestyńskiej. Zwłaszcza w obliczu bezczynności władz Autonomii Palestyńskiej w Ramallah (tworzą je politycy z Fatahu, partii konkurencyjnej wobec Hamasu).

Od lat na Zachodnim Brzegu przesuwane są terminy wyborów. Mówi się, że to z lęku Fatahu – podzielonego na frakcje i słabego – przed przegraną. Zmęczeni biernością władz w Ramallah, Palestyńczycy są wściekli. A więc to słabość Fatahu mogłaby sprawić, że Hamas miałby realną szansę, aby przejąć na Zachodnim Brzegu władzę – nawet jeśli jego idee nie znajdują tam poparcia.

Jest jeszcze jedna sfera, w której Hamas jest bezkonkurencyjny wobec władz Autonomii. Harel Chorev-Halewa: – Hamas świetnie poradził sobie z piarem dla swoich działań w mediach społecznościowych. Szybko zrozumiał, że palestyńska młodzież jest antyestablishmentowa i że zdecydowana jej większość konsumuje wiedzę o bieżących wydarzeniach z social mediów. Dzięki temu umie kontrolować publiczną dyskusję. Władze w Ramallah kompletnie tego nie widzą, one są jak z wieku XIX, a Hamas w tej kwestii jak najbardziej z wieku XXI.

Palestyńczycy cieszą się z zawieszenia broni, wynegocjowanego między Izraelem i Hamasem. Strefa Gazy, 21 maja 2021 r.



MAHMUD HAMS / AFP / EAST NEWS

Powtórka za kilka lat

Pytany o perspektywy dla pokoju, Harel Chorev-Halewa nie ma wątpliwości: to teraz pieśń dalekiej przyszłości. – W latach 90., w okolicach układów z Oslo, gdy Izraelczycy mieli autentyczną nadzieję na pokój, na ulicach naszych miast zaczęły wybuchać bomby, detonowane w autobusach przez terrorystów z Hamasu – wspomina historyk. – To właśnie wtedy zaufanie do rozwiązań propokojowych zaczęło maleć, a społeczeństwo Izraela zaczęło przechylać się światopoglądowo w prawo. W 2005 r., gdy Izrael zdecydował o zakończeniu okupacji Gazy, mówiło się o podobnym rozwiązaniu także dla Zachodniego Brzegu. Ale wtedy do władzy w Gazie doszedł Hamas i sytuacja, zamiast się polepszyć, pogorszyła się. Także dla Gazańczyków: Hamas wykorzystuje przecież ich sytuację do zdobywania środków na kupno broni. 80 proc. Gazańczyków żyje w skrajnym ubóstwie, a 20 proc. w bogactwie. Ci ostatni to osoby powiązane z Hamasem. Mamy dowody, że większość pomocy międzynarodowej jest wykorzystywana nie na pomoc humanitarną, lecz na wzbogacanie militarnego potencjału Hamasu.

Harel Chorev-Halewa opowiada też o utracie zaufania Izraelczyków do społeczności międzynarodowej: wielkim rozczarowaniem była dla nich w ostatnich dniach odmowa zrozumienia ze strony świata dla faktu, że w obliczu agresji Hamasu Izrael miał prawo się bronić. Istnieje poczucie, że gdyby władzę na Zachodnim Brzegu przejął Hamas lub Islamski Dżihad, i gdyby w efekcie tego bezpośrednie zagrożenie dla Izraela znacznie wzrosło, kraj nie mógłby liczyć na jakiekolwiek wsparcie ze strony europejskich liderów.

■■■

O tym, jak bardzo nasiliła się w tych dniach międzynarodowa izolacja Izraela, ale też strach jego mieszkańców, świadczy choćby ten mały szczegół: w ostatnim tygodniu w wielu izraelskich aptekach zabrakło środków antylękowych, w takich momentach popularnych wśród Izraelczyków.

Teraz, po ogłoszeniu rozejmu, zapasy leków z pewnością zostaną uzupełnione. Aż do następnego razu.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Tekst ukończono w piątek 21 maja



MICHEL SPINGLER / EAST NEWS

Propalestyńska demonstracja w Lille, północna Francja, 15 maja 2021 r.

Migracja wewnętrzna, migracja zewnętrzna

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Francję zamieszkują największe w Europie społeczności Żydów i muzułmanów. Dlatego przypomina ona dziś beczkę prochu.

Wokół paryskiego Dworca Północnego stoją kordony uzbrojonych po zęby żandarmów i sznur furgonetek policji. Tuż obok jest dzielnica Goutte d'Or, zamieszkana głównie przez paryżan pochodzenia arabskiego. Niecodzienny widok: więcej tu dziś mundurowych niż mieszkańców, bo ci skorzystali z długiego weekendu, aby wreszcie wyjechać za miasto.

Jest sobota, 15 maja, około godziny czternastej. Zwykle rojny i gwarny bulwar Magenta świeci pustkami: wszystkie sklepy zamknięto na rozkaz władz. Nikt nie przemknie się tu bez kontroli, wszystkie torby poddawane są rewizji, jak na lotnisku. Za chwilę w tej okolicy ma zacząć się manifestacja poparcia dla Palestyńczyków. Nielegalna, bo zakazał jej miejscowy prefekt policji, na polecenie zwierzchników z MSW. Stąd ta wielka mobilizacja: aby zapobiec zamieszkom, do północnej części stolicy wysłano ponad 4 tys. policjantów i żandarmów.

Mimo to w dzielnicy zbierają się grupki z palestyńskimi flagami i hasłami: „Palestyna zwycięży!", „To Izrael jest terrorystą!", „Izrael to morderca!". Policja nie czeka: przy pomocy armatek wodnych i gazu łzawiącego rozprasza jakiekolwiek próby gromadzenia się manifestantów.

Jak napisze potem lokalny dziennik „Le Parisien", w wielu miejscach stolicy dochodzi w tę sobotę do starć. Wznoszone są prowizoryczne barykady, podpalane śmietniki, na żandarmów lecą ciężkie przedmioty. Ostateczny bilans dnia: jeden żandarm lekko ranny, 44 zatrzymanych uczestników zajść.

ZWYKLE POKOJOWE I LEGALNE manifestacje propalestyńskie odbyły się w tamten weekend – na wezwanie stowarzyszeń palestyńskich we Francji – w wielu innych miastach, m.in. w Strasburgu, Marsylii, Lyonie i Nantes. Według radia RFI w sumie wzięło w nich udział ok. 22 tys. ludzi. Demonstracji zakazano tylko w Paryżu i Nicei. Decyzje te wywołały oburzenie części polityków, zwłaszcza z lewicy.

Szef MSW Gérald Darmanin uzasadniał zakaz manifestacji obawą przed powtórzeniem się zajść z lipca 2014 r., gdy w północnych dzielnicach Paryża demonstracja propalestyńska przerodziła się w uliczną bitwę z policją. W odpowiedzi radykalnie lewicowa Francja Nieujarzmiona Jeana-Luca Mélenchona skrytykowała liberalne władze (czyli także prezydenta Emmanuela Macrona) za to, że pozbawiają Francuzów prawa protestowania przeciw „skrajnie prawicowemu rządowi izraelskiemu".

Za każdym razem, gdy ożywa konflikt bliskowschodni, we Francji odnawia się – niemal mechanicznie – gorący spór: lewica broni Palestyńczyków i atakuje politykę izraelską, z kolei centrum i prawica popierają władze w Tel Awiwie. Do grona obrońców Izraela dołączyła od pewnego czasu także skrajna prawica Marine Le Pen, pragnąca odciąć się od podejrzeń o antysemityzm.

OBAWA PRZED „IMPORTEM" NIENAWIŚCI z Bliskiego Wschodu spędza sen z powiek władzom Francji. Ten kraj zamieszkują największe w Europie społeczności Żydów i muzułmanów: dlatego przypomina beczkę prochu, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Sytuacja ta dotyka najmocniej pół miliona francuskich Żydów. W ostatnich latach są oni nie tylko głównym celem – obok policjantów – ataków islamskich terrorystów (np. atak Mohammeda Meraha na żydowską szkołę w Tuluzie w 2012 r.), lecz także ofiarami brutalnych napaści o antysemickim podłożu (głośne i bestialskie morderstwa w latach 2017-18 w Paryżu na starszych kobietach żydowskiego pochodzenia: Sarze Halimi i Mireille Knoll). Z obawy przed antysemityzmem wielu wybiera aliję, emigrację do Izraela: w latach 2013-16 wyjechało tam ponad 23 tys. Francuzów żydowskiego pochodzenia. Wiadomo jednak, że pewna część z nich wróciła potem nad Sekwanę.

Jednocześnie widać inną tendencję: Francuzi żydowskiego pochodzenia wyprowadzają się z przedmieść zdominowanych przez muzułmanów do innych, dla nich bezpieczniejszych dzielnic. Politolog Jérôme Fourquet zauważa na łamach „L'Express", że np. w miastach podparyskiego departamentu Seine-Saint Denis w ostatnich 15 latach liczba mieszkańców o żydowskich korzeniach skurczyła się nawet dwu- lub trzykrotnie.

Wiele wskazuje, że ta wewnętrzna migracja Żydów będzie się nasilać. Zwłaszcza że alija wydaje się rozwiązaniem bardziej ryzykownym i trudniejszym niż zmiana dzielnicy. ©

Franziska obrywa od obu stron

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Konflikt bliskowschodni przenosi się na niemieckie ulice. Migranci z krajów arabskich stawiają pod znakiem zapytania niemiecki konsensus wobec Żydów i Izraela.



Przeciw Izraelowi, za Palestyną: takie demonstracje odbywają się na ulicach wielu niemieckich miast. Na zdjęciu: Berlin, 17 maja 2021 r.

Nasz zachodni sąsiad to dziś jeden z największych tygli kulturowych świata. Spośród 83 mln ludzi, którzy żyją w Niemczech, ponad 10 mln to obcokrajowcy. Co więcej, co czwarta osoba ma tu korzenie migracyjne: albo ona sama, albo jej rodzice lub dziadkowie mieszkali wcześniej gdzie indziej, rozmawiali w innym języku, czuli się kimś innym.

Choć ta ogromna grupa z czasem coraz bardziej integruje się z niemieckim społeczeństwem, to często przez wiele pokoleń chroni swoją tożsamość związaną z dawną ojczyzną. Widać to dobrze dziś – po protestach organizowanych na ulicach miast. Bo tematy ściśle niemieckie to tylko ich część, być może nawet mniejsza. Dominują tematy światowe.

Bombarduj Tel Awiw

Gdy więc polski Trybunał Konstytucyjny wydał jesienią 2020 r. wyrok w sprawie aborcji, w kilkudziesięciu niemieckich miastach tłumy skandowały po polsku antyrządowe hasła. Gdy milicja Łukaszenki rozpędzała protestujących Białorusinów, w Berlinie regularnie szły biało-czerwono-białe marsze. Stale na ulice wychodzą tu Kurdowie, antyputinowscy Rosjanie i przedstawiciele innych nacji, reagując na sytuację w swoich byłych ojczyznach. Odbywa się to pod okiem policji i przy co najwyżej lekkim zdziwieniu rdzennych Niemców, którzy nie rozumieją haseł skandowanych w różnych językach.

Jednak protesty, które w tych dniach odbywają się na terenie całych Niemiec, mają inny przebieg. Przykładowo: w sobotę 15 maja ponad 3,5 tys. demonstrantów zgromadziło się w berlińskiej dzielnicy Neukölln, aby wyrazić solidarność z Palestyńczykami. W tłumie dominowali młodzi mężczyźni z flagami Turcji, Palestyny, a także Hamasu. Skandowano: „Cholerni Żydzi" i „Izrael to morderca dzieci". Z pobliskiej kawiarni puszczono piosenkę „Udrub udrub Tal Abib" (arab.: „Bombarduj, bombarduj Tel Awiw").

Już kilka dni wcześniej – zaraz po tym, jak na Bliskim Wschodzie zaczęła się kolejna zbrojna odsłona konfliktu między Izraelem a Palestyńczykami [patrz tekst w tym numerze w dziale Świat – red.] – w kilku miastach doszło do ataków na synagogi i palenia flag izraelskich przy okazji spontanicznych propalestyńskich zgromadzeń.

Takie groźby, wykrzykiwane pod adresem Żydów, w Niemczech brzmią szczególnie złowieszczo. W ubiegłym stuleciu to niemiecki naród, zaślepiony ideologią Adolfa Hitlera, pozwolił na realizację planu narodowych socjalistów; Holokaust pochłonął ok. 6 mln ofiar. Wstyd i skrucha wobec Żydów, a także poczucie odpowiedzialności za istnienie Izraela stały się z czasem jednym z fundamentów powojennych Niemiec. Izrael mógł liczyć na wsparcie polityczne i także militarne [patrz „TP" nr 47/2020 – red.] bez względu na to, która opcja polityczna rządziła w Bonn, a później w Berlinie.

Jednak w tych majowych dniach na ulice niemieckich miast nie wychodzą rdzenni Niemcy, którzy wychowali się w duchu *Erinnerungskultur*, kultury pamięci, jakiej centralnym spoiwem jest pamięć o Holokauście. Antyizraelskie i antysemickie hasła wznoszą głównie imigranci z krajów arabskich, a także Turcy (ci drudzy żyją tu już czasem w drugim, trzecim pokoleniu).

Granice krytyki

Po roku 2015 – po tym, jak kanclerz Angela Merkel otworzyła szeroko granicę przed uchodźcami i imigrantami – niemieckie elity sporo się napracowały, aby społeczeństwo zaakceptowało nowych przybyszów, głównie z państw islamskich. Teraz, po wybuchu antyizraelskich nastrojów na niemieckich ulicach i w sieciach społecznościowych, współrządzący krajem politycy chadeccy (CDU/CSU) zaczęli głośno mówić o problemie tzw. importowanego antysemityzmu.

Bo intensywność obecnych antyizraelskich demonstracji to coś nowego; nowe jest też, że mają one miejsce również we wschodnich landach. Niemniej reakcje ulicy na wydarzenia na Bliskim Wschodzie to w Niemczech już od wielu lat nieformalna tradycja. Place i ulice Berlina oraz metropolii w zachodnich landach zapełniały się więc latem 2014 r., gdy doszło do kilkutygodniowej eskalacji izraelsko-palestyńskiej, a także w grudniu 2017 r., gdy Donald Trump ogłosił, że USA uznają Jerozolimę za stolicę Izraela.

Za każdym razem niemiecka opinia publiczna zadawała sobie pytanie, co jest jeszcze uprawnioną (i dozwoloną prawnie) krytyką działań Izraela, a co już antysemityzmem. Dziś takie pytanie jest jeszcze bardziej aktualne.

– Niemiecki rząd ma dość jasną linię: „Stoimy po stronie Izraela". I większość społeczeństwa widzi to podobnie – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Franziska Ilse-Shams, pracownica społeczna organizacji „DaMigra", która w Halle (wschodnie Niemcy) zajmuje się imigrantami.

Od przeszło dekady nasza rozmówczyni angażuje się w dialog kulturowy między Arabami i Żydami. – Pewne rzeczy są jasne. Groźby słowne wobec Żydów czy ataki na synagogi to już sprawy dla policji, a nie do dyskusji, czy to antysemityzm, czy jeszcze nie – mówi Ilse-Shams. Ale dodaje, że merytoryczne dyskusje wokół konfliktu na Bliskim Wschodzie są często ekstremalnie trudne. – Sama byłam wielokrotnie nazywana antysemitką, gdy np. krytykowałam przyjętą przez Kneset ustawę o Izraelu jako państwie narodu żydowskiego, albo gdy krytykowałam politykę osadniczą izraelskiego rządu – przyznaje.

Franziska Ilse-Shams przyznaje, że gdy w internetowych dyskusjach stara się wyważyć racje, najczęściej obrywa od obu stron.

Tysiące wolnych elektronów

Izrael jest postrzegany jako wróg numer jeden w wielu krajach arabskich, których tysiące obywateli co roku składają w Niemczech wnioski o azyl. Franziska Ilse-Shams przekonuje, że dla wielu z tych ludzi krytyczny stosunek wobec Izraela to nie tylko wynik krzywdzących stereotypów na temat Żydów, silnie zakorzenionych w świecie arabskim, lecz także konsekwencja działań Izraela.

– Mój mąż pochodzi z Libanu i dobrze pamięta drugą wojnę izraelsko-libańską z 2006 r. Z kolei jego matka pamięta wkroczenie armii izraelskiej na libańskie terytorium w latach 80. XX wieku – opowiada.

Kraj jej męża oficjalnie jest w stanie wojny z Izraelem, kontakty z obywatelami Izraela są w Libanie prawnie zabronione.

W Halle, gdzie mieszka rozmówczyni „Tygodnika", w ostatnich tygodniach również doszło do antyizraelskich protestów, podczas których padały antysemickie hasła. Ludzie zwołali się podczas modlitwy w meczecie. Kto dał sygnał, dokładnie nie wiadomo.



PIERRE ADENIS / LAIF / FORUM

ARCHIWUM PRYWATNE

38-letnia Franziska Ilse-Shams pracuje z imigrantkami i ich rodzinami w Halle, we wschodnich Niemczech.

Faktem jest, że państwo niemieckie nie kontroluje imamów i działalności edukacyjnej adresowanej do muzułmanów, którą oferują w Niemczech meczety. Zdecentralizowana sieć tysięcy małych islamskich wspólnot i setek organizacji religijnych to dla lubiących porządek Niemców twardy orzech do zgryzienia. Właściwie każdy meczet jest wolnym elektronem, a to, co głosi, zależy od miejscowego imama. Największym związkiem muzułmańskim w Niemczech jest Turecko-Islamska Unia Instytucji Religijnych (DITIB), finansowana przez Turcję.

„Takie związki są kontrolowane przez rządy w Ankarze, Teheranie czy Rijadzie, które wysyłają swoich przedstawicieli do Niemiec, by głosili nienawiść, w tym także antysemityzm" – mówił poseł Zielonych Cem Özdemir, komentując ostatnie protesty. On sam pochodzi z rodziny tureckiej i muzułmańskiej.

Niejasne statystyki

Eksperci badający zjawisko antysemityzmu wskazują, że problemu nie można jedynie spychać na imigrantów wyznających islam. Niechęć do Izraela, która płynnie może przerodzić się we wrogość wobec Żydów, łączy radykalnych muzułmanów, tureckich nacjonalistów, niemiecką skrajną lewicę oraz niemieckie grupy skrajnie prawicowe.

W 2020 r. niemiecka policja zarejestrowała 2351 przestępstw o podłożu antysemickim – sześć takich spraw na dobę. To smutny rekord: o 16 proc. więcej niż w 2019 r. Wśród zgłoszonych spraw są przypadki podburzania, agitacji słownej, fizycznych ataków i niszczenia mienia.

Zdecydowana większość takich przestępstw została przypisana środowiskom skrajnej prawicy. Ale organizacje żydowskie, w tym Centralna Rada Żydów w Niemczech (główna reprezentacja tutejszej społeczności żydowskiej), zgłaszają wątpliwości wobec metodologii używanej przez policję. Główny problem ma polegać na tym, że gdy nie uda się namierzyć sprawcy, sprawę z automatu przypisuje się skrajnej prawicy.

Można zrozumieć, że taka logika miała sens kilka dekad temu, gdy z dużym prawdopodobieństwem antysemityzmu można było szukać przede wszystkim w niemieckich grupach neonazistowskich. Ale dziś z wywiadów, które z ofiarami ataków prowadzą organizacje żydowskie, ma wynikać, że blisko jedna trzecia ofiar opisuje sprawców jako „osoby o ekstremistycznych przekonaniach muzułmańskich".

Pod stałą ochroną

Na najnowsze wybuchy antysemityzmu najmocniej chyba zareagowali politycy chadecji. Przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (CDU) mówił, że państwo powinno użyć pełnej siły przeciw sprawcom przestępstw antysemickich, i przypomniał, że ma ono obowiązek udzielenia jak największej ochrony instytucjom żydowskim. To drugie zresztą już się dzieje: np. w Berlinie 85 miejsc ważnych dla niemieckich Żydów – synagogi, szkoły, przedszkola, miejsca pamięci – jest pod stałą ochroną policji.

Z kolei sekretarz generalny CDU Paul Ziemiak zapowiedział wprowadzenie zakazu używania flagi Hamasu i zakazu działalności Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny (jego członkowie współorganizowali propalestyńskie demonstracje). Natomiast z inicjatywy federalnego ministra spraw wewnętrznych Horsta Seehofera policja przeprowadziła naloty na mieszkania członków organizacji, które zbierały w Niemczech pieniądze dla libańskiego Hezbollahu. Zbrojne skrzydło tej partii jest uznawane przez Unię Europejską za organizację terrorystyczną.

Z wyborami w tle

Sięganie po zdecydowane środki wpisuje się dziś także w logikę kampanii wyborczej.

Od kilku lat populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD) stara się przekonać, że tylko ona – za sprawą jej zdecydowanego sprzeciwu wobec imigracji z państw arabskich – chroni interesy ok. 200 tys. Żydów, którzy żyją w Niemczech. W AfD ↦

↦ powstała nawet grupa jej żydowskich członków; to głównie emigranci z krajów byłego Związku Sowieckiego. Zdecydowane działanie wobec islamskich radykałów miałoby pomóc dziś chadecji w odebraniu Alternatywie choćby paru punktów w wyborach do Bundestagu, zaplanowanych na wrzesień tego roku.

Z kolei Zieloni, którzy też liczą na zwycięstwo w tych wyborach, a dodatkowo w swoich szeregach mają największy procent członków o pochodzeniu imigranckim, akcentują potrzebę zmian w edukacji. Chcą, aby prócz kanonu, który opiera się na uczeniu o Holokauście i niemieckiej winie, rozmawiać też o współczesnych formach antysemityzmu i rozbrajać uprzedzenia, które są silne w arabskim kręgu kulturowym.

– Oni muszą przede wszystkim zacząć chodzić do szkół – tak o imigranckiej młodzieży mówi Franziska Ilse-Shams. Z własnego doświadczenia pracy z młodzieżą z kręgów arabskich, Franziska wskazuje na problem dotyczący wielu rodzin uchodźczych: ich dzieci szybko znikają z niemieckiego systemu nauczania. – I wtedy wystarczy, że pozostaną pod wpływem poglądów swoich rodziców albo trafią do meczetu, w którym głoszone są radykalne tezy.

– Liczba młodych imigrantów przybywających do Niemiec raczej się nie zmniejszy – ocenia realistycznie Ilse-Shams. Muzułmanów, których dziś jest w Niemczech ponad 5 mln, będzie przybywać. Równocześnie nie widać końca konfliktu na Bliskim Wschodzie. – A jednocześnie w Niemczech będziemy dalej żyć w poczuciu winy i odpowiedzialności za Holokaust. To są dwa bieguny, wokół których musimy szukać porozumienia – podkreśla Franziska Ilse-Shams.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

ŁUKASZ GRAJEWSKI został laureatem Nagrody im. Macieja Płażyńskiego w kategorii dziennikarz krajowy publikujący na tematy polonijne za reportaż o losach polskich pracowników jednego z wielkich niemieckich zakładów mięsnych, opublikowany na naszych łamach („Jesteśmy towarem" – czytaj na **powszech.net/jestesmytowarem**).

AUTOROWI SERDECZNIE GRATULUJEMY!



Królestwo na zakręcie

MARCIN ŻYŁA

Po brexicie i trzech falach pandemii w Wielkiej Brytanii czas na nowe otwarcie. Premier Boris Johnson ma nawet pomysł, ale dużo zależy od królowej Elżbiety. Oraz od jej następców.

Na pierwszy rzut oka nie jest źle. Brexit, przynajmniej na krótką metę, zaszkodził Brytyjczykom mniej, niż przewidywano. Indyjski, bardziej zakaźny wariant wirusa SARS-CoV-2 może wprawdzie opóźnić znoszenie covidowych restrykcji, lecz kraj stopniowo wraca do normalności. Przeprowadzono tu jedną z najskuteczniejszych akcji szczepień. Mieszkańcom Wysp sprzyja też sytuacja międzynarodowa – zwłaszcza nowy, bardziej przewidywalny prezydent USA Joe Biden pozwala im ponownie poczuć, że liczą się w świecie.

Nadciągają jednak czarne chmury. Więzy łączące poszczególne części Zjednoczonego Królestwa – Anglię, Szkocję, Walię i Irlandię Północną – są najsłabsze od dziesięcioleci. A ostatnie wydarzenia w rodzinie królewskiej prowokują do pytań: co będzie, gdy zabraknie Elżbiety II?

Luźna unia

Na początku maja Szkocka Partia Narodowa pewnie wygrała w wyborach do autonomicznego parlamentu w Edynburgu, a jej liderka Nicola Sturgeon zapowiedziała chęć zorganizowania drugiego referendum w sprawie niepodległości



CHRIS JACKSON / PA IMAGES / FORUM

Królowa Elżbieta II przed przemówieniem w Izbie Lordów. Londyn, 11 maja 2021 r.

Szkocji (w pierwszym, siedem lat temu, zwyciężyli zwolennicy unii z Londynem). Ustalenia handlowe z Unią Europejską wymusiły powstanie *de facto* granicy celnej na Morzu Irlandzkim, przyszłoroczna zaś, setna rocznica powstania Wolnego Państwa Irlandzkiego – poprzednika obecnej Republiki Irlandii – już teraz wywołuje dyskusje o ewentualnym zjednoczeniu z kontrolowaną przez Londyn Irlandią Północną [patrz tekst w tym numerze w dziale Świat – red.]. Nawet w Walii, kraju odrębnym kulturowo, lecz połączonym z Anglią m.in. systemem prawnym i sądowniczym, narastają nastroje separatystyczne.

Co gorsza, wiele wskazuje na to, że *long-brexit* – długotrwały efekt opuszczenia Unii Europejskiej – dopiero w kolejnych latach da o sobie znać w pełni. Opublikowany kilka dni temu raport, powstały przy współudziale naukowców z London School of Economics and Political Science, kreśli ponury scenariusz: jeżeli rząd natychmiast nie przystąpi do walki z rosnącymi nierównościami społecznymi, nie złagodzi kosztów przestawiania gospodarki w tryb zeroemisyjny oraz nie uporządkuje swojej współpracy z Unią, pod koniec tej dekady brytyjska gospodarka może wręcz przypominać niewydolną gospodarkę włoską z końca lat 90. XX w.

Na przyszły rok w całym Zjednoczonym Królestwie planowane są obchody Platynowego Jubileuszu, czyli 70. rocznicy wstąpienia na tron Elżbiety II – pierwsze takie w historii kraju. Przed miesiącem królowa skończyła 95 lat i choć to temat delikatny, nikt nie ma wątpliwości, że „druga era elżbietańska" powoli zbliża się ku końcowi. Śmierć księcia Filipa (99-letni małżonek Elżbiety zmarł na początku kwietnia) oraz echa wywiadu, jakiego amerykańskiej dziennikarce telewizyjnej Oprze Winfrey udzielili w marcu książę Harry i jego żona Meghan Markle – oba te fakty uprzytamniają, że – po pierwsze – czas jest nieubłagany. A także – to po drugie – że następca królowej może nie mieć charyzmy potrzebnej do utrzymania królestwa w ryzach.

Takt i umiar

To bowiem, że Elżbiecie II „wolno więcej", widać nie od dziś. W dużej mierze to właśnie jej osobista popularność sprawiła, że po wspomnianym wywiadzie pary książęcej większość Brytyjczyków stanęła po stronie rodziny królewskiej – i to mimo silnie wybrzmianych zarzutów o rzekomy rasizm w rodzinie królewskiej.

W reakcjach na ten wywiad widać było różnice pokoleniowe i polityczne; widać było też, jak odmienne mogą one być po dwóch stronach Atlantyku. Prawie połowa (47 proc.) ankietowanych przez ośrodek YouGov Brytyjczyków uznała wywiad za „niestosowny" (to określenie, które po polsku brzmi delikatnie, w ustach Anglika nabiera zdecydowanie większej mocy). Mniej więcej taki sam procent Amerykanów nie dopatrzył się w wypowiedziach Harry'ego i Meghan (w gruncie rzeczy zwłaszcza Meghan) nic zdrożnego.

Dalej: im młodszych Brytyjczyków pytano, tym częściej uznawali traktowanie Harry'ego i Meghan przez członków rodziny królewskiej za niesprawiedliwe (ok. 60 proc. takich odpowiedzi w przedziale wiekowym 18-24 lata i tylko ok. 15 proc. wśród osób powyżej 65. roku życia). Emisja wywiadu nie wpłynęła znacząco na popularność Elżbiety II, która, po zsumowaniu ocen pozytywnych i negatywnych, cieszy się ponad 60-procentowym zaufaniem (dla porównania: książę Harry osiąga 10 proc., a w stosunku do Meghan Markle przeważają oceny negatywne).

Inny przykład: kiedy w 2019 r., w apogeum debaty na temat brexitu, premier Boris Johnson – ku oburzeniu wielu Brytyjczyków – poprosił królową o zgodę na precedensowe zawieszenie obrad parlamentu, Elżbieta II nie dość, że taką zgodę wydała, to jeszcze wyszła z całej sytuacji bez szkody na wizerunku. W 2014 r. zaś, tuż przed wspomnianym referendum niepodległościowym w Szkocji, ówczesny premier David Cameron, obawiając się rozpadu państwa, poprosił królową o interwencję. Elżbieta zaapelowała tylko do Szkotów, aby podejmując decyzję „bardzo uważnie zastanowili się nad przyszłością". To wystarczyło – wielu komentatorów uważało wtedy, że gdyby z ust monarchini Szkoci usłyszeli bardziej dosadne słowa, wynik głosowania byłby inny.

Potrzeba odświeżenia

Kłopot w tym, że następca brytyjskiego tronu, 72-letni książę Karol, nie ma już tak dobrej prasy. A przede wszystkim, nie ma takiego taktu i wyczucia sytuacji. Coraz głośniej mówi się o tym, że jeżeli obejmie on tron, w praktyce usunie się w cień, większość publicznych obowiązków powierzając swojemu 38-letniemu synowi Williamowi.

To właśnie William jest dziś być może jedynym – oprócz Elżbiety – członkiem rodziny królewskiej, który wśród Brytyjczyków wzbudza niemal wyłącznie sympatię. Tymczasem monarchia bardzo potrzebuje odświeżenia wizerunku. Oprócz oskarżeń formułowanych przez książęta Sussexu (taki tytuł przysługuje Harry'emu i jego żonie), w ostatnich latach ród Windsorów postawił w dwuznacznym świetle zwłaszcza książę Andrzej, drugi syn Elżbiety i Filipa. Książę Yorku (taki tytuł przysługuje 61-letniemu dziś Andrzejowi) utrzymywał kiedyś zażyłe kontakty z Jeffreyem Epsteinem, amerykańskim finansistą i milionerem, skazanym za rozliczne przestępstwa seksualne. ↦



PHIL NOBLE / POOL / GETTY IMAGES

Harry i Meghan kończą swoją wizytę w Królestwie Tonga, 26 października 2018 r.

Wywiad zmienił niewiele

↦ Tuż po emisji wywiadu przeprowadzonego przez Oprę Winfrey z książętami Sussexu wydawało się, że może on otworzyć nowy front wojny kulturowej, która – gdy „druga epoka elżbietańska" dobiegnie już końca – odmieni Wielką Brytanię.

Po sprzeczce na wizji z jednym z kolegów ze studia wyszedł Piers Morgan, dziennikarz prowadzący popularny program śniadaniowy „Good Morning Britain" w telewizji ITV. „Nie wierzę ani jednemu jej słowu. Nie uwierzyłbym jej, gdyby czytała mi prognozę pogody" – tak mówił Morgan o Meghan Markle, odnosząc się m.in. do jej opowieści, jakoby miała problem z uzyskaniem pomocy psychologicznej ze strony rodziny królewskiej. Morgana – który nie krył się z tym, że nie lubi Markle (niektórzy twierdzą, że w przeszłości próbował ją poderwać, ale miała odrzucić jego względy) – dość powszechnie na Wyspach skrytykowano. Do Ofcomu, instytucji regulującej krajowe media, wpłynęło kilkadziesiąt tysięcy skarg od widzów na jego komentarze.

Dlaczego zajmujemy się tu w ogóle awanturą w studiu telewizji śniadaniowej? Ponieważ coraz głośniej mówi się, że Piers Morgan zasili jedną z dwóch tworzonych na Wyspach konserwatywnych stacji telewizyjnych. Jedną z nich zakłada Rupert Murdoch, właściciel amerykańskiej konserwatywnej stacji Fox News. Ich wciąż odkładany start zapowiadano jako rewolucję na brytyjskim rynku telewizyjnym, od dekad zdominowanym przez etos obiektywności publicznego radia i telewizji spod znaku BBC.

Mimo to jest mało prawdopodobne, aby wojna kulturowa – z takim czy innym udziałem rodziny królewskiej i zapewne wbrew jej woli – miała w najbliższych latach podzielić Brytyjczyków tak, jak dzieli dziś społeczeństwo Stanów Zjednoczonych. Hasło „Make Great Britain Great Again" (Uczyńmy Wielką Brytanię na powrót wielką) raczej się tu nie przyjmie.

Amerykański socjolog James Davidson Hunter, autor wydanej 30 lat temu książki „Culture Wars: The Struggle to Define America" („Wojny kulturowe. Walka o zdefiniowanie Ameryki"), która spopularyzowała ten termin, sam zauważał różnice między Stanami a Wielką Brytanią. W tej drugiej religia odgrywa mniejszą rolę, nie ma systemowej dyskryminacji i rasizmu. Mimo narzekań premiera Camerona sprzed kilku lat, że „multi-kulti" nie działa, mimo fali ksenofobii, której szczyt przypadł na referendum w sprawie brexitu w 2016 r., brytyjskie społeczeństwo wciąż sprawnie integruje kolejne pokolenia imigrantów i pozostaje otwarte.

Różnorodność wciąż jest OK

Dowodem służą statystyki. I tak, co piąty ankietowany mieszkaniec Wysp pochodzenia afrykańskiego doświadczył w Wielkiej Brytanii zachowania rasistowskiego w ciągu poprzednich pięciu lat – podczas gdy w Niemczech było to 48 proc.; średnia unijna wynosi tutaj 30 proc. (sondaż EU-MIDIs II, 2016 r.). W innym sondażu (YouGov, luty 2021 r.) połowa badanych członków mniejszości etnicznych uznała, że relacje rasowe są na Wyspach lepsze niż w USA (odwrotną opinię miał co dziesiąty).

Lata 2016-19 – czyli czas emocjonalnej debaty o brexicie oraz szczyt popularności Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa i jej ówczesnego lidera Nigela Farage'a – przyniosły wprawdzie wzmożenie retoryki antyimigranckiej, a nawet pojedyncze akty przemocy, ale codzienna uliczna wielokulturowość w wydaniu brytyjskim wciąż sprawdza się bardziej niż po drugiej stronie kanału La Manche.

Emisja wywiadu z Harrym i Meghan zaszkodziła jednak brytyjskiej monarchii, narażając ją na krytykę, przed którą akurat tej instytucji bardzo trudno się bronić – i widocznej tu nieufności widzów z USA raczej nie zmniejszyły późniejsze zapewnienia, że oskarżenia o rasizm w ro-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod sygn. akt I Ns 451/20 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Elżbiety Nowakowskiej z udziałem Michała Nowakowskiego, Ewy Gawryłowicz, Albiny Nadolnej o nabycie przez zasiedzenie prawa własności działki ewidencyjnej nr 272 o powierzchni 0,18 ha położonej w Majdanie Zbydniowskim gmina Zaleszany, działki ewidencyjnej nr 552 o powierzchni 0,32 ha położonej w Majdanie Zbydniowskim gmina Zaleszany, działki ewidencyjnej nr 876 o powierzchni 0,1665 ha położonej w Majdanie Zbydniowskim gmina Zaleszany, dla których nie ma urządzonej księgi wieczystej, a jako właścicielka w LWH nr 327, 351 figuruje Ewa Gawryłowicz, zaś w LWH nr 598 figuruje Albina Nadolna.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności następców prawnych Ewy Gawryłowicz i Albiny Nadolnej, aby w terminie 1 miesiąca od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

dzinie królewskiej, które sformułowała Meghan, będą „analizowane prywatnie".

Wywiad może pogłębić też podziały we Wspólnocie Narodów – tej luźno powiązanej grupie państw, byłych brytyjskich kolonii. Po tzw. skandalu Windrush – ujawnieniu faktu bezprawnych deportacji z Wielkiej Brytanii osób przybyłych tu wcześniej z byłych brytyjskich kolonii na Karaibach – oskarżenia o rasizm trafiają na podatny i czuły grunt np. na Jamajce, gdzie ważą się losy ewentualnego referendum w sprawie pozbawienia Elżbiety II funkcji głowy tego państwa. Jeszcze w tym roku republiką może stać się Barbados. Choć także w tej kwestii więcej może zdarzyć się dopiero po śmierci monarchini.

Projekt Miłość

Jednym z pomysłów na brytyjskie „nowe otwarcie" jest – podejmowana właśnie przez premiera Borisa Johnsona – próba budowy nowej ogólnopaństwowej tożsamości, a ściślej mówiąc: nowej opowieści o niej.

Pierwszy raz od lat 90. XX w., kiedy to premier Tony Blair i jego Nowa Partia Pracy obiecywali Brytyjczykom „Trzecią Drogę", władze w Londynie szykują podobną zapowiedź: nowej Wielkiej Brytanii. Roboczo nazwana „Project Love" („Projekt Miłość"), ma być ona przeciwieństwem kampanii lęku i strachu przed Unią Europejską z czasu brexitu.

Ze swoją postawą „agresywnego optymizmu", Boris Johnson nadaje się świetnie na jej twarz. A celem kampanii ma być ponowne zbliżenie się do siebie Anglików, Szkotów, Walijczyków i Irlandczyków z Północy. Jakby nie było tu dość problemów, również niedawno, w czasie kolejnych fal pandemii, mieszkańcy czterech krain Zjednoczonego Królestwa podlegali często odmiennym restrykcjom, żyjąc niczym w osobnych państwach.

Głównym pomysłem Londynu na ponowne zjednoczenie państwa ma być „fundusz dobrobytu" – zarządzany centralnie, z pominięciem władz krajowych, który ma wypełnić braki po dawnych dotacjach i grantach z Unii Europejskiej. Obliczony na lata, „Project Love" ma służyć także następcom obecnego premiera.

Czy plan Johnsona zadziała? Niektórzy politycy ze Szkocji widzą w nim wyraz paniki i desperacji w ratowaniu unii – i potwierdzenie, że państwo stoi na krawędzi rozpadu. Wiele zależy tu jednak od szeregu okoliczności. I właśnie w tym miejscu powraca przyszłość rodziny królewskiej.

O ile szczegółowe procedury działania na wypadek końca panowania Elżbiety II – ukryte pod kryptonimem Operacja „London Bridge" („Most Londyński") – zaczną, gdy przyjdzie na to czas, działać sprawnie i automatycznie, o tyle jest trudno przewidzieć, jakie będą wówczas skutki polityczne. Szkoccy Zieloni już zapowiedzieli, że przejdą wtedy na pozycje republikańskie. Czytaj: zanegują sens dalszego istnienia monarchii. Podobnie może uczynić Szkocka Partia Narodowa.

Okazuje się więc, że choć na pozór wszystko jest uregulowane (i hasło „umarł król, niech żyje król" ma wciąż dowodzić stałości i ciągłości), to we współczesnej Wielkiej Brytanii – podobnie zresztą jak wiele wieków temu w innych monarchiach – odejście panującego może całkiem zmienić oblicze kraju.

©℗ MARCIN ŻYŁA

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zjednoczenie, którego nie będzie

PEADAR DE BURCA

100 lat po powstaniu Irlandii Północnej i ponad 20 lat po ugodzie, która kończyła krwawy konflikt, na wyspie doszło do osobliwej sytuacji: nikt nie pragnie zjednoczenia Północy z Południem.

Niełatwo przyszło mi napisanie tego zdania. Jestem Irlandczykiem, do tego głęboko zakorzenionym w idei republikańskiej. Jeszcze rok temu byłem przekonany, że zjednoczona Irlandia, ten Święty Graal każdego republikanina, to cel możliwy do szybkiego osiągnięcia. Brexit, rosnący zakres wolności socjalnych i kulturalnych w Republice Irlandii oraz zmiany demograficzne na korzyść irlandzkich nacjonalistów w Irlandii Północnej – wszystko to zdawało się sprzyjać urzeczywistnieniu tego marzenia. Jednak dziś ono blaknie, jak statek znikający za horyzontem. Jestem po czterdziestce i będę doprawdy szczęśliwy, jeśli za mego życia zobaczę zjednoczenie mojej Zielonej Wyspy.

Oto kilka faktów, które pomogą zrozumieć istotę wydarzeń.

Czas kłopotów

Na irlandzkiej wyspie są dwa państwa. Jedno to niespełna pięciomilionowa Republika Irlandii, rządzona z Dublina i składająca się z trzech prowincji: Leinster na wschodzie, Munster na południu i Connaught na zachodzie. Przeważająca część czwartej prowincji, Ulsteru, liczącego 1,9 mln mieszkańców, należy do Zjednoczonego Królestwa i znana jest jako Irlandia Północna. Została stworzona w 1921 r. na mocy traktatu, który kończył brutalną wojnę o niepodległość, jaką Irlandczycy stoczyli z Anglikami.

Do niedawna większość ludności Irlandii Północnej stanowili protestanci, zdecydowani zwolennicy unii ze Zjednoczonym Królestwem. To potomkowie kolonistów z Anglii i Szkocji, którzy osiedlali się tu od 1606 r., w ramach uwieńczonych powodzeniem przedsięwzięć nakierowanych na anglicyzację Irlandii. Katolicy, którzy utracili ziemię na rzecz tych protestanckich kolonistów, starali się ją odzyskać i tak zaczął się krwawy konflikt religijny, który tli się do dziś (przy nim współczesne rozbicie polityczne i kulturalne w Polsce wygląda jak przepychanki przedszkolaków).

Po roku 1969 konflikt w Irlandii Północnej (zwany Troubles; ang. kłopoty) stał się tak intensywny, że przybrał cechy wojny domowej. Rozgrywany był przy pomocy bomb i pocisków. Na porządku dziennym były bomby-pułapki, masakry kobiet i dzieci oraz zamachy na członków brytyjskiej rodziny panującej. Ludzie znikali bez śladu. Do akcji wprowadzono brytyjską armię, by pomogła protestantom podporządkować sobie ówczesną mniejszość katolicką. Katolicy stworzyli własną siłę zbrojną: Tymczasową Irlandzką Armię Republikańską [PIRA; powstała ona poprzez odłączenie się od historycznej IRA, ale potem była powszechnie określana jako IRA – red.]. Mój ojciec uczestniczył w ich zbrojnej walce o zjednoczenie. W takich miastach jak Belfast i Derry działała partyzantka miejska. Armia brytyjska, policja, różne protestanckie ugrupowania paramilitarne, wreszcie IRA – wszyscy oni grali w grę o sumie zerowej, która w końcu zdegenerowała się do gangsterki i wojny na wyniszczenie.

Taka bywa wojna domowa. Nie ma w niej zwycięzców. Wszyscy tracą, choć nie wszyscy tak samo.

Wtedy do akcji wkroczył prezydent USA Bill Clinton. A także brytyjski premier Tony Blair oraz Bertie Ahern, premier Republiki Irlandii. W 1998 r. wynegocjowano pokój (nazwano to Porozumieniem Wielkopiątkowym) i odtąd protestancka większość, lojalna wobec królowej i dumna ze swych brytyjskich tradycji, dała się, choć z niechęcią, wciągnąć w system współrządzenia Irlandią Północną wspólnie z katolickimi republikanami.

Przez ostatnie 23 lata Irlandia Północna cieszyła się pokojem, ale ostatnio stanęła w obliczu najpoważniejszego kryzysu w swojej krótkiej pokojowej historii.

Czas zmian

Gdybyście przed pandemią zapytali mnie, czy wyobrażam sobie zjednoczoną Irlandię, odpowiedziałbym: tak, i to w ciągu mniej więcej pięciu lat, może nieco dłużej. Nastroje na wyspie były dobre. Małżeństwa tej samej płci zostały już w Republice zalegalizowane. Przed rokiem 2018 nasze ustawodawstwo aborcyjne było podobne do aktualnie obowiązującego w Polsce. Zostało zmienione jako rezultat referendum przeprowadzonego w tymże roku. Młode pokolenie w Irlandii Północnej – i to zarówno protestanci, jak też katolicy – patrzyło nie bez zazdrości na styl życia w nowoczesnej, liberalnej i kosmopolitycznej Republice, porównując go z brakiem perspektyw i wyboru u siebie. Na horyzoncie majaczył poza tym brexit. Rolnicy i przedsiębiorcy byli zaniepokojeni. Choć w Irlandii Północnej 55 proc. głosujących w referendum brexitowym opowiedziało się za pozostaniem w Unii Europejskiej, to wieloletnie związki Irlandii Północnej z Wielką Brytanią nie pozostawiały alternatywy, że Unię trzeba będzie opuścić. Liberalni protestanci zaczęli wysyłać pod adresem Republiki pojednawcze sygnały.

Media zalała fala spekulacji i marzeń o jednej wspólnej Irlandii. Wydawało się, że brexit, ten pomysł obecnego premiera Borisa Johnsona, w ciągu zaledwie trzech lat lepiej przysłużył się idei zjednoczenia niż sto lat walki zbrojnej. Pádraig Ó Muirigh, doradca republikańskiej partii Sinn Fein, skonstatował: „To brexit nadał sprawie kosmicznego przyspieszenia. Mam całkiem realne przekonanie, że żyjemy w czasach historycznych".

Czas przyciągania

W 2019 r. Johnson zgodził się na ustanowienie postbrexitowej granicy na Morzu Irlandzkim. W rezultacie obie Irlandie, Południe i Północ, znalazły się w jednej strefie ekonomicznej, a probrytyjscy protestanci z Północy przekonali się, że konserwatyści Johnsona gotowi są spisać ich na straty. Pojawiło się nawet przekonanie, że to rząd w Dublinie ma dla nich więcej zrozumienia niż Londyn.

Południe przyciągało wielu progresywnie nastawionych protestantów, nadal przy tym identyfikujących się jako Brytyjczycy. Dziennikarz Ian Johnston ujął to tak: „Dla mnie Irlandia oznacza członkostwo w Unii Europejskiej, zgroma-



JASON CAIRNDUFF / REUTERS / FORUM

Zamieszki na ulicach Belfastu, 7 kwietnia 2021 r.

dzenia obywatelskie oraz powieści Sally Rooney" [Rooney to popularna dziś, 30-letnia irlandzka pisarka – red.]. A irlandzki premier Leo Varadkar, mając na myśli podobnych do Johnstona liberalnych protestantów, stwierdził, że Irlandia musi uczynić więcej, aby protestanci czuli się „u siebie" we współczesnej zjednoczonej Irlandii.

Tego rodzaju wypowiedzi nie zaskakują w ustach rasowego polityka, ale podobną opinię wyraził też twardogłowy republikanin: Sean Murray, ksywa „Spike" [*spike* to po angielsku „kolec", a także nazwa pocisku przeciwpancernego – red.], członek IRA, który spędził w więzieniu 12 lat. Powiedział: „Nie chcemy, aby ludzie, którzy identyfikują się jako Brytyjczycy, zostali postawieni w sytuacji, w której ich brytyjskość okaże się balastem. Nie chcemy, aby czuli się odtrąceni przez zjednoczone państwo irlandzkie, tak jak my nacjonaliści czuliśmy się odtrąceni pod rządami brytyjskimi".

Również potędze sportu zawdzięczamy, że wielu protestantów już wcześniej doświadczyło akceptacji. Dla irlandzkiego futbolu, najpopularniejszego sportu na wyspie, granica nie istnieje – drużyny z czterech prowincji grają razem. Irlandzka reprezentacja rugby składa się z zawodników z Południa, jak też z Północy. Podobnie działa Rowing Ireland, organizacja wioślarska działająca po obu stronach granicy.

Walczące ze sobą społeczności Irlandii Północnej przebyły długą drogę od nieufności do przyjaźni. Stopniowo narastało przeświadczenie o bezsensowności przemocy. W proces ten włączyły się kręgi artystyczne i duchowieństwo, wspierając gotowość do przebaczenia wśród ludzi, którzy utracili członków rodzin w strzelaninach lub zamachach bombowych, i zachęcając do wyciągnięcia ręki do odwiecznego wroga. Powoli, bardzo powoli Irlandczycy oswajali się z naszym „narodowym marzeniem", aż w końcu spojrzeliśmy mu prosto w oczy.

Czas rozczarowań

I wtedy wszystkich, zarówno na Północy, jak i na Południu, ogarnął niepokój. Katolików i protestantów, bez różnicy.

Pod wieloma względami owo dreptanie w stronę zjednoczenia było jak żonglerka delikatną porcelaną. Albo jak kierowanie się sercem, a nie rozsądkiem. Serce podpowiada: tak. Rozsądek: jeszcze nie teraz.

Są przecież takie miejsca jak wschodni Belfast, skupisko protestanckiej klasy robotniczej, gdzie rany po przemocy jeszcze się nie zasklepiły. Ludzie nie są gotowi zapomnieć. Gdy odwiedzasz te miejsca – a byłem tam wielokrotnie – spotkasz i takich, którym ciąży brzemię przegranej (tak to widzą) wojny i „kapitulacji przed IRA". Rząd Republiki ma tego świadomość i zadaje sobie pytanie, czy warto sprowadzać do zjednoczonej ojczyzny kilkaset tysięcy zatwardziałych protestantów. Wśród nich są i tacy, którzy dla swojej tożsamości gotowi są zabijać.

Eamonn Colclough, emerytowany pułkownik armii irlandzkiej z doświadczeniem na misjach pokojowych ONZ, tak ocenia sytuację: „W takich okolicznościach na rządzie Republiki spoczęłaby odpowiedzialność za utrzymanie pokoju na Północy, a niewielka armia Republiki nie jest przygotowana do walki z partyzantką miejską. Po prostu nie bylibyśmy w stanie sobie z nią poradzić".

Tymczasem w kwietniu tego roku w Irlandii Północnej – w Derry, Belfaście i kilku mniejszych miastach – doszło do zamieszek, najpoważniejszych od 20 lat; organizowali je protestanci. Po porozumieniu brexitowym między Londynem a Brukselą napięcia w społecznościach protestanckich wzrosły bowiem jeszcze bardziej. Protestanci mają przeświadczenie, że nacisk ekonomiczny pcha ich w objęcia Republiki. Rozmaite organizacje paramilitarne, które nadal działają, wysłały listy do premiera Irlandii, informując go, że wycofują swoje poparcie dla Porozumienia Wielkopiątkowego.

Z punktu widzenia Republiki istotną rolę odgrywa też kwestia finansowa. Dochód *per capita* na Północy to około połowy tego w Republice. Irlandia Północna otrzymuje dziś z Londynu subsydia wartości 10 mld euro rocznie. Przejęcie tego zobowiązania przez Republikę obciążyłoby każdego jej obywatela kwotą 2 tys. euro rocznie, i to prawdopodobnie przez kilka dekad. Badanie opinii publicznej z 2015 r. wykazało wprawdzie, że 66 proc. mieszkańców Republiki popiera zjednoczenie, ale poparcie to malało do 31 proc., jeśli zjednoczenie miałoby wiązać się z wyższymi podatkami. ↦

Czas (ponownego) oczekiwania

↦ Zarówno katolicy, jak i protestanci z Północy, z którymi rozmawiałem, zwracali uwagę na jeszcze jedną kwestię: mówili, że dla nich największą przeszkodą dla zjednoczenia są różne systemy opieki zdrowotnej. W Irlandii Północnej koszty podstawowej opieki, a także lekarstw, pokrywa publiczny system ubezpieczeń, dzięki czemu opieka medyczna jest bezpłatna. W Irlandii konsultacja lekarza pierwszego kontaktu kosztuje 60 euro, a przyjęcie na SOR – 100 euro. Pacjent płaci też za przepisane lekarstwa. System na Południu dzieli społeczeństwo na dwie grupy, zależnie od dochodów. Mniej więcej jedna trzecia ludności ma dostęp do bezpłatnej opieki medycznej, a 46 proc. musi ubezpieczać się prywatnie.

W 2019 r. zapytano mieszkańców Północy, czy odmienność systemów opieki zdrowotnej miałaby wpływ na ich decyzję w referendum zjednoczeniowym. 52 proc. stwierdziło, że zniechęciłoby to do głosowania na rzecz zjednoczonej Irlandii. Sinead McGuire, pielęgniarka z Belfastu, widzi to tak: „Ucierpielibyśmy finansowo. Utracilibyśmy nie tylko naszą bezpłatną opiekę medyczną, ale też system edukacji, który na Północy jest lepszy. Dlaczego właściwie miałabym godzić się na obniżenie mojej stopy życiowej?". Warto zauważyć, że McGuire jest katoliczką.

Jeśli ten przypadek uczy nas czegokolwiek, to że mieszkańcy Północy nie czują, by zjednoczenie było dla nich czymś koniecznym i nieuchronnym. Sam jestem republikaninem, pragnę zjednoczonej Irlandii. Ale nie za wszelką cenę. Mam obowiązek uczyć się z historii.

Być może wskazany jest więc w tym przypadku niespieszny postęp. Większy nie powinien zmuszać mniejszego do niczego. To ten mniejszy powinien pragnąć dołączyć. Jak na razie, Irlandczycy będą wyżej od zjednoczenia cenić sobie pokój. © Przekład AL

PEADAR DE BURCA (ur. 1973 r.) jestem irlandzkim pisarzem i dramaturgiem, od kilkunastu lat mieszka w Gliwicach. Felietonista katowickiego wydania „Gazety Wyborczej". Jego zbiór felietonów „Uporczywie pogodne myśli" wydała Fabryka Słów.

Ormiańskie powojnie

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z ERYWANIA

Przegrana wojna o Karabach wtrąciła Armenię w kryzys polityczny. Sytuację mają uspokoić wybory. Jednak wielu Ormian uważa, że nie mają na kogo głosować.

Od kilku miesięcy Armenia wrze. W Ormianach buzują gniew, strach, bezsilność i poczucie klęski. Powszechne są też obawy o przyszłość.

– Trudno jest coś planować. Nie wiem, co przyniesie jutro, w jakiej sytuacji znajdę się ja, a w jakiej mój kraj – mówi mi Ani. Właśnie z powodu niepewności kobieta prosi, by zmienić jej imię, a wiek podać w przybliżeniu: ok. 25 lat.

W 2018 r. Ani uczestniczyła w protestach antyrządowych, które nazwano aksamitną rewolucją. Dziś sytuacja, w jakiej znalazł się kraj, skłania ją do tego, by zagłosować na ludzi, których protesty odsunęły wówczas od władzy. Ani twierdzi, że nawet jeśli są oni skorumpowani, mogą uchronić kraj przed kolejną wojną.

Trzy lata temu ugrupowanie obecnego premiera Nikola Paszyniana, który został wyniesiony do władzy właśnie dzięki protestom, otrzymało aż 70 proc. głosów. Dziś musiało przystać na przyspieszone wybory, by odzyskać legitymację. Mają odbyć się 20 czerwca.

– Wybory na pewno nie zażegnają kryzysu politycznego, ale trochę rozjaśnią sytuację – mówi mi politolog Eric Hacopian. – Parlament będzie bardziej odzwierciedlał obecne realia.

Poczucie tamtej wspólnoty

Ani dołączyła do protestów w kwietniu 2018 r., gdy trwały już od kilku dni. Zwykle z ostrożnością podchodzi do udziału w ulicznych akcjach, ale wtedy czuła gniew: na korupcję, na niesprawne państwo. Chciała lepszej edukacji i godnego życia. A najbardziej to miała dość samowoli władz. Prezydent Serż Sarkisjan, który rządził wtedy od 10 lat, przesiadł się na fotel premiera, gdyż po zmianie konstytucji ta funkcja dawała największą władzę. Właśnie ta decyzja Sarkisjana wyprowadziła ludzi na ulice. – Chciałam zmian – wspomina Ani.

Gdy studenci zablokowali jedno z dużych skrzyżowań w milionowym Erywaniu, stolicy kraju, Ani nie poszła do pracy, lecz powiedziała mamie, że nastał czas, aby i ona dołączyła do protestów. To właśnie miejska młodzież wiodła w nich prym. Choć policja bywała agresywna i zatrzymywała ludzi, w tym stojącego na czele protestów Paszyniana, były one pokojowe. Ani czuła się, jakby dołączyła do wielkiej rodziny: uczestnicy protestów pomagali sobie nawzajem, dzielili się jedzeniem, byli dobrze zorganizowani. – Mogliśmy zobaczyć to, co najlepsze w naszym społeczeństwie – mówi dziś. – Odczuwałam dumę, że byłam częścią tego ruchu, i że nie stosowaliśmy przemocy.

Wówczas Paszynian swobodnie poruszał się wśród ludzi, nie musiał się niczego obawiać. Także Ani spotkała go wówczas kilka razy, przez przypadek.

Paszynian nie wziął się znikąd. Od końca lat 90. XX w. był wpływowym i zaangażowanym dziennikarzem, z tego powodu spędził niemal dwa lata w więzieniu. Od 2015 r. był zaangażowany w politykę. O ile jednak Ani miała go za dobrego przywódcę protestów, to już niekoniecznie państwa. – To dwie różne funkcje – uważa.

Protestujący osiągnęli wtedy cel: po tygodniu Sarkisjan ustąpił. A w wyborach, które przeprowadzono kilka miesięcy później, koalicja Mój Krok, na czele której stał Paszynian, zwyciężyła z ogromną przewagą.

Transformacja wymaga czasu

Ani nie oddała wtedy głosu na koalicję Paszyniana, bo, jak mówi, wiedziała, że i tak dostaną ich dużo. Zależało jej, by swoją reprezentację miała opozycja, bo to niedobrze, gdy krajem rządzi jedna siła polityczna. Postawiła krzyżyk przy Decyzji Obywatela, jednej z partii założonych przez uczestników protestów (ostatecz-



Podczas demonstracji opozycji przed siedzibą Prokuratury Generalnej doszło do starć z policją. Erywań, kwiecień 2021 r.

nie nie otrzymała ona nawet pół procenta głosów).

Mimo to Ani patrzyła na rząd Paszyniana z pewną sympatią. Widziała pozytywne zmiany w kraju, choć – jak ocenia – nie na taką skalę, jak je zapowiadano. Nie było to dla niej rozczarowaniem, bo podchodziła do sprawy pragmatycznie. Wiedziała, że transformacja wymaga czasu. Armenia nie była jednak już tak skorumpowana, a do tego trochę odeszła od tej posowieckiej retoryki i symboliki, która tak irytowała młodych Ormian.

– Ludzie nie tyle chcieli dołączyć do Unii Europejskiej, bo widzieli, że to nie było realistyczne, ile zmierzać w kierunku europejskim. Młodzi chcieli żyć jak Niemcy, a nie jak ich sąsiedzi w regionie – mówi Eric Hacopian.

Stosunek Ani do Paszyniana zmienił się gwałtownie po 44-dniowej wojnie o nieuznawaną Republikę Górskiego Karabachu, przez Ormian zwaną Arcachem. Trwała od końca września do połowy listopada 2020 r. i zakończyła się druzgocącą przegraną Armenii. – W szkole uczono nas o licznych klęskach, których Ormianie doznawali w minionych wiekach – mówi Ani. – Wyzwolenie Arcachu przełamało ten impas, napawało mnie dumą.

Klęska, która była szokiem

Mówiąc o „wyzwoleniu Arcachu", Ani ma na myśli wygraną Armenii w wojnie z Azerbejdżanem: w 1994 r., po kilku latach krwawych walk, Ormianie zmusili Azerów do niekorzystnego dla nich rozejmu. Zajęli Karabach i wygnali z niego ludność azerską. Było to, można powiedzieć, „zwycięstwo założycielskie" niepodległej Armenii.

Teraz, po klęsce z jesieni 2020 r., Ani nie jest już umiarkowaną zwolenniczką Paszyniana. Teraz nazywa go zdrajcą.

Przegrana była szokiem nie tylko dla niej. Choć minęło pół roku, społeczeństwo wciąż się nie otrząsnęło. Armia Armenii uchodziła za najsilniejszą na Kaukazie Południowym, a kolejne rządy pielęgnowały ten mit. Również Ani podziwiała ormiańskich żołnierzy – tych, którzy brali udział w pierwszej wojnie o Karabach w latach 90. XX w. – Jak wszyscy, wyrosłam słuchając historii o nich, o bohaterach – mówi dziś.

Szok wynikał także z faktu, że podczas sześciu tygodni wojny propaganda rządu w Erywaniu upiększała sytuację: przekonywano obywateli, że ich armia nie jest na straconej pozycji. Wiara w zwycięstwo była zresztą tak silna, że ludzie sami wypierali informacje, które nie były optymistyczne. W efekcie bardzo niekorzystne warunki rozejmu, podpisanego nocą z 9 na 10 listopada przez Paszyniana oraz prezydentów Azerbejdżanu Ilhama Alijewa i Rosji Władimira Putina, początkowo przyjęto z niedowierzaniem.

– Nie można przez 44 dni kłamać, że wygrywamy! – unosi się Ani. – Przecież mogli mówić, że robimy, co w naszej mocy, ale że sytuacja jest zła...

Bezpieczeństwo jest najważniejsze

Zgodnie z warunkami rozejmu, nieuznawana Republika Górskiego Karabachu, zamieszkana przez 150 tys. Ormian, utraciła dwie trzecie terytorium. Teraz z Armenią łączy ją tylko wąski korytarz. Pod kontrolą Azerbejdżanu znalazło się także Szuszi: to 4-tysięczne miasto (po azersku Şuşa) było symbolem ormiańskiej woli walki. Zajęcie Szuszi podczas pierwszej wojny o Karabach stało się początkiem pasma sukcesów Ormian.

Gdy w 1994 r. podpisano porozumienie rozejmowe, Ormianie kontrolowali nie tylko cały Karabach, ale też przylegające terytoria, należące do Azerbejdżanu i zamieszkane przez Azerów. Właśnie ↦



Manifestanci rzucają jajkami pod rezydencją premiera. Erywań, kwiecień 2021 r.



Plac Republiki, gdzie trzy lata temu odbywały się protesty, które wyniosły do władzy Nikola Paszyniana. Erywań, kwiecień 2021 r.

↦ na tym obszarze – Karabachu i jego „otuliny" – powstała nieuznawana w świecie republika Arcachu. Ormianie wygnali z niej ludność azerską.

Ani odwiedzała Karabach wielokrotnie i – jak mówi – zakochała się w nim. Czuła, że przynależy do tego miejsca. Myślała nawet, by przeprowadzić się do Szuszi. To miasteczko leży na wzgórzu w pobliżu Stepanakertu, stolicy nieuznawanej republiki. – Gdy byłam w Szuszi, czułam się silna – wspomina.

Jesienią 2020 r. Azerowie zajęli Szuszi w ostatnich dniach wojny. Jednak władze Armenii do końca twierdziły, że bitwa o miasto wciąż trwa, że żołnierze stawiają opór.

Dziś wśród Ormian powszechna jest obawa, że to nie koniec wojny, że teraz zagrożona jest Armenia właściwa. Obawy wzrosły jeszcze bardziej, gdy niedawno, w maju, żołnierze azerbejdżańscy nagle przekroczyli granicę i zajęli nieduży skrawek w południowo-wschodniej części kraju. Stwierdzili, że należy do Azerbejdżanu. Nikt nie stawił im oporu. W negocjacje zostali włączeni Rosjanie, strategiczni partnerzy Armenii, którzy mają na miejscu swoje siły. Ale podczas pisania tego tekstu Azerowie wciąż stacjonowali na zajętym terenie – niewielkim, ale należącym już do Armenii właściwej.

Ani uważa, że Paszynian zawiódł i powinien zrezygnować. Postanowiła już, że w przyspieszonych wyborach zagłosuje na kogoś, kto może zapewnić krajowi bezpieczeństwo, silną armię. Dlatego chce poprzeć blok Armenia, na czele którego stoi Robert Koczarian – były prezydent Karabachu (1994-97) i Armenii (1998-2008). W 2018 r. został postawiony przed sądem, oskarżony o próbę obalenia ładu konstytucyjnego, ale w marcu tego roku został oczyszczony z zarzutów.

– Tak, może i był on twarzą skorumpowanego państwa, ale wtedy mogłam pojechać na wakacje do Szuszi – mówi Ani. – Dla mnie najważniejsze jest bezpieczeństwo ojczyzny.

Dodaje, że ma nadzieję, iż obecnej opozycji – gdy już obejmie władzę – uda się w jakiś sposób odzyskać utracone terytoria.

Musimy być gotowi!

Właśnie na takim postrzeganiu zależy politykom opozycji: chcą, aby obywatele, targani negatywnymi emocjami, widzieli w nich silnych ludzi, którzy przywrócą poczucie kontroli i sprawczości.

Jednym z nich jest Artur Chaczatrian. To wysoko postawiony członek Armeńskiej Federacji Rewolucyjnej; partia ta należy do bloku Armenia. Chaczatrian twierdzi, że odsunięcie Paszyniana to warunek konieczny, by uratować kraj. – Jeśli Azerowie zaczną kolejną wojnę, musimy być gotowi, by stawić im czoło i ich zmiażdżyć. Aby tak się stało, kraj musi być silny politycznie, militarnie i gospodarczo. Ten rząd nie poradził sobie w żadnym z tych aspektów – mówi mi Chaczatrian.

– Paszynian rozumie, że jeśli przegra wybory, będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań o to, jak wybuchła wojna i jak doszło do tego, że skończyła się w taki sposób – dodaje polityk opozycji.

Wprawdzie w sondażach ugrupowanie Paszyniana wciąż cieszy się największą popularnością, ale wyniki wyborów mogą zaskoczyć. Według ostatniego sondażu, prowadzonego przez MGP/Gallup International, połowa z tych, którzy zadeklarowali chęć udziału w wyborach, nie wie jeszcze, komu oddać głos. Spośród tych, którzy to już wiedzą, 27 proc. chce głosować na Mój Krok Paszyniana, a 8 proc. na blok Armenia.

Poparcie dla ugrupowania premiera wcześniej było znacznie większe. Zaczęło spadać mniej więcej w połowie wojny i tej tendencji nie udało się zatrzymać. Dlatego władze optowały za wyborami w jak najszybszym terminie, a opozycja chciała, by przełożyć je

o kilka miesięcy – licząc, że w tym czasie popularność Paszyniana spadnie jeszcze bardziej.

Sam Paszynian, który jeszcze niedawno mógł swobodnie chodzić ulicami Erywania, teraz musi poruszać się w kolumnach pojazdów i w otoczeniu ochroniarzy. Jego obóz wyraźnie traci grunt pod nogami. Politycy z jego partii unikają wywiadów, a biuro wygląda, jakby nikt do niego od dawna nie zaglądał. Podczas wizyt w regionach na Paszyniana czekają zwolennicy opozycji, którzy usiłują blokować jego konwój i nie dają mu szans na spokojne wystąpienia. W Erywaniu opozycja organizuje demonstracje, które wprawdzie nie gromadzą tłumów, ale skutecznie uprzykrzają życie władzy i nie dają jej chwili wytchnienia.

Także młodzież z miast, która w 2018 r. wiodła prym w protestach, dziś w dużym stopniu odwróciła się od premiera. – Obecnie jego bazę stanowią ludzie ze wsi. Raczej biedniejsi i starsi, ale za to bardzo lojalni wobec Paszyniana – uważa politolog Hacopian. – „Piechota" aksamitnej rewolucji opuściła go.



Artur Chaczatrian, polityk opozycyjnej Armeńskiej Federacji Rewolucyjnej, podczas protestu przed rezydencją premiera. Erywań, kwiecień 2021 r.

Politycznie bezdomni

Mimo wszystko może się okazać, że mobilizacja i lojalność elektoratu koalicji Mój Krok, a także rozproszenie opozycji sprawią, iż Nikola Paszynian rozstrzygnie wybory na swoją korzyść.

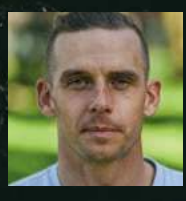
Eric Hacopian wskazuje, że ogromna rzesza wyborców jest politycznie bezdomna. To w dużym stopniu ci, którzy trzy lata temu byli zaangażowani w protesty: nie chcą powrotu polityków rządzących przed rokiem 2018, ale są rozczarowani Paszynianem i przegraną wojną. Z ich punktu widzenia wybór jest ograniczony, bo po stronie opozycji trudno o nowe twarze: w wyborach biorą udział wszyscy byli prezydenci – Lewon Ter-Petrosjan, Robert Koczarian i Serż Sarkisjan. Reprezentują różne partie, łączy ich tylko, że występują przeciw Paszynianowi. – Gdy ludzie czują, że nie mają wyboru, to raczej w ogóle nie głosują, niż wybierają mniejsze zło – stwierdza Hacopian.

Ani postanowiła jednak zagryźć zęby, bo uważa, że zbyt wiele jest do stracenia. – Sama wciąż nie mogę uwierzyć, że zagłosuję na Koczariana – przyznaje. Mówi, że do końca będzie oczekiwać, iż na karcie wyborczej dostrzeże kogoś innego, sensownego.

Eric Hacopian uważa, że jeśli pojawi się jakaś partia, która będzie potrafiła wyjść z dychotomii „starzy kontra Paszynian", będzie miała duży elektorat do zagospodarowania. Ale właśnie dlatego, aby się nie pojawiła, i władza, i opozycja są zainteresowane, żeby wyborów nie odwlekać.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

UKOS ŚWIATŁA



Żydzi wzięli się **ze wstydu** u mnie.
W tym sensie, że dowiedziałem się
o **największej tragedii** w historii mojego miasta,
która rozegrała się przy rzece Dunajec,
a ja o tym nie miałem zielonego **pojęcia**.

Przeszedłem przez podstawówkę, liceum
– i **nigdy nie słyszałem** o tragedii Żydów
w moim mieście. Czułem się zawstydzony.
Jak mogła zostać wymordowana
jedna trzecia miasta
i **nie mam gdzie** zapalić świeczki?

Dariusz Popiela,
„Ukos światła" reż. Wojciech Szumowski

FOT. JACEK TARAN X2

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA" o działalności Dariusza Popieli, odpominającej żydowskich sąsiadów. Weź udział w zbiórce na **powszech.net/ukos** lub wpłać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu pisząc „Ukos światła". Santander Bank Polska S.A. nr: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**. Dziękujemy!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

HISTORIA

DŻUCZE NA USTACH ŚWIATA

Korea Północna uważana jest za kraj, który zawsze izolował się od świata. Prawda wygląda inaczej: Pjongjang chętnie eksportował swoją kulturę – i terroryzm.

ROMAN HUSARSKI

Niezależnie, czy włączysz CNN, czy Fox News, od lat jest wysoce prawdopodobne, że reporter określi Koreę Północną przymiotnikami „zamknięta", „odizolowana" lub nazwie ją „pustelniczym królestwem". To mit – mówi „Tygodnikowi" Benjamin R. Young, autor opublikowanej niedawno książki „Guns, Guerillas, and the Great Leader" („Broń, partyzantka i Wielki Przywódca").

Książka Younga – efekt ośmiu lat pracy w różnych archiwach – przynosi zaskakujące wnioski: okazuje się, że w okresie zimnej wojny Korea Północna była jednym z najbardziej aktywnych państw na świecie, a jej twórca Kim Ir Sen miał nawet poważne aspiracje, aby stać się przywódcą Trzeciego Świata.

Jak do tego doszło?

Na fali dekolonizacji

Trzeci Świat to dziś pojęcie często postrzegane pejoratywnie, kojarzone z zacofaniem. Tymczasem podczas zimnej wojny rozumiano je inaczej: jako globalny ruch czy wręcz filozofię. Przywódcy z Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki wymawiali je z dumą. Trzeci Świat miał być rewolucyjną nową jakością: antykolonialną, antyimperialną, w kontrze do kulturowej dominacji białych; miał przełamywać podział świata między Wschód i Zachód.

Nazwę „Trzeci Świat" rozpropagowała zwłaszcza konferencja w indonezyjskim Bandungu w 1955 r. Zwołana z inicjatywy Birmy, ówczesnego Cejlonu (dziś Sri Lanka), Indii, Pakistanu i właśnie Indonezji, dała początek – sformalizowanemu kilka lat później – Ruchowi Państw Niezaangażowanych. Trwał wówczas proces dekolonizacyjny, a wiele krajów, które uzyskały niezależność – zwłaszcza tych z Azji i Afryki – nie chciało opowiadać się ani za Moskwą, ani za Waszyngtonem.

W tym czasie Kim Ir Sen, twórca i od 1946 r. przywódca Korei Północnej, zajęty był konsolidacją władzy i odbudową państwa po wojnie z lat 1950-53. Na wody międzynarodowe wkroczył z rozmachem w drugiej połowie lat 60. Powodem były tyleż jego oosobiste ambicje, co pragnienie uniezależnienia się od Pekinu i Kremla.

Kontakty Kima z oboma mocarstwami nie były tak różowe, jak się zwykło sądzić. Kim, wychowanek Stalina, nie znosił i bał się Nikity Chruszczowa, który swoją pozycję budował w kontrze do dyktatora-ludobójcy. Jeszcze bardziej przeraziła Kima maoistowska rewolucja kulturalna, rozpoczęta w Chinach w 1966 r.; Kim nazwał ją „niewyobrażalnym skretynieniem".

Soft power z Pjongjangu

Choć dziś może to być trudne do pojęcia, Korea Północna miała wtedy atrakcyjny wizerunek wśród liderów Trzeciego Świata. Pjongjang kierował do nich przekaz: „Mamy podobne doświadczenia, też wyzwoliliśmy się z jarzma kolonializmu, obroniliśmy się przed inwazją Jankesów, odbudowaliśmy kraj". Zniekształcało to wprawdzie prawdę historyczną, ale było chwytliwe. Podobnie jak w przypadku Kuby, walka Kima z „amerykańskim imperializmem" mogła budzić podziw: malutkie państwo kontra mocarstwo. W dodatku aż do lat 70. XX w. Północ była bogatsza od Południa. Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna mogła przedstawiać się Trzeciemu Światu jako model wart naśladowania.

Światowe delegacje zapraszane do Pjongjangu nie mogły się nadziwić sukcesom w odbudowie kraju. Biuletyny propagandowe przezornie nie wspominały o gigantycznej pomocy „bratnich narodów socjalistycznych" dla Północy, podkreślając własną strategię opartą na ideologii dżucze (dosł. podmiot). Ideologię tę opisywano takimi hasłami jak „niezależność", „samowystarczalność", „wyzwolenie narodowe", używając semantyki bliskiej działaczom niepodległościowym z Trzeciego Świata.

W efekcie w afrykańskiej prasie pojawiały się wówczas artykuły, których autorzy szukali lokalnych odpowiedników tego terminu, np. w Tanzanii dżucze tłumaczono jako ducha ujaama. Na temat wprowadzenia dżucze w Afryce powstawały doktoraty. Prezydent Zairu, Mobutu Sese Seko, przyrównał dżucze do *authenticité* (fr. autentyczność). „*Authenticité* oznacza, że Koreańczycy są dumni z bycia Koreańczykami. Tak więc Zairczycy są dumni z bycia Zairczykami. Nie mamy kompleksu niższości z powodu czarnej skóry i kręconych włosów. I wy też nie macie żadnych kompleksów, ponieważ jesteście tacy, jacy jesteście" – mówił podczas wizyty w Pjongjangu w 1974 r.

Innym też zdarzały się momenty zauroczenia: w 1976 r. etiopscy dyplomaci doszli do wniosku, że dżucze pozwala „na cuda" i będzie „idealnym wzorem dla socjalistycznej Etiopii".

AFP / EAST NEWS



Na lotnisku w Tel Awiwie po zamachu, który przeprowadzili japońscy lewicowi terroryści, szkoleni w Korei Północnej. 30 maja 1972 r.

Być jak Kim Ir Sen

Dziś wielu z nas, także w Polsce, zachwyca się południowokoreańską popkulturą, technologią, sportem czy kosmetykami. Tymczasem aż do lat 80. to Korea Północna miała silniejszy *soft power*, zwłaszcza w oczach Afrykanów. Koreańczycy z Północy byli tam obecni na licznych wydarzeniach kulturalnych. Jak grzyby po deszczu wyrastały Koła Dżucze: swego rodzaju północnokoreańskie instytuty kultury.

Koreańczycy pomagali „bratnim narodom" nie tylko w sferze wojskowej, lecz budowali też szkoły, szpitale czy lotniska. W północnokoreańskich sklepach, zakładanych w różnych krajach, sprzedawano produkty medycyny naturalnej, na czele z żeń-szeniem i gąską sosnową (jadalnym grzybem). Wzięcie miała też monumentalna sztuka: północnokoreańskie studio Mansude odpowiedzialne jest za takie dziwactwa, jak 52-metrowy Pomnik Afrykańskiego Odrodzenia w Senegalu, 50-metrowy pomnik w Addis Abebie upamiętniający wojnę somalijsko-etiopską (1977-78) czy 9-metrowy pomnik dyktatora Mozambiku, Samora Machela (zmarł w 1986 r.).

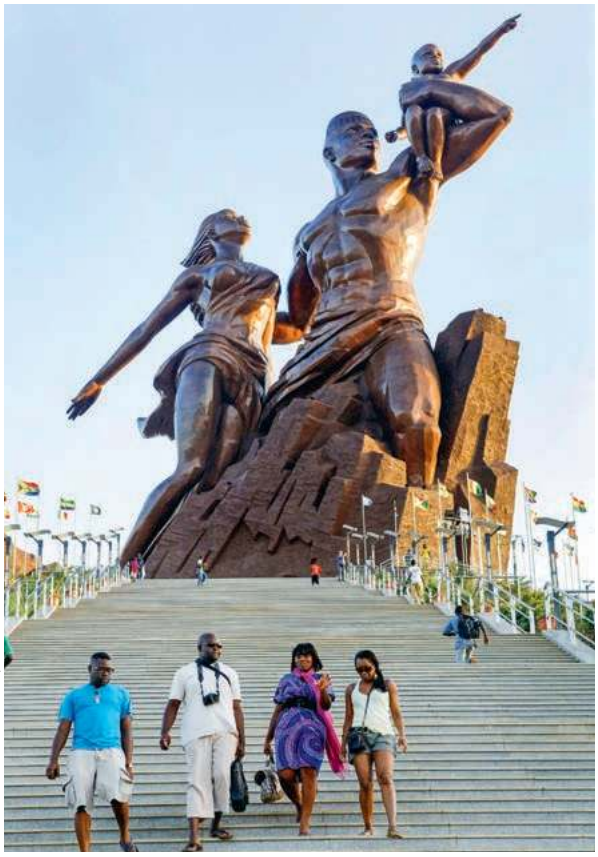
Do listy spektakularnych projektów można dodać pałace, jak ten Jeana-Bédela Bokassy, dyktatora Republiki Środkowoafrykańskiej, który – inspirując się Napoleonem – w 1976 r. ogłosił się cesarzem. Bokassa i Kim darzyli się ciepłym uczuciem: pierwszym miejscem, które cesarz odwiedził po koronacji, był Pjongjang. Sojusz ten pokazuje, że dla despotów ideologie mogą być tylko narzędziem utrzymania władzy – Bokassa był zadeklarowanym antykomunistą. Jego pałac, który miał być wariacją pałacu Kumsusan (dziś to mauzoleum Kim Ir Sena), nie został ukończony, bo w 1979 r. tyrania Bokassy się zakończyła.

Towarem eksportowym stały się też ludowe festiwale z Północy, znane z masowych skoordynowanych choreografii, postrzeganych jako narzędzie kontroli. Prezydent Somalii Siad Barre (rządzący w latach 1969-91) nie tylko skopiował część tytułów Kim Ir Sena, ale podczas każdej swej podróży kazał witać się tańcami przygotowanymi przez reżyserów północnokoreańskich. Fanem tych festiwali byli Idi Amin z Ugandy i Robert Mugabe z Zimbabwe, gdzie do dziś tworzy się pokazy w północnokoreańskim stylu (Mugabe podkreślał, że jego marzeniem jest „być jak Kim Ir Sen"). Znane są też północnokoreańskie inspiracje dyktatora Rumunii Nicolae Ceaușescu.

W sumie Północ wysłała swoich trenerów aż do 48 krajów (nieodpłatnie).

Światowe poligony

Działania Pjongjangu nie ograniczały się do promocji kultury. Lista konfliktów na świecie, w które się angażował, jest długa – nie starczy tu miejsca, by opisać wszystkie. Nie licząc Kremla, podobnie aktywna na tym militarnym polu była tylko Kuba. Oba państwa, rządzone przez ↦



IMAGO STOCK & PEOPLE / EAST NEWS

Pomnik Afrykańskiego Odrodzenia w stolicy Senegalu został zbudowany przez fachowców z Korei Północnej. Dakar, listopad 2010 r.

↦ byłych partyzantów, ściśle współpracowały i się wspierały. W trakcie kryzysu kubańskiego Kim Ir Sen krytykował Moskwę, mówiąc, że Chruszczow „zdradził Kubę". Z kolei w 1968 r. Raul Castro przyznał, że jeśli ktoś jest zainteresowany, co Kubańczycy myślą, może równie dobrze zapytać o to Koreańczyków z Północy. „Nasza wizja jest identyczna we wszystkim" – mówił brat Fidela.

Poligonem doświadczalnym stała się Afryka. Nie było tam niemal konfliktu, w którym Korea Północna nie zostawiłaby śladów. Szkoliła bojowników w Czadzie, Somalijczyków walczących z Etiopią i etiopskich komunistów, którzy przejęli władzę po upadku cesarstwa. Angażowała się w wojnę domową w Angoli (1975-2002), na jej kolejnych etapach wspierając różne jej strony. Mieszkańcy miasta Bulawayo na południu Zimbabwe do dziś wzdrygają się na wspomnienie Koreańczyków: w latach 80. bojówki rządowe urządziły tam – wspólnie z północnokoreańskimi siłami specjalnymi – polowanie na przeciwników Mugabego. Pamięć o masakrach jest wciąż żywa.

Z kolei poza Afryką miejscowa ambasada KRLD odegrała istotną rolę w puczu komunistycznym na Sri Lance w 1971 r. (pucz upadł, ambasadę zamknięto). Ambasada KRLD próbowała zbroić lewicowe bojówki nawet na Jamajce... Natomiast w Azji Północ pomagała (bronią i ludźmi, zwłaszcza pilotami) szczególnie Wietnamowi Północnemu przez cały czas trwania tamtejszej wojny. Koreańczycy budowali też Wietnamczykom tunele.

Do dziś to ich specjalność – wiele tuneli w Strefie Gazy ma być efektem wsparcia specjalistów z Korei Północnej (alians ten może wydać się egzotyczny, ale sojusznikiem Hamasu jest Iran, który z kolei jest w bliskich relacjach z Pjongjangiem).

Szkolenia dla bojowników

Kim Ir Sen udzielał też wsparcia na swojej ziemi międzynarodowym sojusznikom (bojownikom, terrorystom: zależy, z jakiej perspektywy spojrzeć). I to na pokaźną skalę: o ile amerykański wywiad szacuje, że w latach 1955-76 w Chinach przeszkolono ok. 3 tys. zagranicznych bojowników (terrorystów, rewolucjonistów...), o tyle w samym tylko roku 1971 w Korei Północnej przyjęto ich 2,5 tys. Szkolenia z działań partyzanckich przechodziły tam Czarne Pantery z USA, meksykańscy partyzanci i członkowie Japońskiej Armii Czerwonej, odpowiedzialnej za akcje stricte terrorystyczne na całym świecie.

Jednym z najgłośniejszych dzieł Japończyków szkolonych pod Pjongjangiem był atak na izraelskim lotnisku imienia Ben Guriona (ponad setka zabitych i rannych). W 1970 r. japońscy terroryści uprowadzili z lotniska w rodzimym mieście Fukuoka boeing z ponad setką pasażerów, co doprowadziło do kryzysu regionalnego. Ostatecznie samolot wylądował w Pjongjangu, gdzie Kim Ir Sen przyjął japońskich „czerwonoarmistów" z otwartymi rękoma, a pasażerom pozwolił odlecieć. Po przejściu radykalnego treningu, Japończycy (tj. ci, którzy dotrwali do jego końca) angażowali się w koreańską działalność dywersyjną na świecie.

Z czasem niektórzy budzili się z oczarowania ideologią dżucze. Eldridge Cleaver, jeden z liderów Czarnych Panter, przyznał, że gdy zobaczył brutalność bezpieki w KRLD, zatęsknił za policją z Oakland, z którą miał wcześniej do czynienia.

Konflikty zastępcze

W swoich działaniach Północ kierowała się własnym interesem. Kim Ir Sen przyznał kiedyś w rozmowie z Ceaușescu, że chciał wykorzystać poparcie na świecie do zjednoczenia Półwyspu: miał nadzieję, że globalni sojusznicy na forum ONZ zmuszą USA, by wycofały swoje wojska z Korei Południowej. Międzynarodowe poparcie było mu też potrzebne na wypadek kolejnej wojny z Południem, o którą oba państwa wielokrotnie się otarły.

Konflikty, w których Północ udzielała wsparcia, miały też dla Pjongjangu walor „wojen zastępczych": często były wymierzone w USA lub ich sojusznika, miały na celu ustanowienie reżimu przyjaznego wobec państwa Kimów bądź pozwalały na testowanie broni i zbieranie informacji wywiadowczych.

Wszystkie te działania pochłaniały gigantyczne środki. Ludność Północy nigdy nie była informowana, na co jej rząd wydaje pieniądze, a przyjeżdżających obcokrajowców przedstawiano jako miłośników ideologii ich wodza. Benjamin R. Young dopatruje się upadku ekonomicznego Korei Północnej właśnie w wydatkach na zewnątrz, traktowanych jako ważniejsze od sytuacji na miejscu.

Internacjonalistyczny terroryzm

Zauroczenie krajów Trzeciego Świata ideologią dżucze z czasem wygasło. Przyczyniła się do tego także zmiana strategii Pjongjangu, która z kolei miała związek ze zmianą władzy: choć Kim Ir Sen żył długo (zmarł w 1994 r.), to w latach 80. krajem coraz śmielej kierował jego syn

Kim Dzong Il, który nie wahał się wkroczyć na drogę jawnego już terroru.

Szczególnie głośny stał się zamach, który agenci Północy przeprowadzili w 1983 r. na dyktatora Korei Południowej Chun Doo-hwana, który był z wizytą w Rangunie. Przeżył dzięki korkom w birmańskiej stolicy (zachowały się nagrania, na których wścieka się, że przez spóźnienie „straci twarz"). Bomba zabiła kilkadziesiąt osób i zdemolowała mauzoleum Aung Sana, ojca birmańskiej niepodległości. Rządzący Birmą generał Ne Win zerwał kontakty z Koreą Północną, ogłaszając, że czuje się zdradzony przez jej lidera. Szereg innych krajów wykorzystało ten zamach, by zerwać relacje w Pjongjangiem.

Długa jest tutaj zwłaszcza lista dywersyjnych (terrorystycznych) działań Pjongjangu przeciw Korei Południowej – obejmuje porwania czy próby wynajęcia zabójców (także znów czyhających na Chun Doo-hwana). W 1987 r. dwoje północnokoreańskich agentów zostawiło bombę na pokładzie samolotu pasażerskiego Korean Air Flight 858 na lotnisku w Bagdadzie. Do detonacji doszło w powietrzu. Wiemy, kto był sprawcą, bo zostali zatrzymani w Bahrajnie.

Sojusznicy się wykruszają

Choć książka Benjamina Younga kończy się na roku 1989, w rozmowie z „Tygodnikiem" przekonuje on, że Korea Północna nie zmieniła potem swojej postawy. Dowodem może być zamordowanie Kim Dzong Nama – ten przyrodni brat obecnego dyktatora, Kim Dzong Una, zginął na lotnisku w malezyjskim Kuala Lumpur w 2017 r.

Kim Dzong Un, wnuk założyciela państwa, pozbył się w ten sposób potencjalnego wroga, ale stracił kolejnego sojusznika: Malezja, pielęgnująca dobre stosunki z innymi ważnymi członkami Ruchu Państw Niezaangażowanych, była jednym z nielicznych państw oferujących Koreańczykom z Północy bezwizowy wjazd.

Teraz, w następstwie zamachu, Malezja najpierw odwołała swoich dyplomatów z Pjongjangu, a w marcu tego roku zamknęła ambasadę KRLD w Kuala Lumpur, nakazując wszystkim obywatelom KRLD opuszczenie swoich granic. Przy czym przynajmniej jedna osoba zostanie poddana ekstradycji do USA. Jest ona oskarżona o pranie brudnych pieniędzy na rzecz reżimu Kimów. To może być bezprecedensowy proces – namiastka próby ukarania Pjongjangu za nieprzestrzeganie międzynarodowych zasad.

Dziś w gronie sojuszników Korei Północnej z Trzeciego Świata – trzymajmy się tego pojęcia, skoro operują nim sami zainteresowani – pozostaje garstka państw autokratycznych, takich jak Uganda, Zimbabwe, Syria czy Kambodża. A co do dżucze, w swojej książce Young przytacza zapis rozmowy, jaką pewien historyk odbył w latach 80. z peruwiańskim pisarzem Genaro Carnero Checą, który wielokrotnie odwiedził Koreę Północną i napisał o kraju przychylną książkę.

Zapytany o szczerą opinię na temat KRLD, Peruwiańczyk odparł: „Walczyli z USA. Udało im się osiągnąć niesamowite rzeczy w ekonomii. To jedyne państwo Trzeciego Świata, gdzie każdy ma dobre zdrowie, dobrą edukację i dobre mieszkanie". Historyk nie odpuścił i dopytał Checę, co sądzi o KRLD jako poeta. W odpowiedzi usłyszał: „To najsmutniejszy, najbardziej nieszczęśliwy kraj, w jakim byłem w życiu. Jako poetę, wypełnia on moje serce czernią".

Podobne rozczarowanie musiało stać się udziałem wielu, którzy kiedyś wierzyli w dżucze. © ROMAN HUSARSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

„Tygodnik" na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!



TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

HANNA

Krall: *O cudach*



Cuda zdarzają się wszystkim, ale reporterom najczęściej. Opisują świat, więc im się cudami odwdzięcza, może dlatego.

Zaraz za reporterami są terapeuci, takie ostatnio odnoszę wrażenie. Na przykład Ewie B., terapeutce klinicznej, cuda zdarzają się niemal codziennie.

Jak anorektyczka, która nie mogła utrzymać ołówka w ręku, stawia dwie kreski na białej kartce – nie jest to cud? – pyta mnie Ewa B.

A jak dziewczyna nie tnie się ani razu przez cały tydzień, chociaż latami cięła się dzień w dzień?

A jak chłopiec gwałcony przez ojca...

A jak...

Musi mi pani jasno powiedzieć – tak czy nie, domaga się ode mnie Ewa B.

I jeszcze chce wiedzieć, czy polski cud to to samo co żydowski.

Podział na narodowość?

Co za pomysły. Cud to cud.

Mnie się jeden przytrafił, kompletnie nieżydowski. Dawno temu, kiedy szukałam Lechosława Goździka. Ślusarza z FSO i przywódcy robotników w Październiku. Zniknął potem, przepadł, mówiono, że jest rybakiem. Nie brzmiało to poważnie.

(Szukałam go dwadzieścia pięć lat po zniknięciu. Żeby przypomnieć. Żeby porównać – był przecież październikowym Wałęsą).

Rybak... No to wybrzeże.

Ma czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć kilometrów długości, a z zalewami i zatokami – siedemset siedemdziesiąt.

Od wschodu zacząć? Od Kątów? Piasków? Od Mierzei?

Jak ktoś chce zniknąć, to raczej na zachód się kieruje.

Świnoujście?

W informacji dostałam telefon spółdzielni rybackiej. Było popołudnie. W słuchawce odezwał się zmęczony męski głos.

Goździk... Goździk... Prywatny? Co kuter trzyma?

Czekaj pani, nie idzie on tutaj?

Panie Goździk! Panie Goździk! Telefon do pana!

Nie cud?

Tylko skromny jakiś, mało efektowny. Oboje czuliśmy pewien niedosyt i Leszek próbował potem coś dodać. Coś o przeczesywaniu wybrzeża metr za metrem, ale prawda, niestety, taka była. Pierwszy telefon. Pierwszy głos. Panie Goździk!

Był wyznawcą księdza Natanka i rycerzem Chrystusa Króla. Na uroczystości nakładał czerwony płaszcz z wizerunkiem Chrystusa, a bojowe zawołanie miał – Król albo śmierć!

Poza tym był świetnym kamieniarzem. Kiedy Żydzi z fundacji spytali o kamieniarza, który im litery na macewach wykuje, od razu usłyszeli o fachowcu z Wąwolnicy.

Żydzi ustawiali macewy na bezimiennych grobach – na polach, w lasach, przy drogach i pod płotami.

(Chodzili z georadarem. Miał monitor, który ukazywał wnętrze ziemi. Żydowskie zwłoki, zakopywane w pośpiechu i byle jak, naruszały ziemski porządek i dawały o sobie znać na ekranie).

Kamieniarz z Wąwolnicy przyjął zamówienie. Wziął kartkę z hebrajskim tekstem i zaczął kuć. Z prawej strony do lewej, wprawnie i bez błędu.

TYGODNIK POWSZECHNY
Wolność, równość, siostrzeństwo!
Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet


OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Pisze, jakby całe życie nic innego nie robił, mówili zdziwieni Żydzi.

Kamieniarz nie dziwił się. Miał wrażenie, że kiedyś, w jakimś innym życiu, takimi literami już pisał.

Byłby to cud, jaki przydarzył się Krzysztofowi Kolibskiemu, kamieniarzowi i rycerzowi Chrystusa Króla.

Marcinowi Kołodziejczykowi, który o Kolibskim napisał reportaż, cud przytrafił się później, po śmierci kamieniarza.

Zajechał do Wąwolnicy i poszedł na cmentarz. Był to wielki, stary cmentarz z krętymi głównymi drogami i mnóstwem bocznych alejek.

Marcin K. nikogo o nic nie pytał, zresztą zrobiło się późno i na cmentarzu nie było ludzi.

Szedł najpierw prosto, potem skręcił na prawo i znalazł się przy Krzysztofie Kolibskim.

Pisał mi, że mógłby tam trafić po ciemku i z zamkniętymi oczami.

Nigdy nikomu o tym nie opowiadał poza Martą.

Siedemdziesiąt pięć lat temu człowiek z fatalnym nazwiskiem (Lejb Majzels) i wspaniałym wyglądem (niebieskie oczy, włosy blond i metr osiemdziesiąt wzrostu) jeździł po Polsce i szukał żydowskich dzieci.

Anna Bikont jeździ śladami Lejba Majzelsa.

Lejb szukał Majorka, który miał szesnaście lat. W tym celu pojechał do Staszowa, stamtąd kolejką wąskotorową do Hajdaszka, o czwartej rano do Kazimierzy Wielkiej, w południe znowu wąskotorówką i po południu furmanką dotarł do Dębowca. Znalazł Majorka, który był już Mańkiem, i – jak zanotował w zeszycie – niezwłocznie zawiadomił go, że jest Żydem. Na co Maniek, też niezwłocznie, zwołał chłopaków i razem obronili się przed żydowskim przybyszem. Chłopaków było ze trzydziestu i Lejb Majzels zrezygnował chwilowo z odzyskania Majorka dla narodu żydowskiego.

Anna Bikont nie jeździ furmanką ani wąskotorówką. Małym granatowym volkswagenem przyjeżdża do Dębowca. Będzie szukać ludzi, którzy trzydzieści lat temu uczestniczyli w ekshumacji. Był wśród nich Marian (niegdyś Maniek, a wcześniej Majorek), Anna B. widziała go na fotografii.

Anna B. mija pagórek za pagórkiem, droga się kończy, jest dom, na przyzbie siedzi dwóch starszych panów.

Anna B. pyta o ekshumację sprzed trzydziestu lat. A tak, panowie uśmiechają się radośnie. To oni kopali. Mocno kopali, ale dopiero jak koparka przyjechała, wszystkie kości się odnalazły.

Bowiem na Annę B., która nikogo nie zawiadamia o przyjeździe, bo nie wie kogo i gdzie mogłaby zawiadomić, zawsze tak jakby ktoś czekał. Na przyzbie, na ławce, w parku, w domu albo na drodze.

W Staszowie na rynku czeka mężczyzna, który ma żonę z domu Kos. Anna B. szuka Kosów, bo ukrywali Alinkę. Niestety, żona pana z rynku jest z innych Kosów, ale znajomy murarz...

Książka „Dzieci Majzelsa" składa się z podobnych opowieści.

Nie są to cuda?

Tak czy nie?

©

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Własny pokój
Rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SPOJRZENIE ZŁOŻONE

Z badań nad maleńkimi mózgami muszek owocowych biolodzy od dawna próbują dowiedzieć się czegoś o zjawiskach powszechniejszych niż te owady.

DANIEL KOZŁOWSKI

U większości z nas nie wywołują pozytywnych emocji. Pojawiając się znikąd wokół dojrzałych owoców lub otwartej butelki z napojem, budzą obawę o psujące się jedzenie (niesłusznie!) albo że jedna z nich nagle utonie w lampce czerwonego wina.

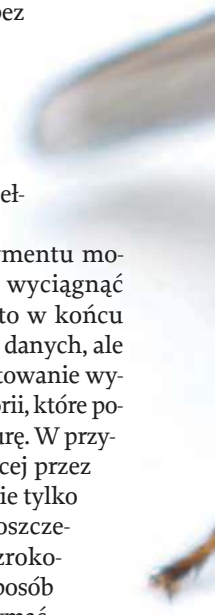
Jednak to właśnie muszki owocowe (*Drosophila melanogaster*) stały się jednym z najważniejszych organizmów modelowych współczesnej nauki i znajdziemy je w laboratoriach biologów na całym świecie. Z jednej strony nie musi to dziwić. W końcu wszystkie organizmy miały wspólnego przodka i podstawowe procesy fizjologiczne czy biochemiczne są u nich podobne. Z drugiej strony – w połowie XX w. muszkami zainteresowali się także ci naukowcy, którzy próbują zrozumieć genetyczne i neurobiologiczne podstawy zachowania wszystkich organizmów – również tych komunikujących się językowo i tworzących kulturę.

Decyzja w szczelinie

Owady mają dość różnorodne układy wzrokowe. Poszczególne gatunki mogą różnić się np. liczbą typów fotoreceptorów – komórek rejestrujących światło o konkretnej długości fali (czyli poszczególne kolory). Ich ludzkimi odpowiednikami są czopki oraz pręciki oka. Pewna liczba fotoreceptorów tworzy ommatidium – podstawową komórkę budującą tzw. oczy złożone owadów. I tak karaczany mogą mieć zaledwie dwa typy fotoreceptorów, pozwalających na rozróżnienie niebieskiego i zielonego, a niektóre motyle aż piętnaście. Nie oznacza to, że motyle mogą rozpoznawać piętnaście różnych kolorów. Każda ze światłoczułych komórek może przekazywać informację do innego miejsca w układzie nerwowym, realizującego inne funkcje.

U muszki owocowej występuje osiem różnych receptorów określanych jako R z odpowiednim numerem. Receptory R1-6, formujące pierścień w ommatidium, są odpowiedzialne za wykrywanie ruchu, a R7 i R8, znajdujące się w centrum, zdają się rozróżniać barwy. Kiedy odpowiednie sygnały pobudzą te receptory, informacja jest przekazywana do kolejnych warstw układu wzrokowego. Tam inne komórki nerwowe mózgu mogą zbierać lub integrować ze sobą odpowiedzi z wielu ommatidiów.

W prostym eksperymencie muszki musiały przejść przez szczelinę. Wymaga to, po pierwsze, jej zauważenia, a także oszacowania, czy jest na tyle szeroka, by dalsza podróż była możliwa. Muszkom udawało się przejść przez szczeliny nieco większe od rozmiarów ich ciała tylko wtedy, gdy ich wzrok był nieuszkodzony. Ślepe osobniki nie podejmowały próby przejścia. Te, które miały uszkodzone receptory R1-6 (odpowiedzialne za wykrywanie ruchu), zachowywały się tak samo. Z kolei zwierzęta z niefunkcjonującymi komórkami R7 i R8 odpowiedzialnymi za widzenie kolorów (ale działającymi R1-6) potrafiły przejść przeszkodę bez trudu. Ten przykład pokazuje, jakie funkcjonalne różnice mogą występować w oku owada – niekoniecznie wszystkie jego elementy są potrzebne do pełnienia tych samych zadań.



Z tego prostego eksperymentu możemy jednak spróbować wyciągnąć więcej informacji. Nauka to w końcu nie tylko kolekcjonowanie danych, ale przede wszystkim interpretowanie wyników badań i tworzenie teorii, które pomagają nam zrozumieć naturę. W przypadku muszki przechodzącej przez szczelinę interesujące jest nie tylko to, jakie funkcje pełnią poszczególne komórki układu wzrokowego, ale także to, w jaki sposób owad decyduje, czy się zatrzymać, czy iść dalej. To pytanie pozostaje otwarte, a w odpowiedzi możemy

sformułować dwie przeciwstawne hipotezy.

Roboty Braitenberga

Najpierw wyobraźmy sobie małego robota – z sześcioma nogami i prostymi czujnikami, które pozwalają maszynie „widzieć", co się przed nią znajduje, oraz „czuć" podłoże, po którym stąpa. Sygnały z tych czujników są od razu wysyłane do „elementów wykonawczych" sterujących ruchem nóg. Kontrolują one np. to, jak daleko wyciągnąć stopę, by sięgnąć drugiej krawędzi szczeliny, chwycić się jej i wspiąć, w ten sposób przechodząc na drugą stronę. Jeśli stopa napotyka powietrze, być może należy wyciągnąć nogę bardziej, by natrafić na twardy grunt. Mamy tu więc prosty mechanizm – sygnał ze środowiska od razu koryguje wykonywany ruch.

Takie urządzenia mają swoją nazwę – roboty Braitenberga – i są myślowym eksperymentem, który ma ułatwiać zrozumienie zachowań zwierząt. Według niektórych biologów muszki działają analogicznie do robotów Braitenberga. Ich układ nerwowy nie buduje złożonego modelu otaczającego je świata, ale generuje proste reakcje ruchowe na docierające do niego bodźce.

Istnieje jednak druga możliwość – to nasza alternatywna hipoteza, choć różnica między nimi wydawać się może subtelna. Tym razem sygnał ze wzroku (lub innego zmysłu) nazwiemy sygnałem błędu. Nie będzie on wysyłany bezpośrednio do elementów wykonawczych – będzie raczej traktowany jako informacja o tym, jak bardzo układ nerwowy „pomylił się", planując wykonywane ruchy kończynami. Dopiero po przeanalizowaniu tych informacji mózg wyśle poprawione komendy do mięśni poruszających nogami, aby zaplanowany cel został osiągnięty.

Gdzie tkwi różnica między tymi dwiema hipotezami? W pierwszym przypadku informacja ze zmysłów, w pewnym sensie, bezpośrednio kontroluje poruszanie się owada. W drugim musiałby istnieć wewnętrzny model środowiska w układzie nerwowym, który podlegałby nieustannej aktualizacji, mógłby korzystać z pamięci zwierzęcia i sygnałów z otoczenia. Tutaj informacja ze zmysłów jest wykorzystana do stworzenia lepszego modelu, który pozwoli na wykonanie odpowiednich manewrów. Pamiętajmy jednak, że w obu przypadkach procesy dziejące się w mózgu owada trwałyby zapewne ułamki sekund.

Umieśćmy zachowanie muszki próbującej przedostać się przez szczelinę w kontekście dwóch powyższych hipotez. Na którą z nich wskazują wyniki eksperymentu? Czy muszka raczej osiąga cel i przechodzi na drugą stronę metodą prób i błędów, a jej zmysły bezpośrednio podpowiadają nogom, co zrobić? Czy też wzrok i dotyk podpowiadają mózgowi „nie tu!", „trochę dalej!", „dobrze!", a ten uwzględnia te komentarze w poprawkach? Wciąż nie możemy być pewni odpowiedzi na to pytanie, choć coraz więcej badań na owadach sugeruje, że różne sygnały – pochodzące z pamięci czy zmysłów – pomagają ich maleńkim mózgom podejmować decyzje niebezpośrednio, będąc źródłem informacji dla budowanego przez nie wewnętrznego modelu świata.



ADOBE STOCK

Wewnętrzny kompas

Jeszcze w ostatnich dekadach XX w. traktowano owady jako bardzo proste istoty, które swoje zachowania zawdzięczają wrodzonym instynktom i odruchom zapisanym w genach. Obecnie ten obraz zaczyna się komplikować. Zazwyczaj o modelach wewnętrznych, takich jak opisany wcześniej, mówi się w kontekście zachowania i mózgów ssaków, w tym człowieka. Jednak dzięki kolejnym eksperymentom – także myślowym – badacze coraz częściej interpretują także zachowania owadów w bardziej złożony sposób.

Właściwie można było się tego spodziewać. Już Seymour Benzer, pionier badań nad behawiorem muszek owocowych, zapoczątkowanych w latach 60. XX w., wraz ze swoimi studentami pokazał, że muszki potrafią łączyć ze sobą różne fakty. Np. skojarzą dany smak z bodźcem elektrycznym, aby uniknąć porażenia prądem przy następnej okazji. Wydaje się przy tym, że mechanizm uczenia się muszki może bardzo ↦

↦ przypominać to, co dzieje się w ludzkim mózgu.

U ssaków centralną rolę w procesie uczenia się odgrywa dopamina – neuroprzekaźnik, czyli substancja zmieniająca stan komórek nerwowych, dzięki czemu mogą one wzmacniać lub osłabiać połączenia z innymi neuronami. Przyjmuje się, że dopamina stanowi sygnał niezbędny w nabywaniu nowych zdolności – np. dzięki powiązaniu ze sobą faktu otrzymania jakiejś nagrody oraz sytuacji, w której to się stało (choć pełni także inne funkcje – obumieranie neuronów produkujących dopaminę występuje w chorobie Parkinsona, co prowadzi m.in. do zaburzeń w poruszaniu się).

U muszek owocowych dopamina odgrywa ważną rolę w strukturze mózgu zwanej ciałem grzybkowatym, powiązanym m.in. z uczeniem apetytywnym (kojarzeniem pozytywnych bodźców) i awersyjnym (kojarzeniem bodźców negatywnych). Brak tego neuroprzekaźnika nie pozwala na wiązanie z sobą różnych doświadczeń. Czy jego mechanizm działania jest zatem taki sam u muszek, jak i u ludzi? Wciąż nie jesteśmy tego pewni. Ewolucja mogła jednak doprowadzić do wykorzystania podobnych substancji czy mechanizmów do realizacji tych samych funkcji u bardzo różnych grup organizmów.

Nie byłby to wyjątkowy przypadek. W innej części mózgu muszki – w ciele elipsoidalnym kompleksu centralnego – pewne neurony wykazują zwiększoną aktywność w odpowiedzi na poruszający się bodziec wzrokowy. Co ciekawe, nie są to przypadkowe komórki. Gdy bodziec się porusza, np. w prawo, aktywność neuronów ciała elipsoidalnego, ułożonych w swego rodzaju pierścień, również „przesuwa się", przechodząc na sąsiednie komórki tej kolistej struktury. Niczym strzałka kompasu wskazująca północ, komórki nerwowe w kompleksie centralnym śledzą położenie ciała zwierzęcia względem wskazówek (charakterystycznych punktów) w otoczeniu. Co się stanie, jeśli te wskazówki nagle znikną – np. gdy muszka zaczyna poruszać się w ciemności? Okazuje się, że ta charakterystyczna, spowodowana bodźcami z przestrzeni aktywność neuronów ciała elipsoidalnego wciąż się utrzymuje, tak jakby zapisywała w pamięci owada lokalizację obiektu.



JAVIER TORRENT / VW PICS / GETTY IMAGES

Nauka to nie tylko kolekcjonowanie danych,

ale przede wszystkim interpretowanie wyników badań i tworzenie teorii, które pomagają nam zrozumieć naturę.

Te procesy obserwowane w kompleksie centralnym mózgu muszki owocowej są interesujące z kilku powodów. Po pierwsze, można je opisać przy pomocy bardzo podobnych modeli matematycznych do tych, jakie są wykorzystywane w opisach procesów występujących u ssaków – np. działania tzw. komórek kierunku głowy. Neurony te odpowiadają za nawigację w przestrzenni (ich aktywność skorelowana jest z ułożeniem głowy względem różnych punktów odniesienia w środowisku). Mimo ogromnych różnic anatomicznych, operacje przeprowadzane przez mózgi owadów i ssaków mogą więc być bardzo podobne.

Jest jeszcze drugi intrygujący wniosek płynący z badań nad nawigacją owadów. Otóż kompleks centralny jest niezbędny w nawigacji i procesach uczenia związanych ze wskazówkami z otoczenia. Opisana wyżej aktywność neuronów działających jak busola pozwala przypuszczać, że mózg owada utrzymuje informacje o środowisku, by wykorzystać je do wywoływania odpowiednich zachowań – np. by wiedzieć, jak wrócić do bezpiecznej kryjówki. Inaczej rzecz ujmując, może to wskazywać na istnienie wewnętrznych reprezentacji (modeli) w układzie nerwowym muszki owocowej.

Myślenie o myśleniu

Może pojawić się tu jednak pewna wątpliwość. Skąd wiemy, że wszystko, o czym przeczytaliśmy w poprzednich akapitach, jest prawdą? Spojrzenie na owady jako na roboty Braitenberga albo doszukiwanie się w nich wewnętrznych reprezentacji rzeczywistości jest dość abstrakcyjną zabawą. Wiele z tych teorii próbujemy opisać matematycznie, modelować w komputerze i używać ich do przewidywania innych zachowań (np. tego, jak dane komórki będą aktywne w nieco innej sytuacji) – z powodzeniem. Wydaje się więc, że posiadamy narzędzia, które pomogą nam wyjaśnić działanie umysłów zwierząt. Istnieją jednak różne poziomy wyjaśnienia i niekoniecznie jest tak, że łatwo przejść od matematycznego (czy wręcz tylko obrazkowego, schematycznego) modelu danego zachowania do jego biologicznego odpowiednika, który ma reprezentować.

Pod tym kątem neurobiologia przypomina „modelową naukę", za jaką powszechnie uważa się fizykę. Fizycy próbują odkrywać prawa przyrody, przyjmując wiele upraszczających założeń i idealizacji (Newton, by odkryć prawo powszechnego ciążenia, musiał np. założyć, że nie występują siły tarcia). Biolodzy zachowują się podobnie – wykorzystują prostsze organizmy po to, by zrozumieć złożone procesy, które występują także u gatunków bardziej złożonych. Wielokrotnie ta metoda przynosiła sukces (wystarczy spojrzeć na długi szereg noblistów, którzy pracowali na mikroskopowych drożdżach czy bakteriach).

Być może badanie zachowania niewielkiej muszki również może nam pomóc rozwikłać tajemnice wykraczające poza jej mózg. © DANIEL KOZŁOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY „TP” 22/2021

Dodaj mi skrzydeł!

ŁĄKA POWSZECHNA DLA MOTYLI



FESTIWAL SŁOWA IM. JERZEGO PILCHA

GRANATOWE GÓRY

28-30 MAJA 2021

WISŁA

SPOTKANIA LITERACKIE

Bezpowrotnie utracony średnik

Baczyński, Kłosińska, Rusinek, Kozak, Czapliński, Goźliński

Moja kochana, dumna prowincja

Kronhold, Budzisz, Robiński, Hetman, Gitkiewicz, Szczerek, Muszyński, Papużanka, Sobolewska

Jak opowiedzieć Śląsk

Dziewit-Meller, Twardoch, Koziołek, Rokita, Zalega, Kadłubek, Musiał

Odpowiedzialni za słowo. Jak opowiadać świat?

Jagielski, Domosławski, Kubisiowska, Czajka-Kominiarczuk, Kicińska, Goc, Gierak-Onoszko, Leszczyński

WARSZTATY

Bałuk – podcast, **Kaczor** – fotografia,
Bystroń – komiks, **Goźliński** – proza

WYSTAWY

Jacek Poremba *„Stary Byk z rozłożonymi skrzydłami"*
Dorota Brauntsch *„Domy bezdomne"*
Wystawa poplenerowa *„Granatowe góry"*

SZCZEGÓŁOWY PROGRAM:
WWW.GRANATOWEGORY.PL

STREFA EKO

Warsztaty eko z **Magdą Bloch**
Łąkowa partyzantka z **Łukaszem Skopem**
Ptasi Tryptyk **Jacka Karczewskiego**
Sianie Łąki Powszechnej
Księgarnia Eko Wydawnictwa Poznańskiego

SPACERY

Spacer śladami Pilcha
Spacer górski
Spacer ornitologiczny
Spacer wzdłuż Wisły

DLA DZIECI

Pani Wieczorynka (Agata Romaniuk)
Grzegorz Kasdepke
Przedszkole Festiwalowe

KONCERT

Pianistyczny **AHHA** dla Pilcha

PONADTO

Nocne czytanie Pilcha,
Scena Impro w Browarze
Grabowski czyta, **Klancyk** improwizuje
Spektakl *„Pamięć głębinowa"*
Mecz **Pilchowie vs. Reszta Świata**



BLACKDIAMOND67 / ADOBE STOCK



GRAŻYNA MAKARA

MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ

Pani Agnieszka ze zdjęciami kiełkującej łąki wysyłała swoim uczniom fragmenty poematu Leśmiana. Mały Ignacy zasiał ją wraz z dziadkiem Jankiem na działce, w miejscu, gdzie wcześniej rosły pomidory. Jeden z czytelników wysiał nasiona na małym rondzie nieopodal domu, wpisując się w trend miejskiej partyzantki ogrodniczej. W Lublinie łąka zakwitła przy kościele ewangelicko-augsburskim, w którym odbywają się ekumeniczne nabożeństwa. Ten pomysł zainicjowali członkowie Klubu „Tygodnika Powszechnego".

To wszystko wydarzyło się podczas zeszłorocznej edycji Łąki Powszechnej. Entuzjazm czytelniczek i czytelników potwierdził naszą intuicję, że pomimo trudów, jakie pojawiły się wraz z pandemią, znów wszyscy możemy spotkać się w zieleni.

Zachęcamy do sięgnięcia po ogrodniczy sprzęt i znalezienia skrawka ziemi lub donicy. Tym razem nie tylko w ramach przeciwdziałania suszy i dla efektów wizualnych, ale dla motyli, których rozwój jest ściśle powiązany z konkretnymi gatunkami roślin. W naszej mieszance nie ma przypadków – większość roślin (żmijowiec zwyczajny, komonica zwyczajna, cieciorka pstra, ślaz dziki, marchew zwyczajna, koniczyna łąkowa) to prezenty dla konkretnych gatunków, takich jak rusałka osetnik, szlaczkoń siarecznik, modraszek dafnid, warcabnik ślazowiec, modraszek semiargus, przeplatka cinksia czy kosternik palemon. Przedstawia je wszystkie Agnieszka Nowak z Fundacji Łąka.

Ale nie tylko nazwy motyli są wyjątkowe. Ich cykl życiowy i zwyczaje to po prostu *science fiction*, jak przekonują Marię Hawranek Izabela Dziekańska i Marcin Sielezniew.

Maciej i Natalia Podymowie w rozmowie z Adamem Robińskim opowiadają o zaletach łąk kwietnych, które nie tylko przeciwdziałają suszy, ale też – jak na tak delikatne struktury – mają niemałe osiągnięcia w niwelowaniu śladu węglowego i walce ze smogiem.

Marcin Żyła wyprawia się na dzikie łąki za miastem, a Karolina Iwaszkiewicz dowodzi, że motyl to dusza powstała z podartych listów miłosnych, która zrobiła karierę w reklamie.

Przeczytajcie nasz dodatek, wysiejcie nasiona i podzielcie się z nami efektami swojej pracy – wysyłając zdjęcia na adres redakcja@tygodnikpowszechny.pl lub oznaczając swoje działania na Facebooku i Instagramie #lakapowszechna. ©℗

4 Rozmowa z Natalią i Maciejem Podymami **SUMA MAŁYCH GESTÓW**

8 Marcin Żyła **DZIEWIĘĆ HORYZONTÓW**

14 Rozmowa z Izabelą Dziekańską i Marcinem Sielezniewem **MOTYLE O STANIE ŚWIATA**

21 Karolina Iwaszkiewicz **LEKCJE ZACHWYTU I ROZPUSTY**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" NR 22/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Monika Ochędowska | Menadżerka projektu: Marta Filipiuk-Michniewicz | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmińska, Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska, Anna Dziurdzikowska

PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | GRAFIKI ŁĄKOWE, OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu

KOREKTA: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Maciej Szklarczyk

ŁĄKA ZAKWITNIE DZIĘKI:

łąka.

Białystok

pani łąka

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

GDYNIA moje miasto

RMF Classic

DoLasu | pracownia graficzna

RUSAŁKA OSETNIK
(*Van essa cardui*)

Jeden z najbardziej wytrwałych lotników wśród motyli. Od 2012 r. dzierży rekord najdłuższej zarejestrowanej trasy migracyjnej. Rusałka osetnik pokonała wtedy danaida wędrownego zwanego monarchą, migrującego na trasie Meksyk–Kanada. Osetnik migruje z Afryki Północnej do Europy. Wzbija się na 2500 m n.p.m., przelatując nad pasmami górskimi. Niektóre lata obfitują w osetniki. Notuje się wtedy przeloty 30 osobników na minutę, podczas gdy zwykle za liczną grupę uznaje się... 3 szt./min.



ŻMIJOWIEC ZWYCZAJNY
(*Echium vulgare*)

Jest rośliną żywicielską gąsienic rusałki osetnik. Osiąga około metra wysokości i posiada wiele łodyg pokrytych ostrymi włoskami (a nawet dwoma ich rodzajami), co zapewnia gąsienicom więcej bezpieczeństwa. W badaniach nad pochłanianiem zanieczyszczeń powietrza przez łąki kwietne wykazano, że żmijowiec jest w pierwszej trójce pod względem wychwytywania drobnego pyłu zawieszonego (takiego, który najczęściej unosi się przy jezdni).



Suma małych gestów

NATALIA I MACIEJ PODYMOWIE Z FUNDACJI ŁĄKA:

Komponując łąkę kwietną, trzeba trafić na odpowiednią mieszankę. Jeden składnik zmienia całe zbiorowisko.

ADAM ROBIŃSKI: Czy polskie magistraty przekonały się do siania łąk kwietnych zamiast pielęgnowania trawników?

NATALIA PODYMA: Faktycznie, miasta coraz częściej cieszą nasze oczy kolorowymi łąkami. To są przede wszystkim rośliny ozdobne, bo większość mieszkańców oczekuje eksplozji barw. Aspekt ekologiczny jest miłym dodatkiem. Bardziej naturalne, dzikie łąki wieloletnie, choć równie kolorowe, nie są jeszcze tak popularne.

Od łąki wymaga się przecież kolorów.

NP: Ale coraz większą rolę grają ekologia i bioróżnorodność. W Wielkiej Brytanii bardzo popularne są naturalne



ADRIAN NORBERT CUPER

Natalia i Maciej Podymowie, maj 2021 r.

łąki wieloletnie, często z trawami. One wymagają większego zaangażowania w pierwszym roku, przede wszystkim comiesięcznego koszenia. I to przy całkowitym braku gratyfikacji w postaci kwiatów, które pojawią się dopiero w kolejnym sezonie. Nie wygląda to zachęcająco dla osób zaczynających przygodę z łąkami, prawda? Dlatego przy komponowaniu mieszanek stawiam na kompromisy. Tworzę dzikie, piękne łąki wieloletnie, ale dodaję do nich nieco kwiatów jednorocznych, często ozdobnych. Tak, by łąka chwytała za serce od początku.

MACIEJ PODYMA: Doceniane są głównie łąki pstrokate, różowe, kolorowe. Z drugiej strony, przez ostatnie pięć lat sytuacja zmieniła się diametralnie. To, że łąki stają się standardem przy wielkich inwestycjach, to jest ogromny sukces, którego się nie spodziewaliśmy. Świadomość tego, czym jest łąka kwietna i jaką odgrywa rolę w mieście, jest dziś o wiele większa niż wtedy, gdy zaczynaliśmy działalność. Nie pytamy już „czy?", ale „jak?", „jakie?" i „czemu tak mało?".

A nie jest tak, że za łąkę wciąż uważa się nieskoszony trawnik?

MP: Jasne, promując łąki kwietne, przetarliśmy też szlaki maksymalnym biofilom, według których wystarczy nie kosić, by było wspaniale. Otóż nie będzie, a na pewno nie wszędzie.

Zapewne chodzi o przedmieścia, które jeszcze niedawno były wsiami, więc glebowy bank nasion ma co nieco w zanadrzu?

MP: Albo przeciwnie, o tereny postindustrialne, gdzie na żyznej ziemi potrafią pojawić się rzadsze rośliny. Tylko że takie działanie jest kiepską wizytówką idei łąk kwietnych. Ludzie otrzymują sygnał, że z łąką wiąże się jakieś zaniedbanie. Jeśli już ktoś decyduje się na niekoszenie, powinien to robić z głową. Dać innym do zrozumienia, że to celowe działanie, np. kosząc jakąś opaskę dookoła. Poza tym to nie jest sposób na uzyskanie łąki jak z obrazka. No, może jedna łąka na dziesięć się uda.

NP: A i tak będzie uboga. Wyrośnie kilka, kilkanaście gatunków roślin. Reszta to trawy. Poza tym takim działaniem pozwalamy rosnąć roślinom inwazyjnym. Miniony rok był obfity w przymiotno, rosło wszędzie. W normalnych warunkach, kiedy pojawia się na trawniku, nie ma nawet okazji zakwitnąć, bo jest od razu koszone. Przymiotno produkuje mnóstwo nasion i jak już kwitnie, to masowo je rozsiewa. Więc w tym roku w miejscach, gdzie było go dużo, będzie go jeszcze więcej.

Które polskie miasto było łąkowym pionierem?

NP: Kraków. Zarząd Zieleni Miejskiej w Krakowie jako pierwszy uwierzył w łąki i zrealizował duży projekt z nimi związany. Najwyraźniej urzędników przycisnął smog. Łąki stały się jednym z narzędzi walki o lepsze powietrze. Teraz na prowadzenie wychodzi Białystok. Śmiało podchodzi do nowych rozwiązań i łączy łąki kwietne z pasiekami, polami słoneczników oraz sadami miejskimi.

Niedawno zakończyliście badania nad antysmogowymi właściwościami łąk. Rozumiem, że argument prozdrowotny jest dla Was kluczowy przy ich promocji?

MP: W naszym duecie Natalia jest od kochania roślin, a ja od ich wykorzystywania.

To te słynne usługi systemowe. Ile dzięki przyrodzie zarabiamy albo oszczędzamy.

MP: Nie lubię tego określenia, bo nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze. Ale tak, chodzi z grubsza o to, co rośliny mimochodem mogą nam dać. A żeby wiedzieć, jak działa jakieś narzędzie, trzeba je dokładnie zbadać. W przypadku łąk kwietnych tych narzędzi jest ponad dwieście, bo tyle mamy w naszej strefie klimatycznej podstawowych roślin łąkowych, z których korzystamy przy opracowywaniu mieszanek nasion. Musimy poznać każdą z osobna, jak działają jedna na drugą oraz w grupie. Przez ostatnie lata skupialiśmy się na ich skuteczności w wyłapywaniu pyłów. To tzw. łąki antysmogowe, smogówki. Celem na parę najbliższych sezonów będą kwestie wiązania dwutlenku węgla i odprowadzania wody do gleby.

Jak działa mechanizm wyłapywania pyłów przez łąkę?

MP: Chmura pyłu zatrzymuje się na roślinie i ważne, by została tam związana jak najdłużej, aż do czasu skoszenia. To koszenie daje łące przewagę nad drzewami i krzewami. Żeby roślina skutecznie wyłapywała pył, musi mieć lepkie i włochate liście. Chociaż, jak pokazały badania, które prowadziliśmy w paru miastach, jeszcze istotniejsze jest to, by roślina miała skomplikowaną strukturę. Nie może być zbyt strzelista. Czasami gładkie liście rekompensowane są pokręconą sylwetką i to już wystarczało, by roślina dobrze wypadła w badaniach. Ale wbrew pozorom, to nie takie proste. Byliśmy na przykład absolutnie pewni, że w topie smogówek znajdzie się dziewanna wielokwiatowa. Do tego stopnia, że aż ją sobie wytatuowałem na ramieniu. Jest włochata, ma lepkie liście.

I co?

MP: I klops, wiele innych gatunków okazało się skuteczniejszych. Taki los naukowca, musi się czasem przyznać do błędu. I zostać z tatuażem. ↦

SZLACZKOŃ SIARECZNIK
(*Colias hyale*)

Czasem motyle poznaje się po tym, jak siadają. Nie zakładają wprawdzie motylej nogi na nogę, ale mają ulubiony układ skrzydeł. Szlaczkonie zawsze siedzą z zamkniętymi skrzydłami, tzw. cechy diagnostyczne skrywając po ich wierzchniej stronie. Żeby potwierdzić, że to siarecznik, a nie inny szlaczkoń, trzeba złapać motyla siatką i dokładnie obejrzeć. Tylko podczas zalotów samiec i samica pokazują wierzch skrzydeł. Cóż, pewne rzeczy są tylko dla wybranych.



KOMONICA ZWYCZAJNA
(*Lotus corniculatus*)

Roślina tysiąca zalet. Jest pospolita i dobrze sobie radzi w miastach i na nieużytkach, zakwita dwa razy w sezonie. W okresie upałów szukajcie na tle rudawej trawy zielonych kępek jej liści. Kwiaty żywią około 70 gatunków dzikich pszczół. A co z motylami? Dzięki wytrwałości komonicy żywiące się nią młode szlaczkonie siareczniki mogą wydać rocznie dwa lub aż trzy pokolenia. Doceńmy komonicę i ograniczmy koszenie.

↦ **Zapisałem sobie trzy szczególnie warte zapamiętania gatunki: lepnica rozdęta, bniec biały i koniczyna łąkowa. Co je łączy?**

MP: Lepkość. Bniec jest rośliną o dość prostej strukturze, ale w jego przypadku to właśnie lepkie liście decydują o sukcesie. Sam widzisz, że wyniki zaskakują i nie ma jednej niepodważalnej reguły. Potrzeba jeszcze paru sezonów badań, by jednoznacznie potwierdzić nasze spostrzeżenia. A rośliny, które nas zaskoczyły, bo wcześniej były niedoceniane, badać jeszcze intensywniej.

Oprócz dziewanny, zaskoczył Was również mak polny.

NP: W przypadku maku chodzi raczej o jego wymiar kulturowy. Dobrze się kojarzy. Wiejskie lato, pole pszenicy, maki i chabry. Do tego odwołania do historii, bohaterstwa, przelanej krwi. Choć mak nie jest najlepszy w oczyszczaniu powietrza, jest rośliną bogatą w pyłek, który służy owadom zapylającym.

Jak rozumiem, kluczem jest opracowanie odpowiedniej mieszanki. Takiej, która połączy cechy wielu skutecznych roślin.

MP: Od początku naszej pracy staramy się myśleć o łące jako zbiorowisku. Co nam po jednej roślinie, choćby superskutecznej, skoro nie będzie ona w stanie przetrwać na jakimś stanowisku? Przyleci coś i ją zje. Komponując łąkę, musimy połączyć trzy punkty widzenia, trzy potrzeby. Po pierwsze, taki zestaw musi być wytrzymały. Chodzi o to, żeby rośliny przetrwały wszelkie niedogodności i przeżyły sezon. Po drugie, mają być atrakcyjne w oczach mieszkańców miast. Nie mogą się kojarzyć z chabaziami. Trzecia sprawa to pyły i skuteczność ich wyłapywania. To wszystko da się zmaksymalizować i jest to bardzo fajna zabawa, bo wystarczy zmienić jeden lub dwa składniki, by wpłynąć na całe zbiorowisko. Łąka nagle zacznie zachowywać się inaczej, zmieni się wizualnie, pojawią się na niej inne owady.

Samo miejsce też jest zagadką?

NP: Tak, nie wszystko, co jest wymienione w składzie mieszanki, na pewno wyrośnie. Nie wszystko przetrwa. Część roślin pokaże się tylko jednorazowo, a później zanikną, bo siedlisko nie będzie im odpowiadać. Inne rozrosną się ponad miarę. To jest przyroda, nie mamy na nią pełnego wpływu.

MP: Jakiś wpływ mamy, ale częściowy. Musimy się liczyć z kaprysami natury. Jak robisz trawnik, to przystosowujesz do niego ziemię. Odpowiednio ją nawozisz i w efekcie w każdym miejscu na ziemi dostajesz ten sam efekt. Przy zakładaniu łąki rozumowanie jest odwrotne. Przystosowujesz mieszankę, a nie miejsce, w którym ma się ona pojawić. Jeśli dane siedlisko to piach, nigdy nie powiemy właścicielowi, żeby nawiózł tam torf i zasiał łąkę wymagającą żyznego podłoża. To nie ma najmniejszego sensu. Z kolei na żyznej glebie nie powinno się zakładać łąki pod suchy teren. Zapoznanie się z miejscem to zawsze punkt wyjścia przy dobieraniu nasion do mieszanki.

Nie boicie się, że po publikacji wyników Waszych badań ktoś wpadnie na pomysł sadzenia tylko bnieca lub lepnicy? Superroślin antysmogowych?

NP: Jeśli wysiejemy tylko jeden gatunek, w pierwszym roku prawie nic on nie zdziała. Będzie po prostu zielono. Bniec w pierwszym sezonie to taka nanoroślinka, rozeta liści rosnących przy samej ziemi. W kolejnym roku zakwitnie, ale tylko na trzy tygodnie i zostaną suche badyle. Po co komu łąka, która funkcjonuje tylko przez trzy tygodnie? Poza tym nie zapominajmy, że różnorodność kwiatów to również różnorodność innego życia – nad i pod ziemią. Co miałyby owady z takiego bnieca? I to tylko niektóre owady, bo ta roślina jest zapylana przez nocne motyle.

MP: Każda monokultura ma mniejsze szanse na przeżycie niż różnorodne zbiorowisko. Będzie nieustannie zagrożona. Kiedy projektujesz łąkę, musisz zadbać o to, by każda roślina miała swoje zastępstwo. W efekcie jeśli coś jej się stanie, np. przyleci owad i ją zeżre, to na tym samym piętrze będzie kwitło coś innego i nigdy nie będzie pusto. Staramy się dbać, by poszczególne gatunki na siebie zachodziły, zaczynały kwitnąć jeszcze zanim przestaną kwitnąć poprzednie.

Łąka ma wyrastać pod koniec kwietnia, w maju jest najfajniej – istne szaleństwo – w czerwcu następuje przełamanie, wtedy kosimy, a łąka zaczyna kwitnąć od nowa. Ta bioróżnorodność daje nam dużą odporność i pozwala spełnić dwa z trzech wymogów, o których mówi-

liśmy wcześniej: łąka przetrwa i przez długi czas będzie efektownie wyglądać.

Jak długo powinna trwać?

NP: Kwiecień to czas raczej bez kwiatów. Te pojawiają się w maju. Na to, jak długo z nami zostaną, duży wpływ mają temperatura i opady. W ubiegłym roku jeszcze w późnym październiku na naszej jednorocznej łące oglądaliśmy kosmosy. Moment kwitnienia był bardzo długi. Zresztą ten październik nie jest rzadkością, to się często zdarza.

MP: Ale pamiętajmy, że gdy mówimy o łące antysmogowej, to wcale nie mamy na myśli kwiatostanów, tylko ogólny pokrój rośliny. Białostockie łąki kosiliśmy w zeszłym roku w połowie lipca, dość późno. W październiku nadawały się do ponownego koszenia, wyrosły na kolejne pół metra. Ten drugi sezon w roku trafia się właściwie zawsze, choć nie jest tak intensywny jak pierwszy. I tylko przez krótki czas zaraz po koszeniu łąka wygląda niepozornie, jak zwykły trawnik.

A jak radzi sobie z suszą? Wypalone słońcem placki, które nijak nie przypominają choćby trawnika, to w ostatnich czasach wizytówka lata w mieście.

MP: Rośliny łąkowe mają bardzo rozbudowany, głęboki system korzeniowy. Mogą korzystać z wody, która spadła parę tygodni wcześniej. Poza tym lepiej odprowadzają wodę opadową. Po intensywnym deszczu na łące nigdy nie będą stały kałuże, jak to ma miejsce w przypadku trawników, które się zamieniają w bajora. To wszystko bardzo cieszy włodarzy miast – woda, która zostaje w glebie, nie spływa potem do kanalizacji. W tym roku będziemy badać intensywność tych procesów.

Jak?

MP: Prosty eksperyment: bierzemy metr kwadratowy łąki i taki sam kawałek trawnika, nalewamy na nie bardzo dużo wody i obserwujemy, co się z nią dzieje. Jesteśmy pewni, że na łące woda zniknie o wiele szybciej. Ale w jakim tempie? Które rośliny będą sobie z tym radzić lepiej, a które gorzej? To się okaże. Bo to, że kwiaty łąkowe nie mają problemu z suszą, już wiemy. Łąk wieloletnich nawet nie musimy podlewać i nijak nie wpływa to na ich wygląd. Pilnować trzeba tylko jednej rzeczy: żeby nie przeciągać momentu koszenia, bo zrobią się chaszcze i ludzie podniosą raban, że miasto się zapuszcza.

Wspominaliście też o kwestii dwutlenku węgla.

MP: I to chyba będzie dla sympatyków łąk najważniejszy argument za ich zakładaniem.

Rośliny łąkowe mają bardzo rozbudowany, głęboki system korzeniowy. Mogą korzystać z wody, która spadła parę tygodni wcześniej, lepiej odprowadzają też wodę opadową. Nawet po intensywnym deszczu na łące nigdy nie będą stały kałuże.

Łąki mają przed sobą wspaniałą przyszłość w sekwestracji dwutlenku węgla. Z uwagi, po pierwsze, na ilość wchłanianych gazów, po drugie – na fakt, że są one wiązane w glebie, pod ziemią, a nie w pniu, jak w przypadku drzew, które zaraz potem mogą przecież spłonąć czy zostać ścięte i przerobione na opał. Dwutlenek węgla magazynowany przez łąkę zostaje tam, gdzie powinien, czyli pod ziemią.

O roli torfowisk i terenów podmokłych naukowcy mówią od lat. Trzeba je chronić i renaturyzować, bo są wspaniałym magazynem dwutlenku węgla. Na łąki do tej pory nie zwracało się uwagi. Więc równolegle do przygotowywania mieszanek antysmogowych pracujemy nad taką, która byłaby najlepsza w radzeniu sobie z dwutlenkiem węgla. To może być przydatne narzędzie dla firm, które chciałyby niwelować swój ślad węglowy. Z wisienką na torcie w postaci zasilania bioróżnorodności.

Argument estetyczny schodzi na drugi plan?

NP: W rozmowach z samorządowcami uroda łąki wciąż jest istotna, bo jej właśnie oczekują mieszkańcy. Ale jakby spojrzeć na temat całościowo i zebrać tę argumentację, to okaże się, że kluczowy nie jest któryś z konkretnych aspektów łąki – estetyka, ekonomia czy wpływ na środowisko – ale cały ich pakiet. Do jednych bardziej przemawiać będzie sekwestracja CO_2, dla innych liczyć się będą antysmogówki. Miasta cieszą się, że oszczędzają na koszeniu i podlewaniu, a dodatkowo ulice robią się ładniejsze.

MP: Ale tak naprawdę największy krok jeszcze przed nami. Musimy zakończyć etap, w którym łąka jest czymś na kształt mody, odpowiedzi na ekologiczne zainteresowania mieszkańców. Sprawą wizerunkową. Nam chodzi o kompletną zmianę podejścia. Planowanie na dekadę do przodu, na przykład tego, żeby połowa miejskich trawników stała się łąkami. To muszą być rozwiązania systemowe. W erze Europejskiego Zielonego Ładu, który wymaga również od miast, by się bilansowały, nie uciekniemy od takich rozwiązań.

Łąka jako element strategii na rzecz ratowania bioróżnorodności?

NP: Chodzi o to, żeby zawierać kompromisy z potrzebami natury. Jeśli nie mamy działki albo ogródka, zasiejmy łąkę choćby na balkonie. Tam też przyda się owadom.

MP: Ochrona ścisła, a więc taka, która zakłada brak jakiejkolwiek ingerencji człowieka, to bardzo romantyczne podejście do tematu. Jasne, trzeba zakładać nowe parki narodowe, chronić duże obszary, ale jeszcze więcej uzyskamy wówczas, gdy kosiarki wyjadą na pobocza autostrad o ten jeden raz mniej. To zupełnie inna skala działania.

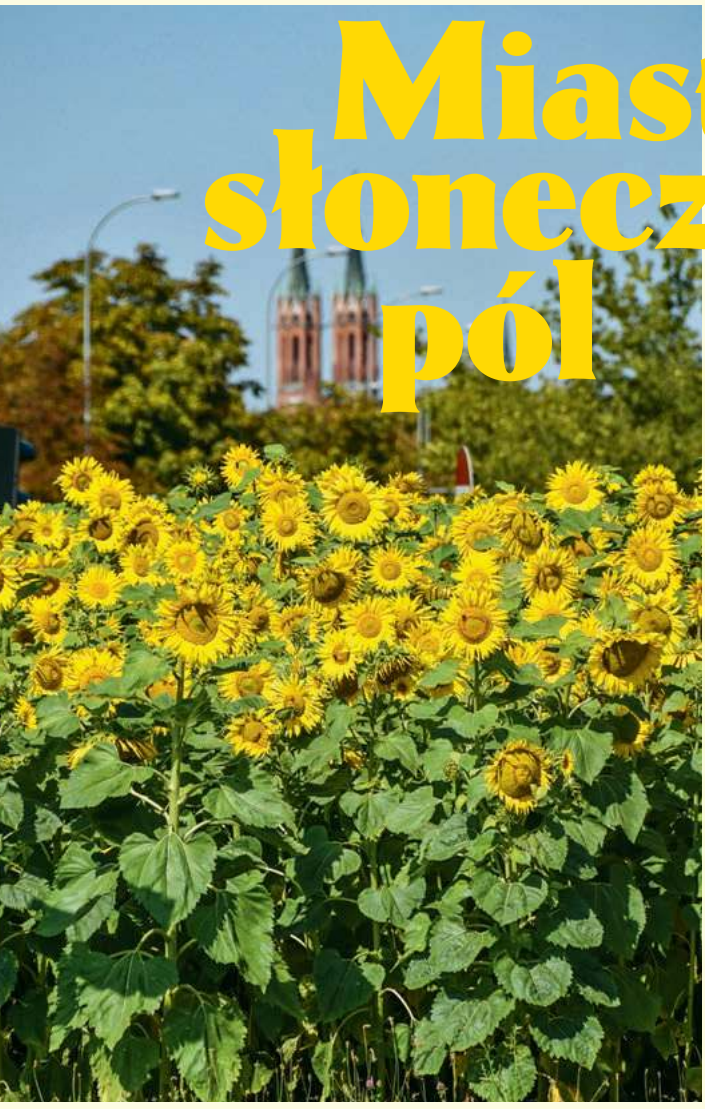
Chodzi o sumę małych gestów?

MP: Walka o klimat odbywa się w mieście i każdy metr kwadratowy ma znaczenie. I – co jeszcze ważniejsze – nie każdy może chronić borsuki w środku lasu, ale każdy jest w stanie wysiać kwiaty. Każdy z nas ma moc sprawczą.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

NATALIA I MACIEJ PODYMOWIE – założyciele Fundacji Łąka, której celem jest propagowanie w miastach bioróżnorodnych łąk kwietnych oraz zrównoważonego dbania o zieleń.

Miasto słonecznikowych pól



Fot. Marcin Jakowiak / UM Białystok

Pola słoneczników, kolorowych kwiatów polnych i połacie rzepaku stały się znakiem firmowym Białegostoku. Już teraz zajmują 6,5 ha miejskiej przestrzeni, a w planach jest ponad 10 ha.

Choć łąki kwietne robią ogromne wrażenie na białostoczanach i gościach odwiedzających miasto, to gdy w 2019 r. Urząd Miejski ruszał z projektem, jego celem było nie tylko wzbogacenie miasta o kolorowe przestrzenie.

– Estetyka i wygląd miasta są dla nas ważne, ale od początku zależało nam, by łąki poprawiły przede wszystkim bioróżnorodność pasów drogowych oraz przylegających do nich terenów miejskich. Dzięki łąkom kwietnym łagodzimy skutki zmian klimatu – mówi prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski.

– Równie istotne jest zwiększenie retencji wód opadowych, ograniczenie erozji gleb, poprawa mikroklimatu, łagodzenie skutków miejskiej wyspy ciepła oraz oczyszczanie powietrza z zanieczyszczeń komunikacyjnych i pyłów zawieszonych. To wszystko wpisuje się w Miejski Plan Adaptacji do zmian klimatu – dodaje Andrzej Karolski, dyrektor Departamentu Gospodarki Komunalnej białostockiego Urzędu Miejskiego i pomysłodawca kwietnych łąk.

30 gatunków w mieszance

Dla poprawy bioróżnorodności miejskiej awifauny, rośliny po przekwitnięciu pozostają na gruncie, stanowiąc bazę pokarmową dla ptaków. Zmniejszenie liczby zabiegów koszenia z siedmiu do jednego (w porównaniu do zabiegów pielęgnacyjnych prowadzonych na miejskich trawnikach) umożliwiło odbycie pełnego cyklu rozwojowego różnym drobnym organizmom w tym owadom. Obniżona została ilość zużywanego do koszenia paliwa oraz ograniczona skala wytwarzanych odpadów zielonych. Masa zielona po koszeniu łąk kwietnych w całości jest przekazywana do miejskiej spółki, która wytwarza z niej wartościowy nawóz zielony o nazwie kompośniaczek.

W Białymstoku zakładane są różne rodzaje łąk: łąki kwietne jednoroczne, wieloletnie (mieszanka gatunków z przewagą roślin dwuletnich i bylin), jednogatunkowe (pola słonecznikowe, rzepakowe, zbożowe, motylkowate).

Łąki kwietne wieloletnie zajmują powierzchnię 30%, a jednoroczne 70%, w tym mieszanki wielogatunkowe 40%, pola słonecznikowe 10%, pola rzepakowe 10%, oraz pola zbożowe i motyklowate 10%. Przy tym projekcie miasto Białystok współpracuje z Fundacją Łąka.

– Dobór gatunkowy mieszanek łąk kwietnych przygotowywany jest zgodnie z naszymi wytycznymi. Powstają różne mieszanki nasienne, w zależności od warunków glebowych panujących na danym terenie oraz oczekiwanego przez nas efektu końcowego – dodaje dyrektor Andrzej Karolski.

Odpowiednio dobrany do wysiewu skład mieszanek nasion uwzględnia okres i intensywność kwitnienia, odporność na suszę, jak też atrakcyjność dla odwiedzających je owadów. Możliwe jest stosowanie domieszek roślin innych niż gatunki rodzime, w celu urozmaicenia i poprawy estetyki mieszanki (gatunki podporowe, kwitnące w określonych terminach, nektarodajne lub



Fot. Adam Ludwiczak / UM Białystok

o charakterystycznej barwie kwiatów). Każda mieszanka nasienna musi zawierać przynajmniej 30 gatunków roślin. Kompozycja w mieszance powinna gwarantować jak najdłuższy czas kwitnienia – minimum 3,5 miesiąca.

– Podczas zakładania łąk kwietnych szczególną uwagę zwracamy na kwestię zachowania bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Dlatego łąki zakładane są w odległości 80-100 cm od krawędzi jezdni czy ciągów pieszych, zachowywane są również trójkąty widoczności – tłumaczy Andrzej Karolski.

Płaskurka, najstarsza pszenica

Pola pod zasiewy słoneczników zakładane są na dużych, pofałdowanych powierzchniach, by miały dobrą ekspozycję względem pasa drogowego. Wszystko po to, by stworzyć niesamowity efekt wizualny i pozwolić je podziwiać z większej odległości. Piękne łany zbóż tworzy natomiast najstarsza na świecie odmiana pszenicy płaskurka, gatunek pochodzący z terenów Bliskiego Wschodu.

W Białymstoku powstały również łąki naturalne, tworzone poprzez wyłączenie z koszenia zieleńców i utrzymywanie ich w stanie naturalnym, tj. z przyzwoleniem roślinom na pełny cykl rozwojowy z wydaniem i wysianiem się nasion włącznie. Projekt realizowany jest z rozmachem i aktualnie zajmuje łączną powierzchnię 30 ha, docelowo ma to być 50 ha.

Łąki to czystsze powietrze

Łąki kwietne nie tylko korzystnie wpływają na otaczające środowisko, ale też kształtują świadomość ekologiczną białostoczan.

– Dzięki nim, by obcować z przyrodą, nie trzeba wyjeżdżać z miasta. W ramach projektu zamontowano 26 tablic informacyjnych. Wszystko po to, by angażować społeczność lokalną w ochronę przyrody oraz poszerzać wiedzę o kwiatach przyjaznych pszczołom – dodaje prezydent Tadeusz Truskolaski.

Nasadzenia łąk kwietnych poprawiły jakość miejskiego powietrza. Z badań wykonanych przez Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego wynika, że zieleń łąk uczestniczyła w oczyszczaniu powietrza ze smogu komunikacyjnego i pyłu zawieszonego. Wyniki pokazały, że większość gatunków z łąk jedno- i wieloletnich akumulowało więcej pyłu zawieszonego niż drzewa oraz trawa.

– Białostockie pola słoneczników stały się znane w całej Polsce i są kolejnym znakiem rozpoznawczym kojarzonym z naszym miastem – mówi zastępca prezydenta miasta odpowiedzialny m.in. za promocję i gospodarkę komunalną, Rafał Rudnicki. – Dzięki kwietnym łąkom Białystok jest jeszcze piękniejszy, zielony i ekologiczny. Nic dziwnego, że – jak wynika z badań – białostoczanie są zadowoleni z tego, jak miasto zarządza zielenią.

Białystok

Fot. Martyna Kowalik-Strapczuk / UM Białystok



MODRASZEK DAFNID
(*Polyommatus daphnis*)

Jest wiele gatunków modraszków i czasem trudno poznać, który jest który. Nie są duże, a na skrzydłach o rozpiętości mniejszej niż 30 mm bardzo trudno policzyć plamki. Zwłaszcza w locie. Dafnid ma „falbankę" u dołu skrzydeł, której nie mają inne modraszki. Jest jednym z dowodów na nierozerwalność świata roślin i motyli. Jego jedyną rośliną żywicielską jest cieciorka pstra – nie ma cieciorki, nie będzie dafnidów.





CIECIORKA PSTRA
(*Securigera varia*)

Cieciorka pstra jest rośliną wieloletnią. W internecie ma swoich hejterów – piszą, że to „przebiegły chwast". W rzeczywistości to wytrzymała, łatwo rozmnażająca się roślina wydająca wiele kwiatów z mnóstwem nektaru, a dzięki wymianie usług z pszczołami i trzmielami – wiele nasion. Taka gospodyni zapewnia również motylom i ich gąsienicom poczucie stabilizacji w niepewnych, kosiarkowych czasach. Cieciorka pstra jest jedyną rośliną żywicielską modraszka dafnida.

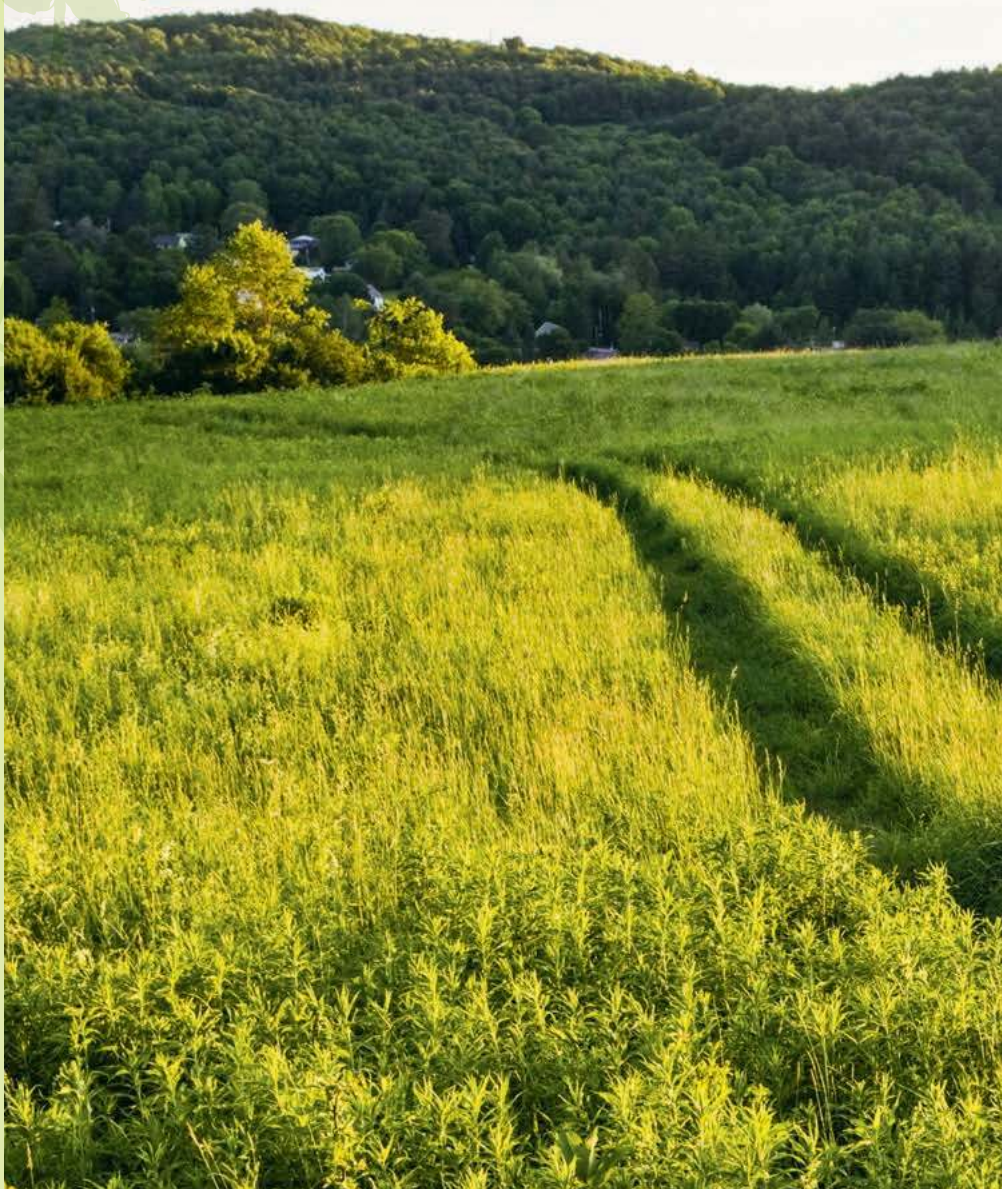
Dziewięć horyzontów

Podobno Douglas Adams wymyślił „Autostopem przez Galaktykę" leżąc na łące gdzieś pod Innsbruckiem. My leżąc na naszej i gapiąc się na chmury opowiadaliśmy, co sobie wyobrażamy.

MARCIN ŻYŁA

Góra była tak ogromna i tak bliska, że jako dzieci myśleliśmy, że wszystko, z czego składa się życie – a w każdym razie wszystko, co ważne i godne odnotowania – dzieje się na jej zboczach. Właściwie świat mógłby mieć kres tam, gdzie ona, urywać się na jej przełęczach w bezdeń wielkiego oceanu, i nic by to nie zmieniło. Zrozumienie, że za naszą są jeszcze inne góry, za nimi zaś, o zgrozo, niziny i depresje, na których też trzeba żyć, przygnębiało bardziej niż prawda o Świętym Mikołaju.

Wciąż najpiękniej widać ją ze szczytu łąki, która nieopodal domu łagodnie



opada w stronę płytkiej doliny, w poprzek całego krajobrazu. Zaraz za doliną, na zachodzie, piętrzy się wielki masyw, który popołudniami szybciej niż gdzie indziej zabiera tu słońce. Poprzecinany jest leśnymi działami i przyporami, gdzie tuż po cieplejszym, letnim deszczu tworzą się małe lasy mgielne. Na północ ze szczytu schodzi długi łagodny grzbiet, który urywa się stromo dopiero nad przełęczą. Zasłania ją bliższy, zalesiony szczycik.

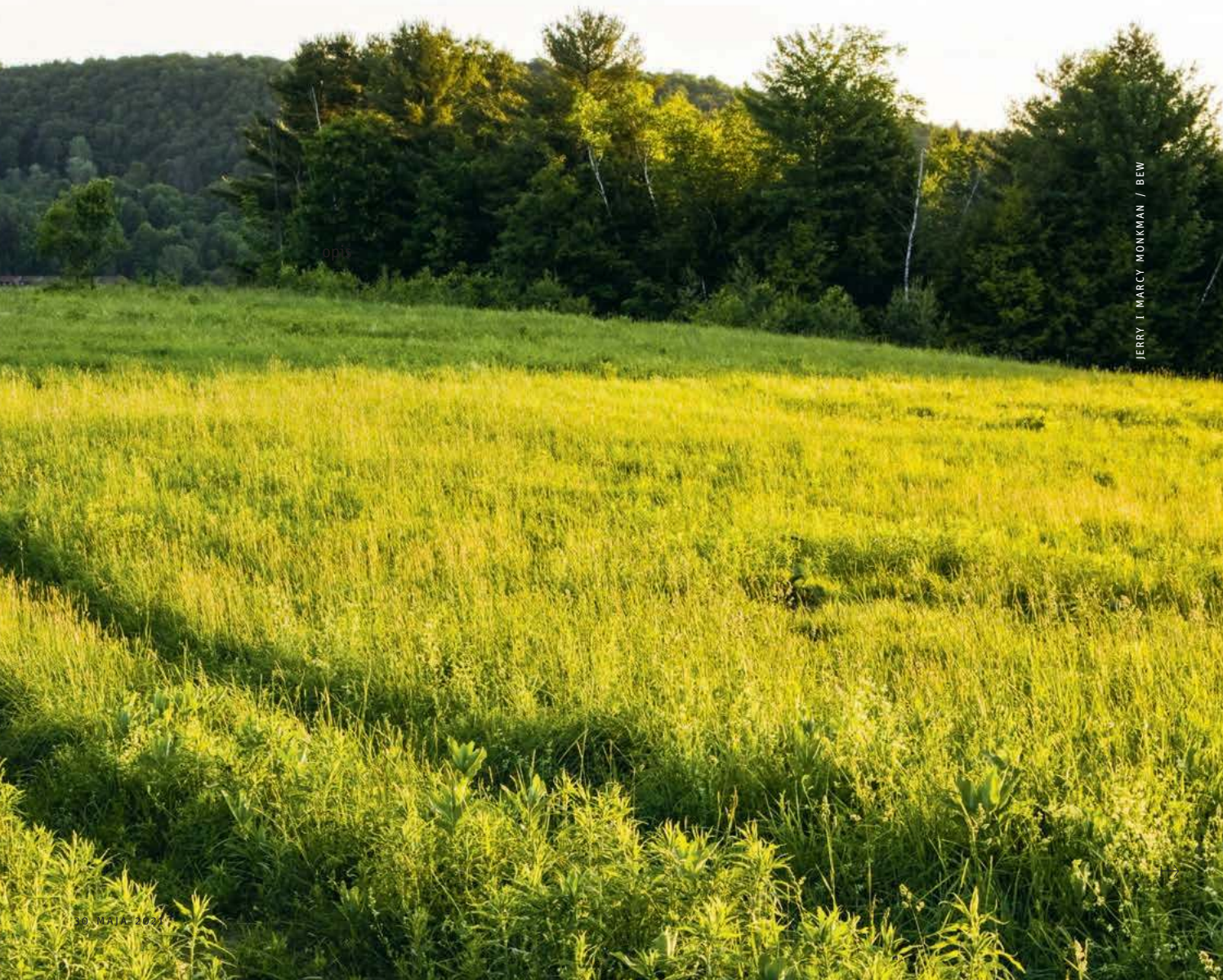
Jeszcze bliżej i niżej – ale wciąż na tyle daleko, żeby w środku planu utworzyć coś w rodzaju sceny – jest sporych rozmiarów hala, na której od wiosny do jesieni pasą się owce, a wokół nich, nocami i po cichu, zataczają kręgi wilki.

Jest to krajobraz nawet nie karpacki, bardziej alaskański, kanadyjski. Nic więc dziwnego, że dzieci wypełniły go kiedyś opowieściami o życiu zwierząt Ernesta Thompsona Setona, pioniera amerykańskich skautów. Gdzieś tu grizzly Uab, opuszczony sierota niedźwiedzi, jedyny pozostały potomek dzielnej matki Srebrzystej, spał pewnie całą zimę bez przebudzenia i zawsze budził się zdziwiony, że przespał tyle czasu, a śpiąc tak schudł i urósł równocześnie.

Lisiątka biegały po zaroślach jeżynowych, staczały się po mokrej łące, mimo woli ucząc się polowania. Do fantazji o zwierzętach wkradały się inne bajki i nakładały się na krajobraz. Tak pasterski szałas pod lasem zamieniał się raz w dom Muminków, raz w całe Bullerbyn, a gdzieś w przepastnych uroczyskach za rzeką, wysoko ponad jarem, urosło drzewo, pod którym mieszkały leśne Fraglesy.

Zabawne, że sam szczyt – choć tyle z nim związanych legend i opisanych dziwów – nigdy nie porywał wyobraźni jak lasy pod nim. Rodzice zabrali nas na górę dość wcześnie, było pięknie, lecz magii nie wyczuliśmy.

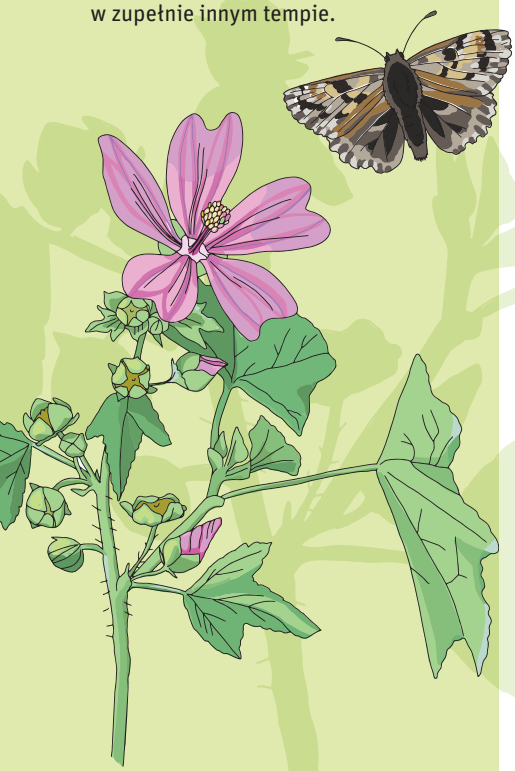
Teraz siedzimy na łące, wyniesionej niczym widownia na amfiteatrze na zboczu szczyciku, po którego drugiej stronie stały nasze domy. Mamy ze sobą mały tranzystor. Najlepiej odbiera tu słowackie radio publiczne. Nazywa się Radio Slovensko i według wszystkich środkowoeuropejskich standardów nie powinno istnieć – nadaje obiektywne wiadomości, dobrą muzykę, a na antenie nikt nie krzyczy. Właśnie emitują reportaż z Norwegii, o dawnych procesach czarownic i odzyskanej o nich pamięci. Wcześniej – o rocznicy zakończenia wojny, bez patosu, prosta historia czechosłowackiego żołnierza, który osiadł w Irlandii, a teraz jego dzieci odkrywają swoją tożsamość. Z powodów, których nigdy do końca nie rozumieliśmy, na naszej łące najlepiej słucha się historii o dalekich krainach i dawnym czasie, w języku podobnym do polskiego, ale jednak obcym. ↦



JERRY I MARCY MONKMAN / BEW

ŚLAZ DZIKI
(*Malva sylvestris*)

Ślaz dziki (po łacinie: leśny) jest pospolitą rośliną przydroży i polan. W neolicie ktoś przypadkiem przyniósł go z południa w naszą szerokość geograficzną. Było to mniej więcej 11 tys. lat temu, kiedy ludzie zaczynali dopiero budować osady, hodować zwierzęta i uprawiać rośliny jadalne. Jest to więc trochę niesprawiedliwe, że ślaz (ale też mak czy chaber) jest przez botaników uważany za gatunek obcy. Czas w świecie roślin płynie w zupełnie innym tempie.



WARCABNIK ŚLAZOWIEC
(*Carcharodus alcae*)

Bliskość motyli i roślin żywicielskich czasem wyrażona jest bezpośrednio w ich nazwie. Warcabnik ślazowiec to mały brązowy motyl, łatwy do rozpoznania po ubarwieniu – gdy się go znajdzie. Jest niepozorny i trudny do zauważenia. Lata nisko i doskonale kamufluje się na gołej ziemi lub piasku z rzadką pokrywą roślinności – takie tereny uwielbia. A skąd nazwa? Od ślazowatych, którymi żywią się gąsienice: ślazów, malw, prawoślazu czy ślazówki. To w ich pobliżu proponujemy zacząć poszukiwania.

↦ Ta dzika łąka nad potokiem była wstępem do dłuższych wypraw, trochę tak, jak w dzieciństwie przejazd tramwajem do ostatniej pętli zapowiadał późniejsze długie trasy pociągiem. Łąki stały się przedłużeniem domu, przed-wsią, terenem, skąd naturalnie i bez wstydu można było zawrócić, bo się czegoś zapomniało, a podczas powrotu zamieniały się w witające nas podwórko.

Podobno Douglas Adams wymyślił „Autostopem przez Galaktykę" leżąc na łące gdzieś pod Innsbruckiem. My leżąc na naszej i gapiąc się na chmury opowiadaliśmy, co sobie wyobrażamy. Na przykład, że łąka to wielkie trawiaste lądowisko. Że lecimy niewielkim samolocikiem – większym niż rower, mniejszym niż auto – i zmierzając do lata, do domu, schodzimy do lądowania nad przełęczą, wyrównujemy kurs nad potokiem i po zwrocie nad szałasami powoli, coraz wolniej, zniżamy się ku ziemi, parkując na końcu nasz rowerolot na placyku pod starą jabłonią.

W dolnej części łąki, przy brzegu potoku, stały kiedyś dwa domy. Podobnie jak wiele miejsc w górach, które wydają się dzikie, łąka była kiedyś zasiedlona. To stąd dzikie czereśnie i śliwy na jej obrzeżach. Folwark istniał tu już na początku XIX w., podobno mieszkali tu i pracowali słudzy węgierskiej szlachty. Teraz, mieszkając w różnych miejscach kraju, wysyłamy sobie czasem linki do starych map w internecie, na których zaznaczono tamte zabudowania.

Naszą jednostką odległości jest horyzont. To trudna miara: może liczyć parę metrów (gdy ścieżka wąska, znika za wykrotami), ale i kilometr (gdy pnie się po odkrytym zboczu). Każde miejsce, w którym widać dalszą część drogi – to początek nowego horyzontu. Ten spacer trwa kwadrans, ale liczy aż dziewięć horyzontów.

Gdzieś w połowie siódmego trzeba przejść niewielki potok. Największą przygodą, największą wyprawą dzieciństwa było, gdy ubierano nam gumiaki i pozwalano przejść stąd te pół kilometra, zawsze z kimś dorosłym, po dnie potoku, do mostku, który niżej stanowił jedyne połączenie naszych domów ze światem. Rzeczka była nową drogą, i to jeszcze nieograniczoną, odkąd dowiedzieliśmy się, że jej wody spływają do zupełnie innego morza niż wody rzeczek innych dzieci, i odkąd poznaliśmy nazwy „Wag", „Królewiany", „Fatra" i „Dunaj" – rzek, miejscowości i gór, które w dalszej drodze mijała woda spod naszych gumiaków.

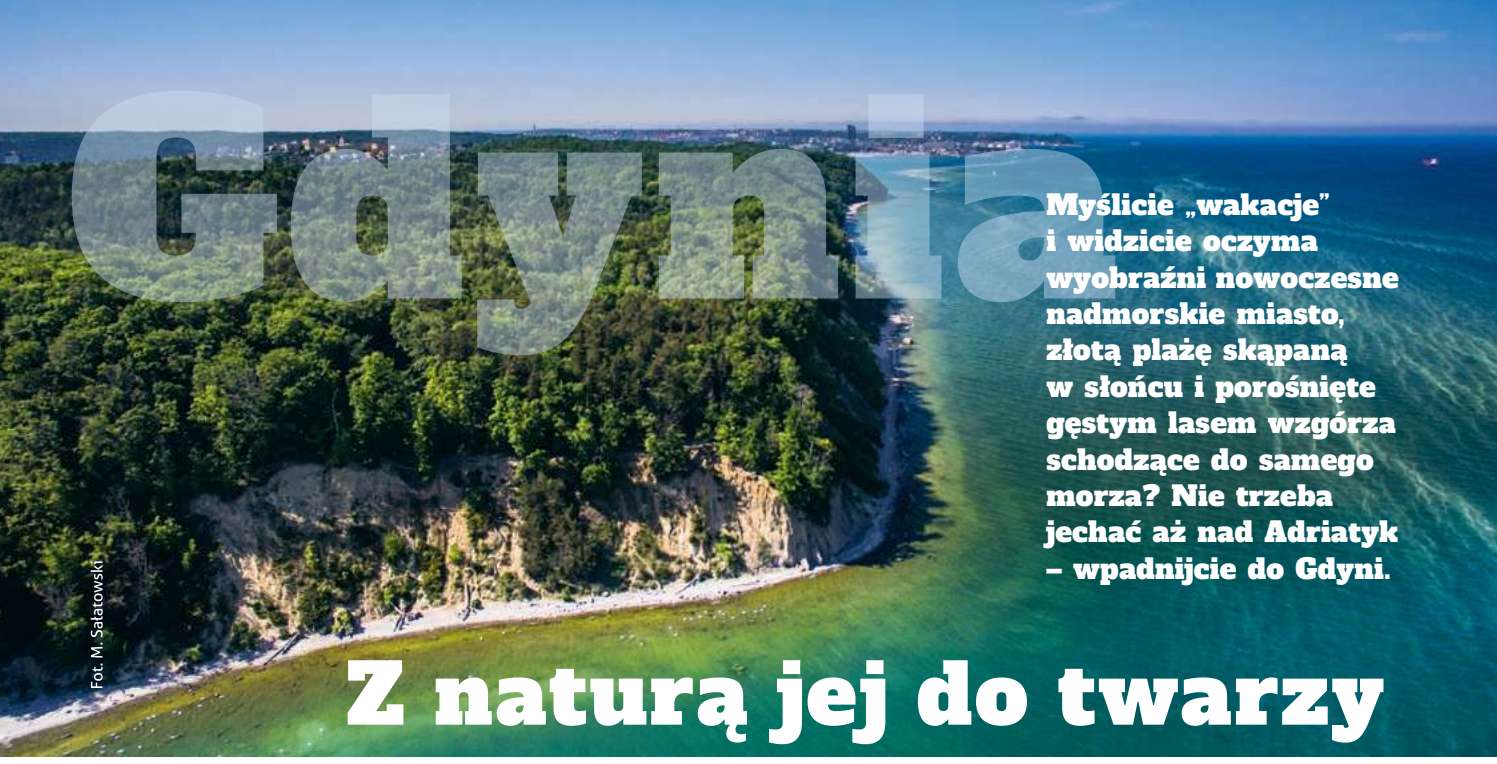
Ósmy i dziewiąty horyzont to stary las, z omszałymi pniakami i drzewem. Wiedzieliśmy, że w tym lesie dzieje się dużo, i to na długo zanim pozwolono nam oglądać „Miasteczko Twin Peaks". Las, w którym kiedyś na drzewie ktoś zawiesił swoją kurtkę, tak jak wiesza się ją na wieszaku. Wisiała tak dwa lata, przetrwała zimy, mamy nam powtarzały, żeby jej nie tykać, bo ktoś tylko „wszedł do lasu". Śmialiśmy się z tego, ale po dwóch latach kurtka zniknęła, a na jej miejscu ktoś przyczepił do kory kartkę papieru i napisał „dziękuję".

W końcu las rzednieje i dochodzi się do wąskiej asfaltowej drogi, która teraz, w pierwszym długim słonecznym tygodniu spóźnionej wiosny, znaczona jest ciałami rozjechanych przez auta węży, które wygrzewając się na ciepłym asfalcie straciły instynkt przetrwania.

Pięć kilometrów dalej droga się kończyła, a na naszych mapach, tych z dzieciństwa, lecz używanych do dziś, jak na wszystkich z Peerelu, kończył się też świat. Granice państwa ludowego zaznaczano wyraźnie, pogrubioną, przerywaną kreską i otaczano czerwonawą obwódką. Wszystkiego, co poza, było mniej – dróg, miast, ludzi pewnie też. Podobno w czasie wojny, gdy przemycano przez granicę, zakładano krowom gumiaki, ale tyłem do przodu, żeby zmylić pościg i wyrobić w żandarmach przekonanie, że mają do czynienia z liczną bandą. Właśnie zdaliśmy sobie sprawę z tego, że jako dzieci nigdy nas do tej granicy nie ciągnęło. Wszystko było tutaj.

„Ścieżka prowadzi przez pola na zach., mija kępę świerkowego lasu (woda) i za potoczkiem powraca na pola i łąki, biegnąc nadal poziomo na zach. i dochodząc do drogi". Tak brzmiał, odnaleziony w przewodniku, gdy byliśmy już duzi, opis naszych dziewięciu horyzontów. W takich chwilach, na końcu tras, w przewodnikach pisano zwykle: „powrót tą samą drogą" – ale od zawsze wiedzieliśmy, że to bujda.

©℗ MARCIN ŻYŁA



Fot. M. Sałatowski

Gdynia

Myślicie „wakacje” i widzicie oczyma wyobraźni nowoczesne nadmorskie miasto, złotą plażę skąpaną w słońcu i porośnięte gęstym lasem wzgórza schodzące do samego morza? Nie trzeba jechać aż nad Adriatyk – wpadnijcie do Gdyni.

Z naturą jej do twarzy

Gdyńskie lasy zajmują 6169 ha, czyli prawie połowę powierzchni miasta, i pełnią funkcję wielkiego naturalnego filtru. Według raportu oceny jakości powietrza za rok 2020 opracowanego na zlecenie Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska aglomeracja trójmiejska (Gdańsk, Sopot, Gdynia) otrzymała klasę A dla wszystkich zanieczyszczeń. Oznacza to, że Trójmiasto cieszy się najczystszym powietrzem w kraju. To efekt leśnej filtracji, wiatrów od morza, łagodniejszych zim, ale i coraz większej liczby „kopciuchów” wymienianych na nowe piece oraz rosnącej, dzięki miejskim kampaniom, świadomości ekologicznej mieszkańców.

Dla aktywnych

Aż 85 proc. gdyńskich lasów należy do Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego – obszaru chronionego ze względu na wartości przyrodnicze, historyczne i kulturowe. To głównie lasy bukowe i bukowo-dębowe, powszechnie występuje też sosna pospolita. Natomiast w dnach dolin spotyka się lasy łęgowe i olszowo-jesionowe. I to te doliny, głębokie nawet na sto metrów, przez które przepływają bystre potoki, sprawiają, że poczujemy się tu jak w górach. To idealne tereny dla aktywnych: na rowery górskie, przejażdżki konne, biegi trailowe, nordic walking, wędrówkę na przełaj i z kijami, przydatnymi zwłaszcza zimą.

Nie wszędzie po gdyńskich lasach można jednak beztrosko hasać. Na terenie rezerwatów przyrody należy trzymać się wyznaczonych szlaków. A są tu aż cztery rezerwaty – trzy leśne: **Łęg nad Swelinią**, **Kacze Łęgi** i **Cisowa** oraz jeden krajobrazowy – **Kępa Redłowska**. Rezerwaty chronią naturalną rzeźbę terenu, buczynę pomorską, łęgi jesionowo-olszowe i wiązowe oraz zagrożone i podlegające ścisłej ochronie gatunki roślin, a także czujące się tu świetnie rośliny z gatunków górsko-podgórskich. Przez rezerwaty przepływają meandrujące i bystre potoki. W Swelinie, strumieniu o charakterze podgórskim, którego dorzecze obfituje w malownicze jary i polany, można spotkać pstrąga potokowego i rzadkiego przedstawiciela gatunku płazińców – wypławka alpejskiego, który żył w Europie w okresie zlodowaceń – ponad 115 tys. lat temu. Obecnie występuje w Polsce jedynie na terenie Karpat, Sudetów i w Pieninach.

Kępa Redłowska to jeden z najstarszych rezerwatów w kraju i jedno z nielicznych miejsc w Polsce, gdzie obserwujemy naturalne procesy geofizyczne zachodzące na styku lądu i morza. Najbardziej charakterystycznym elementem krajobrazu jest klif w Orłowie o wysokości dochodzącej do 60 metrów, który w wyniku działalności morza nieustannie cofa się w głąb lądu.

Kur diabeł

Niezwykle cenne są również wody Zatoki Gdańskiej przylegające do Kępy Redłowskiej, w których – według naukowców Polskiej Akademii Nauk i działaczy Greenpeace'u – należy utworzyć morski rezerwat przyrody. Pośród kamienistego dna porośniętego zagrożonym widlikiem oraz piasków, pokrytych łąkami trawy morskiej, żyją cenne gatunki: jedyny bałtycki konik morski, kraby, krewetki i ryby, wśród nich groźnie wyglądający kur diabeł czy węgorzyca – jedyna ryba żyworodna w Zatoce Gdańskiej.

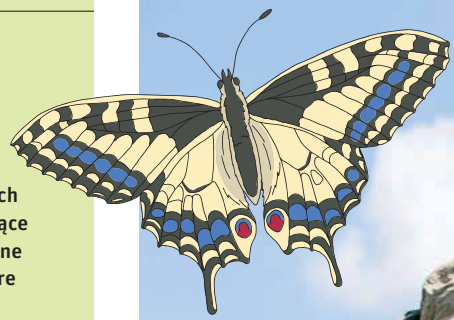
Licznie spacerujący tu mieszkańcy i turyści bez dania nurka w głębinę nie zaobserwują podmorskich cudów natury. Jednak odpoczywając na plaży, a nawet od czasu do czasu na falochronie, można zobaczyć foki. Ale spokojnie, nic nie przeszkadza w uprawianiu tu sportów wodnych – klubów żeglarskich nie brakuje. Miasto wspiera starania naukowców i ekologów o utworzenie morskiego rezerwatu oraz chroni wychodzące na brzeg foki przed zanadto zbliżającymi się do nich ludźmi. Edukują ich zarówno wolontariusze WWF Polska, jak też strażnicy miejscy z EkoPatrolu.

Ale to nie wszystko. Na dachu Urzędu Miasta od trzech lat stoją ule, a dzięki uchwale Rady Miasta z 2019 r. mieszkańcy mogą zakładać własne pasieki w ogrodach i na dachach budynków. To dla pszczół zakładane są łąki kwiatowe, przed letnią suszą chronią zaś niekoszone trawniki. Miasto dba nie tylko o owady, ale i inne latające gatunki – od wielu lat rozdaje mieszkańcom budki lęgowe i karmniki dla ptaków.

W Gdyni natura jest dla wszystkich gatunków – dwunożnych, czworonożnych, skrzydlatych i tych z płetwami.

Przemysław Kozłowski

MATERIAŁ PARTNERA



PAŹ KRÓLOWEJ
(*Papilio machaon*)

To jeden z największych i najbardziej znanych motyli występujących w Polsce. Duże skrzydła wyglądające jak żółto-czarne witraże zakończone są ogonkami. To „nibyczułki", które odwracają uwagę napastników od głowy owada. Żyje na słonecznych łąkach pełnych roślin baldaszkowatych i w ogródkach, przy pietruszce czy koprze. Rośliną żywicielską pazia królowej jest dzika marchew i być może jest to odpowiedź na pytanie, której królowej jest paziem. Anglicy nazywają kwiat marchwi „koronką królowej Anny".



MARCHEW ZWYCZAJNA
(*Daucus carota*)

Nasi przodkowie metodą prób i błędów uczyli się, co jest jadalne. Ciekawe, czy podejrzewali, że biały korzeń marchwi w wyniku setek lat krzyżowania stanie się potężnym, pomarańczowym orężem rodziców całego świata w walce o warzywa w diecie dzieci. Marchew na łące też jest jadalna (choć nie polecamy). Kwitnie w drugim roku, jednak to proste słowo nie opisuje dobrze cudu, jakim jest ten wielki, koronkowy, biały baldach – stołówka dla setek owadów z dziesiątków ich gatunków.





Motyle o stanie świata

IZABELA DZIEKAŃSKA, MARCIN SIELEZNIEW:

Znakujemy, liczymy, obserwujemy motyle. Nawet gdy wieczorami jemy kolację w ogrodzie, zerkamy na kwiaty, czy jakaś ćma też nie ucztuje. Wtedy odbiegamy od stołu i fotografujemy.



JACEK TARAN

Marcin Sielezniew, lipiec 2017 r.

> Kiedy hodowaliśmy jedwabniki morwowe, gąsienice jeździły z nami od Przemyśla po Augustów, miały nawet wakacje na Ukrainie. Jak były w pełni wyrośnięte i pałaszowały liście morwy w bagażniku, nieustannie dobiegało stamtąd chrupanie.

MARIA HAWRANEK: Zaczęło się od siatki i szpilek?

MARCIN SIELEZNIEW: Tak, mam okazy z lat 80. na szpilce. Od dawna jednak uważam, że zbieranie motyli dziennych nie ma sensu poza wyjątkowymi sytuacjami uzasadnionymi potrzebami naukowymi. Polecam fotografowanie.

IZABELA DZIEKAŃSKA: Ja też pewnego dnia dostałam gablotki na początek kolekcji, ale uznałam, że żadnemu motylowi krzywdy nie zrobię. Chciałam je poznawać, podziwiać i chronić.

MS: Rodzice mówili: wyrośniesz z tego. Nie zachęcali i nie zniechęcali, choć mama podarowała mi „Motyle Polski" Jerzego Heintzego – później już zawsze miałem tę książkę przy sobie. Wiedziałem, że muszę się zajmować motylami. Wybrałem biologię na UW i byłem rozczarowany, że uczelnia nie posiada żadnych zbiorów entomologicznych. Sam hodowałem obiekty badawcze... Jest taka ćma, zmrocznik wilczomleczek. Ma bardzo ładne kolorowe gąsienice (*pokazuje*).

Wygląda trochę jak monarcha.

MS: Oba gatunki łączy to, że mają jaskrawe, odstraszające barwy. Gąsienice zmrocznika żerują na wilczomleczach, które są trujące, podobnie jak trojeście – rośliny żywicielskie monarcha.

Wracając do tematu: po UW znalazłem się w SGGW i tam poznałem Izę.

Dzięki motylom?

ID: Pisałam pracę magisterską o motylach Kampinoskiego Parku Narodowego. A kiedy Marcin powiedział, że chciałby założyć Towarzystwo Ochrony Motyli (które dziś razem prowadzimy), bardzo się do tego pomysłu zapaliłam.

Wyobrażam sobie, że o motylach gadacie non stop. Dzieci się nie nudzą?

ID: Nasza córka Aurelia z początku była ptasiarą, teraz uwielbia drapieżniki. Gustaw z kolei owady, choć niekoniecznie motyle, oraz płazy i gady. Poza szkołą prowadzą dzikie życie. Jesteśmy z Warszawy, w Białymstoku, gdzie od kilkunastu lat mieszkamy i pracujemy, nie mamy nikogo do pomocy, więc jeżdżą z nami w teren. Wychowują się na łąkach.

MS: Niedaleko Białegostoku, koło Tykocina, jest stanowisko modraszka ariona, którego larwy rozwijają się w mrowiskach. Znakowaliśmy motyle tego gatunku przez półtora miesiąca. To jest jedna wielka piaskownica, dzieci były zachwycone!

Jak wygląda Wasze życie w sezonie motylowym?

ID: Znakujemy, liczymy, fotografujemy, obserwujemy motyle, grzebiemy w mrowiskach. Gdy jesteśmy na naszym siedlisku, w chacie nieopodal Białegostoku, to nawet jak wieczorami jemy kolację w ogrodzie, co rusz zerkamy na kwiaty, czy jakaś ćma też nie ucztuje. Jeśli tak, odbiegamy od stołu i fotografujemy.

MS: A dwa lata temu hodowaliśmy jedwabniki morwowe do filmu „Czarna dama". Jego akcja rozgrywa się tuż przed wojną i motyw jedwabników odgrywa w nim ważną rolę. Jaja zamówiliśmy z Francji, gąsienice hodowaliśmy całe lato. Wszędzie je ze sobą woziliśmy.

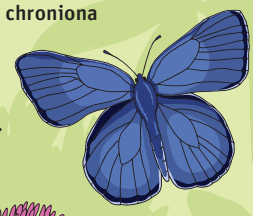
Dlaczego?

ID: Z hodowlami nigdy nie wiadomo. Gąsienice jeździły zatem z nami w pudełkach plastikowych, a później, jak się miały przepoczwarczać – w koszach. Samochód pełen był dzieci i gąsienic. Jak były w pełni wyrośnięte i pałaszowały liście w bagażniku, nieustannie dobiegało stamtąd chrupanie. One jedzą tylko liście morwy. W ogrodzie mamy jedną, cherlawą, więc namierzyliśmy morwowe miejscówki w okolicy – zatrzymywaliśmy się tam po drodze do Puszczy Białowieskiej, gdzie akurat prowadziliśmy badania. W Puszczy gąsienice leżakowały sobie w cieniu drzew, zjadając wszystko, co narwaliśmy, więc w drodze powrotnej zatrzymywaliśmy się w Hajnówce, gdzie też mieliśmy upatrzone drzewo.

MS: Jadły morwy od Przemyśla po Augustów, miały nawet wakacje na Ukrainie! ↦

MODRASZEK SEMIARGUS
(*Cyaniris semiargus*)

To rzadki i wymagający gatunek modraszka. Rozmnaża się tylko na koniczynach: łąkowej i pogiętej, o różowych kwiatach, na których pąkach składa jaja. Semiargus najchętniej rozmnaża się także w obecności mrówek (głównie hurtnic). Gąsienica wytwarza słodką wydzielinę, dla której mrówki ją „doją", i wydziela feromony, które zapobiegają ich atakowi. Umieszczona u wejścia do mrowiska poczwarka jest jednocześnie chroniona przed innymi drapieżnymi owadami i pasożytami.





KONICZYNA ŁĄKOWA
(*Trifolium pratense*)

Zbiór rycin holenderskiego uniwersytetu w Wageningen może postawić na głowie nasze wyobrażenia o roślinach. A raczej – do góry korzeniami. Przedstawiono tam rośliny wraz z ich częściami podziemnymi i okazuje się, że koniczyna łąkowa, roślina o wysokości 30 cm, sięga korzeniami 3 metry w głąb gleby. Również sucha masa korzeni jest wielokrotnie większa niż ziela. Składa się w dużej mierze z węgla pobieranego z atmosfery w postaci CO_2. Może to jakaś szansa?

↦ **W Polsce z około 3200 gatunków motyli tylko nieco ponad 150 stanowią motyle dzienne, reszta to ćmy. Po czym w ogóle je poznać?**

ID: To kwestia czułków. U motyli zawsze występują czułki buławkowate, przypominające pałeczki do cymbałków, cieniutkie i zgrubione na końcu. U ciem mogą być nitkowate, grzebykowate, pierzaste, no i, niestety, choć rzadko, buławkowate też. Więc po czułkach trzeba sprawdzić sposób ułożenia skrzydeł. Jak motyle odpoczywają, to zwykle składają skrzydła do góry, w żagielek, i widać ich spód. A ćmy bardziej w sposób dachówkowaty, do tyłu i w spoczynku widać ich wierzch.

Mylące jest także to, że ćmy potrafią być kolorowe, a motyle – szarobure. Istnieją ćmy, które latają w dzień i są kolorowe. Żeby naprawdę rozpoznać, czy to motyl, czy ćma, trzeba przeprowadzić dochodzenie: jak siedzi, wygląda, jakie ma czułki i kiedy lata. Jak lata w nocy – na pewno nie motyl. Ale jak za dnia – to już nie wiadomo.

MS: Ewolucyjnie sprawa wygląda tak, że pewna grupa ciem wyewoluowała w motyle. W skali świata motyle dzienne to 10 proc., w Polsce – 5 proc. Wiele gatunków, szczególnie tropikalnych ciem, wciąż jest nieopisanych.

Macie swoje ulubione? Mnie się podoba ten ze ssawką jak koliber.

MS: Zawisak – zapewne fruczak gołąbek. Ja lubię zorzynka rzeżuchowca, to wiosenny motyl.

ID: A ja mam słabość do fioletka. Jest malutki, ale waleczny. Samczyk potrafi się rzucić na wielkiego motyla innego gatunku – żałobnika. Na obrzeżach Puszczy Knyszyńskiej obserwujemy regularnie pewną populację fioletka, niestety z roku na rok ich liczba spada. To dlatego, że łąki są użytkowane bardzo intensywnie, wręcz pedantycznie, albo zarastają.

MS: Albo kosi się za często, albo nie kosi w ogóle.

A jak się nie kosi w ogóle, to dla motyli też niedobrze?

MS: Niedobrze, bo wszystko zarasta. Pod Krakowem prowadzono badania, z których wynika, że największa różnorodność motyli występuje na łąkach nieużytkowanych przez 10-15 lat. Motylom nie sprzyjają także inwazyjne gatunki nawłoci – kanadyjskiej i olbrzymiej. Są bardzo ekspansywne.

ID: Nawłoć to jest taka *femme fatale* – piękna, lubią ją motyle i pszczoły, dzięki temu mamy zresztą miód nawłociowy. Ludzi zachwycają monokultury kolorystyczne – uwielbiamy, jak żółć rozlewa się po krajobrazie. Pole rzepaku, łany nawłoci – bajka.

A ja widzę w tym łąkę, którą nawłoć nam zabrała. I rozmaite rośliny, na których żyła masa owadów, motyli, często rzadkich. Gdy zaczynałam badać motyle w Puszczy Kampinoskiej, dostałam namiary na miejsce, w którym ktoś obserwował modraszki telejusy. Jak przyjechałam, okazało się, że nie było już niczego poza nawłocią.

Na czym polega kłopot?

MS: Ona jest źródłem nektaru, ale nie wszystkie gatunki z niej korzystają. Poza tym motyle w odróżnieniu od pszczół muszą mieć przede wszystkim rośliny żywicielskie gąsienic. A tych roślin nie ma, ponieważ nawłoć je wydusza. Mamy półtora hektara ziemi i co roku wyrywamy kilkaset nowych pędów nawłoci. Nasiona nawiewa wiatr.

Nasza rodzima nawłoć jest w porządku?

MS: Nasza nawłoć pospolita jest niższa i nie tworzy łanów. Pozwala innym żyć.

To co sprawia, że motyli jest mniej? Intensywne koszenie, brak koszenia, ekspansja nawłoci?

ID: Tak, to wszystko. Poza tym rolnicy wysiewają mieszanki traw, by pasza była bardziej treściwa.

MS: Badamy motyla, który nazywa się niepylak mnemozyna. Gąsienice żerują na wczesnowiosennej roślinie, która nazywa się kokorycz i rośnie w lasach grądowych. Ale mnemozyna wymaga specyficznych warunków – luźnego drzewostanu, polan albo łąk w pobliżu. Zimują jaja, larwy rozwijają się niesłychanie szybko i motyle pojawiają się czasem już na początku maja. Jeśli rolnicy nawożą łąki odwiedzane przez motyle, stają się one ubogie w kwiaty, a tym samym w źródła nektaru.

Problemem jest też powszechna uprawa kukurydzy na paszę i biopaliwo – niektóre tzw. grądziki zasiedlane przez mnemozynę były do niedawna otoczone łąkami, a dziś kukurydzą.

ID: No i dopłaty.

Co z nimi?

ID: Rolnicy koszą łąkę, by dostać dopłaty. Zdarza się, że to skoszone siano nie jest w żaden sposób wykorzystywane – bele gniją albo są palone. A gdyby pomyśleć inaczej, gdyby zrobić dopłaty pod motyle?

Teraz są pod ptaki.

MS: Tylko że ptaki są zdecydowanie mniej wymagające, to motyle giną pierwsze. Dla niektórych ptaków łąkę trzeba skosić po 15 czerwca – więc rolnicy koszą zwykle tak szybko, jak tylko można, a jeżeli motyl w tym czasie jest w stadium larwy, to koniec. Najbezpieczniejsze jest późniejsze koszenie, w drugiej połowie września, ale wtedy siano jest słabej jakości.

Modraszek alkon, który składa jaja na goryczce wąskolistnej, żyje dwa, trzy tygodnie, zjadając rozwijające się nasiona. Potem spada na ziemię, jest adoptowany przez mrówki i zanoszony do mrowiska. Jeżeli skosi się tę roślinę, kiedy larwy są jeszcze w środku, to można zniszczyć większość populacji. I ubiegłego lata miała miejsce właśnie taka sytuacja.

ID: To było w Puszczy Białowieskiej. Rok wcześniej znakowaliśmy tam motyle. Wyszło nam, że populację można szacować na 1500 osobników. Czyli że jest to największe znane zagęszczenie modraszków alkonów w całej Europie – 850 motyli na hektar. Bo tej goryczki tam są po prostu łany, choć to rzadka roślina.

I latem znajomi dali nam znać, że część stanowiska została skoszona. Pojechaliśmy i rzeczywiście: leżało siano pełne kwiatów goryczek z jajami alkona. Nie mogliśmy na to patrzeć – był upał, one by się tam usmażyły! Nie namyślając się zwinęliśmy trochę tego siana. Paradoks polega na tym, że aby przetrzymywać gatunki chronione, trzeba mieć zezwolenie, ale by skosić łąkę i przy okazji wykosić gatunek chroniony – już nie. Nam szczęśliwie udało się szybko zalegalizować nasze działania w Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Białymstoku.

I co zrobiliście z tymi goryczkami pełnymi jaj?

ID: Przewieźliśmy je do nas na siedlisko, nocą je przebieraliśmy i wsadzaliśmy do wazoników. Butelki, słoiki – wszystko pełne bukietów goryczek z jajami. Przenieśliśmy je potem do balii i do wanny, żeby nie uciekły. Czekaliśmy aż wypadną gąsienice. Kłopot polega na tym, że one nie wypadają wszystkie na hura, tylko tak się sączą. A od momentu, gdy gąsienica wypadnie, w ciągu maksymalnie dwóch dni musi zostać znaleziona przez mrówki – inaczej traci „termin przydatności". Więc każdego ranka i wieczora zbieraliśmy gąsieniczki, wkładaliśmy je do lodówki i śmigaliśmy na stanowisko w Puszczy Białowieskiej, 70 km w jedną stronę, by je podrzucić blisko mrówek.

MS: Trzeba nożem rozgarniać darń, sprawdzać lupką, czy jest odpowiedni gatunek mrówek... Na tej łące jest pięć gatunków wścieklic, a alkon rozwija się tylko u jednego z nich.

ID: Trochę im ułatwiliśmy sprawę. Namierzaliśmy gniazda odpowiednich mrówek, po czym podrzucaliśmy je partiami w okolicy, po 15 gąsienic na mrowisko. I czekaliśmy, czy adopcja się uda. I tak reszta wakacji upłynęła nam na opiece nad gąsienicami.



ARCHIWUM PRYWATNE

Izabela Dziekańska

Motyle dzienne korzystają z energii słonecznej. Im chłodniej, tym częściej muszą przysiadać, a gdy temperatura jest za niska, w ogóle nie są w stanie wzbić się do lotu. To dlatego większość gatunków motyli jest nieaktywna przy zachmurzonym niebie – chyba że jest bardzo ciepło.

PRZEPLATKA CINKSIA
(*Melitaea cinxia*)

Przeplatka cinksia uczy nas doceniać chwasty. Ale nie te polne, które znamy i lubimy za kolorowe kwiaty oraz obfitą produkcję nektaru. Ten motyl potrzebuje do rozmnażania niepozornej babki lancetowatej – rosnącej, zdawałoby się, na każdym trawniku. Tymczasem wypowiedzieliśmy babce wojnę: kosimy ją i usuwamy z trawników, aby wyglądały jak gładka narzuta z aksamitu. Niszcząc babkę i uparcie kosząc trawę utrudniamy przetrwanie pięknemu gatunkowi motyla.



BABKA LANCETOWATA
(*Plantago lanceolata*)

Babka lancetowata jest rośliną niezwykle wytrzymałą. Kwitnie aż do późnej jesieni, za każdym razem wydając dwa duże nasiona doskonale przystosowane do czekania. Wiele z nich wykiełkuje dopiero po kilku latach, ale babka nie musi się spieszyć. Jej rozeta liści jest trwała i płaska – większość ostrzy kosiarek przelatuje nad nią, dlatego po zimie odbija. Potrafi przeprowadzić inwazję na dowolny trawnik w mieście. Zważając na jej pożyteczność, powinno nas to cieszyć.

Ile ich uratowaliście?

MS: Prawie tysiąc.

ID: Populacja modraszków alkonów jest niesamowita, a związany z nią jest jeszcze pasożyt, rzadszy skądinąd niż ten rzadki motyl. I z tym pasożytem to już jest naprawdę *science fiction*.

On je musi znaleźć w tych mrowiskach?

ID: Tak, i żeby się do nich w ogóle dostać, na wejściu emituje feromony, które powodują, że mrówki, zamiast go atakować, zaczynają się bić między sobą. Wywołuje wojnę domową.

MS: Modraszki alkony to kukułki, ich larwy pachną atrakcyjnie dla tych mrówek, nawet naśladują dźwięki, które wydają królowe. Zresztą dźwięki wydawane przez motyle można czasem usłyszeć. Jest taki motyl zieleńczyk ostrężyniec, z zielonymi skrzydełkami, jego poczwarki wydają dźwięki przypominające tykanie zegara, które przyciągają mrówki.

A co robi ten pasożyt modraszka alkona?

ID: Znajduje gąsieniczkę alkona i składa jajeczko. Jak jest więcej gąsienic, to może każdej zaaplikować. Opuszcza mrowisko nie niepokojony, mrówki się uspokajają, gąsienica dalej żyje, jest karmiona, rośnie i w końcu się przepoczwarcza. Wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale my potrafimy rozpoznać, że tak nie jest. Bierzemy ją pod światło i jeśli widać bąbelki, to wtedy wiemy, że z poczwarki nie wyjdzie motyl, tylko pasożyt.

Mrówki myślą, że karmią larwę królowej, która z kolei myśli, że jest larwą motyla, a w rzeczywistości będzie pasożytem.

ID: O mały włos Marcin nie poznał przy tej okazji Davida Attenborough!

MS: Pomagałem jego ekipie w kręceniu ujęć do filmu „Zadziwiające życie bezkręgowców". Pasożyty występujące w filmie pochodziły ze Świętokrzyskiego, więc można powiedzieć, że zajmowałem się castingiem potrzebnym do nagrania całego cyklu życiowego tego motyla i jego pasożyta.

W Waszej książce przeczytałam, że motyle czerpią energię do lotu ze słońca.

MS: Motyle dzienne są, fachowo mówiąc, ektotermiczne i heliofilne, czyli słońcolubne, korzystają z energii słonecznej. Ubarwienie w połączeniu z ustawieniem skrzydeł pozwala zoptymalizować nagrzewanie promieniami słońca. Skrzydła zbierają energię, ale jej nie magazynują. W czasie lotu następuje wychłodzenie – im chłodniej, tym częściej motyle muszą przysiadać, a gdy temperatura jest za niska, w ogóle nie są w stanie wzbić się do lotu. Większość gatunków motyli jest nieaktywna przy zachmurzonym niebie – chyba że jest bardzo ciepło, wtedy czasem coś lata.

Skąd taka ścisła zależność między gatunkiem motyla a rodzajem rośliny, którym się żywi? Monarcha je tylko trojeść; modraszek alkon – goryczkę wąskolistną; szlaczkoń szafraniec – szczodrzeniec; czerwończyk fioletek – rdest wężownik.

MS: Rośliny bronią się, produkując substancje czyniące je niesmacznymi. Goryczka ma niewielu amatorów, wilczomlecz podobnie. Niektóre motyle sobie z tym radzą, a „niesmaczność" wykorzystują do swojej obrony – mniejsze jest prawdopodobieństwo, że taką roślinę ktoś zje, a wraz z nią – jajo czy gąsienicę. Jest to też kwestia specjalizacji pokarmowej – konkurencja jest mniejsza. Gdyby wszyscy jedli wszystko, trudniej byłoby o zasoby dla populacji poszczególnych gatunków.

Czyli motyle często wybierają rośliny niesmaczne?

ID: Tak, ale nie jest to jedyna zasada.

MS: Często nie wiemy, jakie są wymagania rzadkich motyli. Wiemy, że żerują na jakichś trawach i turzycach, których wszędzie pełno. Istotne są też pewne cechy środowiska, mikroklimat.

ID: Weźmy modraszka ariona.

MS: Wyginął w Anglii, bo gatunek mrówki, który jest mu potrzebny do rozwoju, występuje w niskiej murawie. Z przyczyn ekonomicznych wypas owiec zanikł, do tego pojawiła się epidemia myksomatozy, która wybiła króliki, w efekcie murawa zrobiła się wyższa. I mimo że zachowała się macierzanka, na której arion składa jaja, to okazało się, że zmienił się skład gatunkowy mrówek. A zatem jaja były, gąsienice się rozwijały, ale trafiały do nieodpowiednich gniazd i koniec.



Fot. Dawid Linkowski

Przestrzeń dla piękna

Katarzyna Gruszecka-Spychała, wiceprezydent Gdyni:

„Szukamy harmonii i piękna, które oferuje nam nowy Bauhaus. Ziarno padło na żyzny grunt.

GRZEGORZ NUREK: Jak Pani rozumie ideę nowego europejskiego Bauhausu?

KATARZYNA GRUSZECKA-SPYCHAŁA: Trudno na to pytanie odpowiedzieć jednym zdaniem, bo nowy Bauhaus to trochę nowy porządek świata. Jest interdyscyplinarny, obejmuje wiele aspektów życia. W języku angielskim do nazwy programu przypisane są trzy hasła: beautiful, sustainable, together: piękny, zrównoważony, wspólnie. Muszę powiedzieć, że dla mnie najważniejsze jest słowo „wspólnie", bo w samorządności najistotniejsza jest wspólnotowość. Nowy europejski Bauhaus być może pozwoli nam lepiej żyć, jeśli w ogóle będzie dało się żyć na planecie, którą już tak zniszczyliśmy.

Jak Gdynia zamierza się włączyć w ten wielki projekt kulturowy dla Europy?

To, że jest kulturowy, uważam za niezmiernie ważne, wręcz definiujące. Ale on wykracza poza te ramy. To program przebudowy świadomości, nie poprzez indoktrynację, ale poprzez namawianie do dialogu, zachęcanie do refleksji, jak sobie wspólnie z danym problemem czy wyzwaniem poradzić. Chcemy, aby idea życia zrównoważonego i ekologicznego, w którym jest miejsce na piękno, stała się tematem, który angażuje emocje.

Nowy Bauhaus miałby być m.in. budowaniem pięknych i zrównoważonych przestrzeni do wspólnego życia po pandemii, zieloną i cyfrową transformacją. Jak widzi Pani w tym kontekście Gdynię przyszłości?

Jednym z podstawowych zagadnień, które musimy brać pod uwagę, jest kwestia przestrzeni wspólnej rozumianej jako wspólne dobro. Mamy w Polsce – stawiam taką zadziorną tezę – problem z rozumieniem dobra wspólnego i dbałością o nie. Gdyby udało się nam dzięki debatom, spacerom, zajęciom dla młodzieży rozbudzić taką świadomość, byłabym szczęśliwa. Ważnym akcentem, który niekiedy umyka, gdy rozmawiamy o zmianach, są inkluzywność i dostępność. Mówiąc o dostępności, mam na myśli brak barier dla osób z niepełnosprawnościami, zwrócenie uwagi na nawierzchnię dróg i chodników, ułatwiającą lub utrudniającą jazdę wózkiem czy spacer w szpilkach. Inkluzywność dotyczy kwestii społecznych – wykluczeń, które przez pandemię jeszcze się pogłębiły. Imigranci, osoby wykluczone cyfrowo...

Powstanie więcej mikroparków, przestrzeni zielonej?

To warunek dobrego życia. Zarówno w wymiarze czysto biologicznym (dotlenienie), jak i psychicznym (spacer w cieniu podczas upałów). W tej chwili prowadzimy program, który ma uczynić Gdynię zieleńszą. Nie zapominajmy, że miejsca zielone mają też wymiar wspólnotowy – można się tu spotkać i zintegrować, omówić sprawy dzielnicy czy wspólnoty mieszkaniowej.

Czy potrzebne są ułatwienia prawne, aby zmieniać otoczenie na bardziej przyjazne, zielone i funkcjonalne?

Zapewne system planowania przestrzennego wymagałby poprawy. Ale nawet w tym systemie, który mamy, jesteśmy w stanie sensownie planować przestrzenie zielone. Tu raczej chodzi o przebudowanie świadomości właścicieli ziemi i deweloperów.

Pomysł przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen zakłada współpracę naukowców, architektów, inżynierów. Ma szansę na powodzenie?

Gdybym nie wierzyła w szansę powodzenia, nie angażowałabym się w realizację tego projektu tak mocno. Pierwszy Bauhaus też traktowany był przez niektórych jako mrzonka. A przecież gdyby nie wybuch wojny, jego dorobek byłby jeszcze bardziej imponujący. Szukamy harmonii i piękna, które oferuje nam nowy Bauhaus. Ziarno padło na żyzny grunt.

Pandemia zamroziła turystykę. Jaki pomysł na ponowne przyciągnięcie turystów do miasta mają władze Gdyni?

Gdynia nie jest typowym resortem turystycznym. Zawsze byliśmy miastem spotkań. Stawialiśmy na to, co jest elementem nowego Bauhausu – zrównoważenie, ład i harmonię. Chcielibyśmy, aby każdy, kto tu trafi, czuł się dobrze, a po wyjeździe zachował przepiękne wspomnienia. Chcemy odwiedzającym zapewnić bogatą ofertę kulturalną i sportową. Nie możemy jeszcze zaprosić na klasyczny Open'er, ale wierzymy, że i tego wkrótce doczekamy. Tak jak powitania gości konferencji i kongresów. Wierzymy, że warto wspierać branżę gastronomii, która wpadła w poważne tarapaty. Obserwujemy wzrastający trend aktywnego spędzania wolnego czasu w otoczeniu natury. Mamy szczęśliwie wokół Gdyni wiele lasów i parków, a w nich dobrze oznakowane i utrzymane ścieżki rowerowe.

Rozmawiał Grzegorz Nurek

MATERIAŁ PARTNERA

TYMOTKA ŁĄKOWA

(*Phleum pratense*)

Trawa też może być cenna. Znamy z ogrodów chińskie trawy ozdobne. Miejscowe też są czasem urokliwe, mają różnorodne kłosy, ale rzadko te kwiatostany widujemy. Miasta ich nie lubią, bo uczulają (w przeciwieństwie do roślin dwuliściennych z łąk kwietnych). Wsie ich nie lubią, bo miękkie, słodkie, pożywne źdźbła drewnieją po wykłoszeniu. Trawa jest więc koszona maszynowo i zbierana. To zabija larwy motyli. Krowo, wróć!



KOSTERNIK PALEMON

(*Carterocephalus palaemon*)

Kosternik palemon przypomina – zwłaszcza nam, zwolennikom zakładania łąk kwietnych – że nie wolno przesadzać. Zakładając łąkę kwietną najlepiej usunąć z wybranego miejsca trawę, aby zasiane rośliny miały czas wykiełkować. Kiedy mówimy o likwidacji wszędobylskich trawników, musimy być precyzyjni: nie znaczy to, że trawy mają zniknąć! Są potrzebne wielu motylom jako pokarm dla gąsienic, jak choćby palemonowi.

↦ **A jak na motyle wpływają zmiany klimatyczne?**

MS: Na wiele sposobów. Często zmieniają zasięgi ich występowania.

Poza tym ze względu na wydłużony okres wegetacyjny pewne gatunki, które do tej pory miały na naszej szerokości geograficznej jedno pokolenie w ciągu roku, nagle mają ich więcej, np. czerwończyk fioletek, czerwończyk nieparek, rusałka pawik – pół wieku temu to wszystko były gatunki jednopokoleniowe. A teraz zawsze mają dwa pokolenia, a fioletek czasem nawet trzecie.

Teoretycznie brzmi dobrze – mamy więcej motyli w ciągu roku.

ID: Tylko że każdy gatunek ma swoje preferencje, jeśli chodzi o zimowanie. Jeżeli zimuje w stadium larwy podrośniętej albo poczwarki, ale jeszcze w nim nie jest, gdy przychodzi ochłodzenie, to ginie.

MS: Inna rzecz, że następuje rozminięcie fenologii gatunku motyla z rodziną żywicielską.

To znaczy?

MS: Na przykład gąsienice budzą się ze snu zimowego, a roślin jeszcze nie ma. I umierają z głodu albo siedzą na bezlistnych pędach wystawione na atak owadożernych ptaków.

Nie dziwię się, że motyle nazywa się bioindykatorami. Czytałam, że krępak nabrzozak w XIX-wiecznym Manchesterze zmienił kolor z jasnego na ciemny ze względu na smog. Co motyle mówią nam o stanie świata?

ID: Mówią, gdy znikają. Wiele się dyskutuje o masowym ginięciu owadów – w dużej mierze te wnioski oparte są właśnie na badaniach motyli.

Motyle dzienne to grupa wskaźnikowa, łatwo je badać, dużo ludzi jest w to zaangażowanych, świetnie nadają się do tzw. *citizen science*, nauki obywatelskiej. Ich obserwacja nie wymaga wiedzy specjalistycznej, rzucają się w oczy.

W Wielkiej Brytanii monitoring motyli bazujący na wolontariuszach działa od 1976 r., wiele innych krajów europejskich dołączyło, my też próbujemy to wprowadzać w Polsce.

Na czym to polega?

ID: Chodzi się na tzw. motylowe spacery i liczy, ile się tych motyli spotka – nie tylko ile gatunków, ale przedstawicieli danego gatunku. Dzięki takim długoletnim obserwacjom wiemy, że w Wielkiej Brytanii od lat 70. wyginęło osiem gatunków motyli. Wiemy też, że o 50 proc. spadła liczebność wszystkich, a to znaczy, że już jest bardzo źle. Motyle są niezwykle wrażliwe na zmiany.

Na temperaturę?

ID: Tak, i na suszę, bo wtedy jest mało nektaru. Owady są nam niezbędne, bo zapylają, ale nie lubię, gdy patrzy się na motyle przez pryzmat korzyści, jakie nam przynoszą. Tak czy owak idziemy w stronę eksterminacji. Osuszamy, wykaszamy. Na terenach podmiejskich i w miastach mało jest dla motyli przestrzeni.

To co możemy robić, oprócz tego, że liczyć motyle? Siać dla nich łąki kwietne?

ID: Jak najbardziej, tylko warto pamiętać, że motyle potrzebują prócz kwiatów także naszych rodzimych dzikich roślin stanowiących pokarm gąsienic. Przestańmy tępić „chwasty", bo „psują" trawnik. Zostawmy je same sobie, a być może łąka sprawi, że w okolicy zaroi się od motyli.

©℗ Rozmawiała MARIA HAWRANEK

IZABELA DZIEKAŃSKA – autorka i ilustratorka książki dla dzieci „Motyle dzienne i nocne". Doktorantka na Wydziale Biologii Uniwersytetu w Białymstoku, prowadzi na Facebooku stronę „Łaskotani motyla skrzydłami".

MARCIN SIELEZNIEW – doktor habilitowany nauk biologicznych, profesor Uniwersytetu w Białymstoku. Członek Komisji Ochrony i Zarządzania Zasobami Przyrodniczymi przy Oddziale PAN w Olsztynie i w Białymstoku.

Wspólnie napisali książki „Fauna Polski. Motyle dzienne", „Motyle dzienne Białegostoku" oraz założyli Towarzystwo Ochrony Motyli w Polsce i koordynują monitoring motyli dziennych w Polsce w ramach europejskiej sieci butterfly-monitoring.net.



JEFF J DALY / ALAMY / BEW

Zdjęcie poklatkowe przedstawiające lot motyli przyciąganych jasnym światłem

Lekcje zachwytu i rozpusty

KAROLINA IWASZKIEWICZ

Gdy chiński myśliciel Zhuangzi śnił, że jest motylem, czuł się lekki, wolny i szczęśliwy. Motyl ze współczesnej teorii chaosu przydaje lekkości determinizmowi, przypominając, jak mało jesteśmy w stanie przewidzieć.

„JEŻELI PIERWSZY MOTYL, którego zobaczy się na wiosnę, jest żółty, to lato będzie wesołe – pisze Tove Jansson. – Jeśli jest biały, będzie to tylko spokojne lato". W tym roku mój pierwszy motyl był złocisty, tak jak wtedy, w Dolinie Muminków. W końcu z punktu widzenia lepidopterologii mól włosienniczek też się liczy.

Zwykle mówiąc „motyl" mamy na myśli latającego za dnia owada o kolorowych skrzydłach, ale mole i ćmy to także motyle. W zasadzie większość (prawie 90 proc.) łuskoskrzydłych (*Lepidoptera*), bo tak je nazywają fachowcy, to ćmy. Motyle to również włochate liszki, niepozorne robaki w owocach i fantazyjnie ubarwione gąsienice. Bo każdy motyl to w gruncie rzeczy dwie skrajnie różne istoty: przyziemna larwa i skrzydlate imago. Arystoteles twierdził, że duża część insektów powstaje na drodze samorództwa – z rosy, błota, gnoju, sierści, padliny. U Pliniusza można przeczytać, że „większość owadów rodzi robaczka", lecz wiele powstaje dzięki rosie, niektóre biorą się z deszczu, inne z drewna, a „z kurzu rodzą się w wełnie i odzieży mole, zwłaszcza gdy wraz z nią zostanie zamknięty pająk".

Lalka, maska i krwawy deszcz

Na początku jednak zawsze jest po prostu jajo. Kilkumilimetrowe, składane na liściach pieczołowicie wybranych roślin, niekiedy z narażeniem życia (jak w przypadku piórolotka bagniczka, którego gąsienice żywią się liśćmi rosiczek). ↦



SIEGFRIED KRAMER / BEW

Szklanoskrzydła Greta oto na kwiatach anturium

↦ Choć są też motyle, które po prostu zrzucają jaja w locie niczym bomby. Z jaja wykluwa się larwa. Jej główne zadanie to jeść i rosnąć – także za imago, które już nie zmieni rozmiaru. I jest w tym naprawdę dobra. Gąsienice niektórych gatunków potrafią przybrać na wadze nawet parę tysięcy razy. Żywią się głównie roślinami, ale istnieją i takie, które polują na mszyce, muchy, motyle lub ślimaki, pasożytują na innych owadach, wybierają ich zwłoki z pajęczych sieci i dzbanków owadożernych roślin lub zjadają ich larwy i jaja. Gąsienice barciaka większego, zwanego dawniej miodolizem, wyjadają z uli wosk, a gąsienice modraszków stołują się u mrówek, oszukanych podrobionym mrówczym zapachem lub przekupionych słodką wydzieliną – czasem tylko pozwalają karmić się pożywieniem przeznaczonym dla larw gospodyń, a czasem pożerają same te larwy.

Po kilku dniach lub tygodniach gąsienica zmienia się w poczwarkę (po łacinie *pupa*, czyli „dziewczynka" lub „lalka" – Linneuszowi, który nadał jej tę nazwę, skojarzyła się z dzieckiem skrępowanym powijakami), czyli w sztywny rogaty śpiworek, w którym odbywa się najbardziej fascynujący etap rozwoju motyla – metamorfoza.

> Pozornie beztroskie latanie z kwiatka na kwiatek to strategia obronna – kogoś, kto porusza się szybko i chaotycznie, trudniej upolować. Gatunki trujące mogą latać wolniej i stateczniej – te najbardziej toksyczne prawdopodobnie nawet muszą.

Cykl życiowy owadów długo zbijał przyrodników z tropu. W XVII w. Johannes Goedaert dziwił się, że z martwych gąsienic powstają żywe motyle. Dopiero nieco później Jan Swammerdam ustalił, że metamorfoza to nie zmartwychwstanie (choć dziś wiemy, że jest to coś nie mniej zdumiewającego: większość larwy się rozpuszcza, imago zaś rozwija się z uśpionych do tej pory dysków imaginalnych, które w sobie nosiła), a gąsienica i motyl to jedna i ta sama istota. Mimo to jeszcze w pierwszej połowie XIX w. przeobrażenie budziło nieufność. Charles Darwin wspomina w swoich dziennikach o pewnym niemieckim uczonym aresztowanym w Chile za herezję, ponieważ przemieniał gąsienice w motyle.

Nieufności można się też zresztą dopatrzyć w łacińskiej nazwie *larva*, którą Linneusz nadał stadium poprzedzającemu poczwarkę: znaczy ona „maska" – jakby

gąsienica była tylko przebraniem motyla. W dodatku wiele gąsienic stara się także nie wyglądać jak gąsienice. By uniknąć śmierci w ptasim dziobie, udają listki, kwiaty i gałązki, stroją się w kawałki zjadanych roślin albo upodabniają do mrówek, pszczół, szerszeni lub węży. Te bardziej prostolinijne są po prostu trujące lub jadowite, o czym informują jaskrawym ubarwieniem – to jednak również nie wzbudza zaufania.

Gdy przebudowa dobiega końca, imago, zwane też owadem doskonałym, wydostaje się z poczwarki i pompuje skrzydła, a z jego odwłoka wypływa czerwony płyn – to po prostu nagromadzone podczas metamorfozy produkty przemiany materii, ale gdy motyli jest więcej, efekt może być nieco złowrogi; dawniej mówiono o krwawym deszczu.

Imago jest dużo bardziej skomplikowane niż gąsienica, bo ma trudniejsze zadanie niż tylko jeść i rosnąć (i nie dać się zjeść) – musi się rozmnożyć (i nie dać się zjeść), a to wymaga całego arsenału środków i umiejętności.

Z kwiatka na kwiatek

Dorosłe motyle widzą kolory i ultrafiolet, ich pole widzenia sięga nawet 360 stopni, czują zapachy wydzielane przez potencjalnych partnerów (czułkami) i smaki (nogami), co pomaga im wybrać roślinę odpowiednią do złożenia jaj. Wiele ciem ma doskonały słuch – dzięki temu, że słyszą ultradźwięki, potrafią się w porę zorientować, że właśnie namierza je nietoperz. Niektóre same umieją wydawać dźwięk – płoszą w ten sposób nietoperze lub zakłócają działanie ich sonarów, ale są również gatunki, które wykorzystują tę zdolność do śpiewania pieśni miłosnych.

Charakterystyczne wielobarwne skrzydła motyle zawdzięczają maleńkim łuskom. Istnieją łuski wydzielające feromony (część z tych zapachów jest wyczuwalna też dla ludzi) i takie, które odbijają promieniowanie UV, a nawet łuski pochłaniające fale akustyczne. Kolorowe skrzydła działają jak panele słoneczne, pomagają komunikować się z potencjalnymi partnerami i odstraszać wrogów lub się przed nimi ukrywać – bo dorosłe motyle, podobnie jak gąsienice, także chętnie uciekają się do maskujących przebieranek i krzykliwych ostrzegawczych barw.

Pozornie beztroskie latanie z kwiatka na kwiatek to również strategia obronna – kogoś, kto porusza się szybko i chaotycznie, trudniej upolować. Gatunki trujące mogą latać wolniej i stateczniej – te najbardziej toksyczne prawdopodobnie nawet muszą, bo większa aktywność spowodowałaby wzrost temperatury i przyspieszenie metabolizmu, przez co trucizna obecna w ciele motyla mogłaby zaszkodzić jemu samemu.

Długość cyklu rozwojowego u różnych gatunków jest wieloraka. Niektóre łuskoskrzydłe mają kilka pokoleń w ciągu roku, inne tylko jedno. Część motyli w jednym ze stadiów zimuje. Imago żyje zwykle tydzień lub dwa, czasem kilka miesięcy; najdłużej u tych gatunków, które zimują w dorosłej postaci – choć wówczas połowa owego dorosłego życia mija w uśpieniu.

U niektórych gatunków dla różnych pokoleń przewidziane są zupełnie odmienne życiowe scenariusze. Jesienne monarchy ruszają spod granicy USA i Kanady na południe, pokonują około czterech tysięcy kilometrów i docierają do Meksyku – akurat na święto zmarłych, dlatego uważa się je tam za dusze przodków przybywające z wizytą. Obsiadają drzewa – w takich ilościach, że gałęzie łamią się czasem pod ich ciężarem – i zapadają w hibernację, a wiosną budzą się i ruszają z powrotem na północ. Nie dolatują jednak do miejsca, w którym się urodziły – dotrą tam dopiero ich praprawnuki. Droga na południe to sztafeta kilku kolejnych, żyjących zaledwie po parę tygodni letnich pokoleń.

Nadmiar kolorów, brak idei

O ile larwy wielu motyli uważamy za szkodniki, o tyle wersje dorosłe cieszą się naszą sympatią – może z wyjątkiem moli. Ta sympatia długo jednak przybierała formę dla swojego obiektu bardzo nieszczęśliwą. Bo tak się pechowo składa, że łuskoskrzydłe nie tylko są piękne, ale też nie blakną po śmierci.

Przez kilka stuleci kolekcjonowanie motyli było popularnym i prestiżowym hobby – oddawali mu się między innymi Churchill, Rothschildowie i Nabokov – uważanym za odpowiednie nawet dla duchownych i starszych chłopców. Mimo że jego nieodłącznym elementem było brutalne zabijanie – przeszywanie szpilką żywcem, miażdżenie głów palcami, zatruwanie w słoiku – widziano w nim przejaw miłości do natury, a chłopców najwyraźniej darzono większym zaufaniem niż dzisiaj. W wydanych w 1894 r. „Butterflies and Moths" autor radzi młodemu czytelnikowi: „jeśli jesteś dość duży, by można ci było powierzyć zabójczą truciznę, dostaniesz cyjanek od chemika, który dobrze cię zna i ma jasność co do twoich intencji". Hobby wymagające uśmiercania żywych istot uznawano jednak za niestosowne dla kobiet. Krewni XVII-wiecznej angielskiej entomolożki Eleanor Glanville, chcąc podważyć jej testament, dowodzili, że interesowała się motylami, ponieważ była szalona.

W drugiej połowie XX w. moda na zbieranie owadów przeminęła. W kolekcjach dostrzeżono zbiory zwłok, a samych ↦

Jaja motyla złożone na liściu jarmużu, obok widoczna gąsienica



ADOBE STOCK

↦ kolekcjonerów zaczęto postrzegać najpierw jako ekscentryków, a potem wręcz psychopatów. W „Kolekcjonerze" Johna Fowlesa zbieracz motyli staje się zbieraczem kobiet. Seryjny zabójca kobiet z „Milczenia owiec" hoduje ćmy. Ci, co kochają przyrodę, biegają dziś po łąkach z aparatem, nie z siatką.

Dzisiejsi autorzy piszący o owadach często wspominają, że kiedy byli mali, było więcej motyli. Fakty są nieubłagane: łuskoskrzydłe wymierają – ale takie spostrzeżenie można znaleźć i w jednym z wierszy Juliana Tuwima. Być może motyli w dzieciństwie zawsze jest więcej, bo kojarzą się przede wszystkim z beztroską. Gdy jakieś trzysta lat przed naszą erą chiński myśliciel Zhuangzi śnił, że jest motylem, czuł się lekki, wolny i szczęśliwy. Motyl ze współczesnej teorii chaosu przydaje lekkości determinizmowi, przypominając o tym, jak mało jesteśmy w stanie przewidzieć. Chociaż zdarzają się i nieżyczliwi, dla których ta lekkość jest po prostu niemądra. Konstanty Ildefons Gałczyński zarzuca motylom „niepoważny stosunek do życia, nadmiar kolorów, brak idei". „Głupiutkie", mówi Zaratustra Friedricha Nietzschego.

Prosto z Peweksu

Motyle są czymś pięknym, luksusowym i pożądanym (nie od dziś robią karierę w reklamie – to motyl był przecież symbolem Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego „Pewex"), lecz także nieuchwytnym, ulotnym („skrzą się, błyszczą i giną" – jak szczęście, pisze Hermann Hesse) i łatwym do spłoszenia, o czym boleśnie przekonuje się inżynier Karwowski w „Motylem jestem". Cóż, może nie ma się czemu dziwić, jeśli powstają, jak chce Victor Hugo, z podartych listów miłosnych.

Bywają też symbolem upragnionej wolności dla tych, dla których ciało jest więzieniem. Chory na porażenie mózgowe Przemek, sportretowany w filmie „Jak motyl" w reż. Ewy Pięty, porozumiewa się z innymi za pomocą pisma Blissa – wybiera odpowiednie symbole „mrugając powieką jak motyl skrzydłami". Jean-Dominique Bauby, unieruchomiony przez wylew redaktor naczelny magazynu „Elle", podyktował książkę „Skafander i motyl" wskazując mruganiem kolejne litery. Skafander to jego bezwładne ciało, motyl – umysł, który wciąż może odbywać dalekie podróże.

Zresztą łuskoskrzydłe od dawna kojarzą się z tym, co bezcielesne. Greckie słowo oznaczające motyla, *psyche*, znaczy także „dusza". Jeszcze w XVII-wiecznej Irlandii nie wolno było zabijać białych motyli, bo uważano je za dusze dzieci. Cykl życiowy tych owadów doczekał się też sugestywnej interpretacji religijnej – święty Bazyli i święty Ambroży widzieli w nim symbol zmartwychwstania: człowiek, jak motyl, od doczesnej larwy zmierza ku doskonałości przez poczwarkę grobu (świecką wersją tej metafory zabawia się w „Poczwarce" holenderski biolog Midas Dekkers, dowodząc, że larwa to ludzkie dziecko, a poczwarka – pryszczaty nastolatek).

> Angielski przyrodnik Thomas Moffet widział w motylach lekcję skromności i memento mori. Jego rodak John Ray twierdził, że są ozdobą świata, stworzoną przez Boga dla naszej uciechy. Z punktu widzenia natury sprawa ma się zupełnie inaczej.

Dusze cenzorów i lekcje skromności

Beztroski motyl dzienny ma swoje mroczne *alter ego*, „brudne nocy plemię", szaloną samobójczynię – ćmę. Według brytyjskich podań ludowych biała ćma wylatuje z ust śpiącej wiedźmy, by w nocy załatwiać jej sprawy. Gustaw z „Dziadów" twierdzi, że ćmy to potępione dusze tych, co walczyli z oświatą (między innymi cenzorów). Najbardziej złowrogim PR-em cieszy się chyba jednak zmierzchnica trupia główka, *Acherontia atropos* (od płynącej przez krainę umarłych rzeki smutku i Mojry przecinającej nić życia) – w Afryce wierzono, że ma śmiercionośne żądło, a w Europie, że łuski spadające z jej skrzydeł mogą spowodować ślepotę; i być może to właśnie w niej wskutek zaburzenia perspektywy bohater „Sfinksa" Edgara Allana Poego widzi potwora wielkiego jak (późniejsza o ponad wiek) Mothra, która walczyła z Godzillą.

Ale i motyle dzienne występują czasem w mrocznych rolach. Na „Sądzie Ostatecznym" Hansa Memlinga można zobaczyć diabły o skrzydłach rusałki pokrzywnika i rusałki admirała, jeden z upadłych aniołów Pietera Bruegla ma skrzydła pazia królowej, a w „Ogrodzie rozkoszy ziemskich" Hieronima Boscha pojawia się demon z ptasim dziobem i skrzydłami przestrojnika jurtiny. Z dzieciństwa pamiętam też przycupniętego na ludzkim palcu monarcha z reklamy Xanaxu – bardzo się go bałam.

Dość długo uważano, że motyle, zwłaszcza te dzienne, są w zasadzie bezużyteczne. XVI-wieczny angielski przyrodnik Thomas Moffet widział w nich co najwyżej lekcję skromności i *memento mori*. W XVII w. jego rodak John Ray twierdził, że są po prostu ozdobą świata, stworzoną przez Boga dla naszej uciechy.

Z punktu widzenia natury sprawa ma się oczywiście zupełnie inaczej: łuskoskrzydłe są niezbędne, bo stanowią bardzo ważny element ekosystemów – zapylają, zjadają i są zjadane. Bez nich zginęłoby wiele owadów, pająków, żab, jaszczurek, myszy, nietoperzy i ptaków. Storczyk *Angraecum sesquipedale*, który zdumiał Darwina swoją niezwykle głęboką ostrogą, nie mógłby istnieć bez zapylającej go ćmy o zaskakująco długiej ssawce, a leniwcom bez ciem dużo trudniej byłoby hodować pożywne glony w swych futrach.

Ale nawet gdy udzielając odpowiedzi staramy się wyjrzeć poza czubek ludzkiego nosa, samo pytanie o rację istnienia motyli pozostaje właściwie dość małostkowe. Jeśli chcemy, by czegoś nas nauczyły, może niech będzie to lekcja zachwytu?

Wiemy – pisze brytyjski entomolog Dave Goulson – że część wzorów pokrywających ich skrzydła to kamuflaż, „że duże plamki mogą odstraszać drapieżniki, a jaskrawe kolory wabić partnera albo ostrzegać wroga, że motyl jest trujący, ale poza tym w zasadzie nie mamy pojęcia, czemu całe to piękno służy – jeśli w ogóle czemuś służy". Może – sugeruje Roger Caillois – ta „rozpusta form, motywów i kolorów" to nadmiar, którego nie tłumaczą żadne praktyczne względy, luksus, który pokazuje, że naturą rządzi nie ekonomia, jak skłonni jesteśmy myśleć, lecz oszałamiająca rozrzutność? Przyroda ma więcej fantazji, niż nam się wydaje.

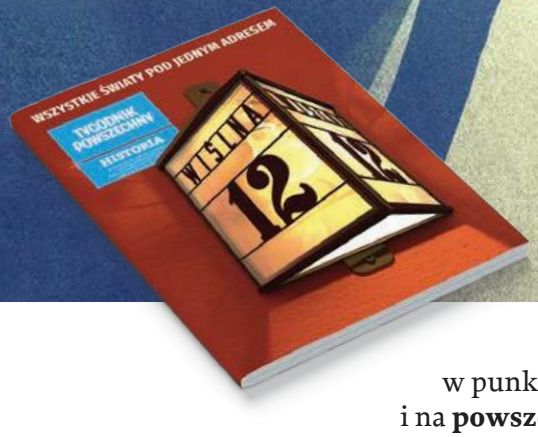
© KAROLINA IWASZKIEWICZ

Premiera!

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego
- Ks. Boniecki w kuchni



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

weź, czytaj!

Już w sprzedaży
w punktach z dobrą prasą
i na **powszech.net/wislna12**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WYDANIE WSPIERA

zaiks sprzyjamy wyobraźni

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

ECS europejskie centrum solidarności

DUŻE KOŁO Fundacja

znak

Polska Rada Biznesu

Copernicus Center

Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca

Walstead



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Czerwona obręcz", reż. Joonas Berghäll, Finlandia 2021

Przeszukiwanie mroku

KRZYSZTOF GIERAT, DYREKTOR KRAKOWSKIEGO FESTIWALU FILMOWEGO

W tym roku na Festiwalu pojawi się wiele dokumentów śledczych. Bardziej jednak niż o odkrycie prawdy chodzi w nich o zrozumienie świata filmowanego.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Widać pandemię w tegorocznych filmach festiwalowych?

KRZYSZTOF GIERAT: Jeszcze pół roku temu obawiałem się, że dostaniemy niemal wyłącznie filmy zrobione wśród bliskich, w zamknięciu, kręcone telefonem. I owszem, było ich sporo, ale wybieraliśmy spośród nich bardzo ostrożnie, skupiając się przede wszystkim na projektach oryginalnych i nietypowych. W konkursie krótkometrażowym mamy na przykład film „Blokada", który opowiada o pierwszym lockdownie we Francji, ale z perspektywy ludzi bezdomnych. To sytuacja odcięcia zupełnie à rebours, bo w ich przypadku nie chodzi o dyskomfort zamknięcia, ale o trudności z wejściem gdziekolwiek. Dlatego z zazdrością, może nawet z zawiścią patrzą na ludzi, którzy na balkonach śpiewają i oklaskują medyków. Oni są całkowicie pozostawieni samym sobie. Myślę jednak, że na falę filmów o pandemii musimy jeszcze poczekać, bo dokumenty często robi się kilka lat.

Z filmów przyjętych – najciekawsze próby uchwycenia tego roku zarazy?

Podobał mi się „Koncert balkonowy" Diany i Krzysztofa Kadłubowskich. To historia mieszkańców jednej kamienicy, którzy muszą wymyślić na nowo sposób na współżycie i wzajemne kontakty. Z kolei dokument „Czerwona obręcz" Joonasa Berghälla również opowiada o chorobie, ale nie o covidzie, tylko o boreliozie. Zdaniem autora w tym przypadku również mamy do czynienia z pandemią, ale WHO i inne środowiska międzynarodowe bagatelizują problem. To bardzo intymna opowieść o rodzinnym dramacie, ale jednocześnie wykład, który ma przybliżyć ludziom specyfikę tej choroby.

Wiele filmów w tym roku stara się rozwikłać jakąś zagadkę – najczęściej mroczną, kryminalną.

To prawda, mniej mamy teraz dokumentów relacjonujących rzeczywistość „na żywo", za to więcej filmów o dociekaniu prawdy.

Dokument śledczy to bardzo ciekawy podgatunek. Jak byś go zdefiniował?

Ostatnio wszyscy oglądaliśmy dokument braci Sekielskich, aczkolwiek ja nie przepadam za tą estetyką – sztucznym podbijaniem emocji pompatyczną muzyką i ciągłym wplataniem w opowieść scen z serwisów informacyjnych, mających atakować widza. Filmy, które nam przypadły do gustu, są raczej długą, pieczołowicie prowadzoną, czasem wręcz żmudną opowieścią, nastawioną na pomoc w zrozumieniu, co właściwie się stało. Reżyser może od początku znać odpowiedź, ale konstruuje narrację tak, żeby nas wciągnąć w historię. Nie ma tu wywiadów mikrofonowych – razem z bohaterem wchodzimy głęboko w oglądany świat. Ekipa twórców jest mało widoczna, a to duże wyzwanie. Kamera jest niewidzialna, ale jednocześnie nie ukryta jak w klasycznym dokumencie prasowym, gdzie filmuje się spod biodra albo z kieszeni płaszcza.

Jaki jest ich cel?

Bardziej niż o konkretne odkrycie prawdy – na przykład sprawcy przestępstwa – chodzi o zrozumienie świata filmowanego, maksymalne naświetlenie kontekstu.

Pojawia się w nich wiele elementów typowych dla filmów fabularnych – wyrazista muzyka, montaż, stylizacja narracji z offu.

To wszystko ma olbrzymie znaczenie – od światła, przez sekwencję scen, aż po wybór tematu. W przypadku wielu tych historii aż trudno uwierzyć, że nie mamy

do czynienia z filmem fabularnym, jak choćby w „Straceńcach", fińskiej produkcji o trójce młodych ludzi, którzy wybrali się do Tajlandii i Kambodży w poszukiwaniu taniego seksu i narkotyków. Reżyser, jednocześnie jeden z bohaterów, sam wpada w to piekło i najprawdopodobniej kończy bardzo tragicznie – być może wciąż siedzi w więzieniu. Kluczowe w dokumentach śledczych jest zdobycie zaufania środowiska, o którym się opowiada, a metody, jakimi jest to osiągane, mają drugorzędne znaczenie.

„Spacer z aniołami" Tomasza Wysokińskiego, chyba najmocniejszy obraz tej edycji festiwalu, opowiada o niemowlakach porywanych i zabijanych w slumsach Johannesburga. Reżyser wchodzi w samo serce mroku.

Często ryzykując własnym życiem. Czasem płaci za informacje parę dolarów, kiedy indziej musi głęboko zanurzyć się w ten mroczny i przerażający świat. Sam jest człowiekiem po przejściach, byłym żołnierzem, do tego bez ręki – i to właśnie jego osobowość okazuje się kluczem otwierającym kolejne poziomy opowieści.

Widz zostaje wciągnięty bez reszty w tę historię, która w sumie nie ma wyraźnej konkluzji, o szczęśliwym zakończeniu nawet nie wspominając. Zostajemy bezradni i roztrzęsieni.

To ciekawe przełamanie schematów fabularnych – przez ponad 90 minut śledzimy tę opowieść jak mroczny kryminał i w takich kategoriach ją odbieramy. Znajdzie czy nie? Żyje czy został zabity? Morderstwo czy samobójstwo? Ostatecznie jednak odpowiedzi na te pytania okazują się mniej ważne niż sama opowieść. „Spacer z aniołami" to przede wszystkim panorama społeczeństwa potwornie okaleczonego przez apartheid, po którym do dziś nie odbudowały się normalne relacje międzyludzkie. Pokazuje także ludzi opętanych ideologiami albo fanatyzmem religijnym – w tym satanizmem i szamanizmem, które mogą doprowadzać właśnie do brutalnego zabijania niemowląt. Co więcej – wiele osób mówi o tym wprost, przed kamerą, nie obawiając się konsekwencji. To pokazuje skalę patologii. Znamy suche fakty o RPA – o Mandeli, o rasizmie, o upadku brutalnego reżimu, ale trudno nam sobie wyobrazić, jak ta rzeczywistość naprawdę wygląda, szczególnie w takich miejscach, jak obrzeża wielkiej metropolii.

Były w tym filmie sceny, których nie dałem rady obejrzeć. Nawet nie będę ich tu przytaczał.

Tak, bo co innego wiedzieć, co innego zobaczyć.

Świat, który wyłania się z tych opowieści, jawi się jako miejsce niebezpieczne, wręcz zwyrodniałe.

To prawda, jest tak nawet w przypadku filmów kameralnych, skupionych na rodzinie, choćby w „Rentgenie rodzinnym" Iranki Firouzeh Khosrovani, gdzie piękna historia rodziców reżyserki szybko zmienia się w dramat, gdy matka staje się radykalną muzułmanką. To jednocześnie metafora drogi, jaką przeszedł Iran po kontrrewolucji ajatollahów.

Albo „Długa droga do domu" Madsena Minaxa.

Tu mamy splot kilku traum. Reżyser, który jest jednocześnie jednym z bohaterów, zmienił płeć, a pochodzi z konserwatywnej rodziny mormońskiej, więc w oczywisty sposób było to dla niego trudnym doświadczeniem. Ale, co ciekawe, to wcale nie jest główny wątek, bo przecież film opowiada przede wszystkim o jego siostrze i jej toksycznej relacji z kolejnym mężem. Jest on wręcz podejrzewany o zabicie jej maleńkiej córeczki. Śledztwo, które prowadzi reżyser, zatacza coraz szersze kręgi – wychodzą na jaw poważne problemy z alkoholem i narkotykami, a także coraz brutalniejsze akty przemocy domowej. To mroczny paradoks, bo rodzina – wydawałoby się najbezpieczniejsze miejsce dla dziecka – może okazać się największym zagrożeniem.

Aczkolwiek to jeden z niewielu obrazów, gdzie pojawia się promyk nadziei, bo reżyser odbudowuje relacje z rodzicami, przeżywa wręcz rodzaj katharsis.

Wątek śmierci dziewczynki nie zostaje rozstrzygnięty, ale pojawia się chociaż ten jeden budujący moment. To dowód, że dokumenty śledcze mogą czasem poprowadzić w zaskakujące miejsca.

Śledztwa, które prowadzą bohaterowie albo reżyserzy, często dotyczą ich własnej tożsamości – są poszukiwaniem albo próbą odzyskania własnego miejsca w świecie, na przykład w „Kto się boi Alice Miller" Daniela Howalda.

Historia zupełnie niewiarygodna – opowieść o synu znanej na całym świecie psycholożki, która w latach 70. zainicjowała na arenie międzynarodowej dyskusję o przemocy wobec dzieci, a sama ignorowała potworne rzeczy, jakich dopuszczał się jej mąż na ich własnym dziecku. Ten film pokazuje, jak bardzo praktyka może różnić się od teorii, które ktoś głosi. Niemniej Howald próbuje zrozumieć tę kobietę – odtwarza jej biografię, szczególnie wątek traumy Holokaustu. Miller była polską Żydówką, która przeszła przez piekło getta, potem związała się z dziwnym mężczyzną. Ale czy to wystarczające uzasadnienie? Na to pytanie, podobnie jak w przypadku pozostałych filmów, musimy odpowiedzieć sobie sami.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

„Kto się boi Alice Miller?", reż. Daniel Howald, Szwajcaria 2020



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



CLAUDE THIBAULT / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

TYLKO OD NOWA

Kultura unieważniania jest jak prawo, które działa wstecz,
albo jak batalion, który nie bierze jeńców.
Ale bez niej przedłużamy życie odwiecznej sztuce zamiatania pod dywan.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

On jest biały i od stóp do głów ubrany. Ona nosi odsłaniające jej więcej niż śniadą skórę bikini, okryte skąpym pareo. Ma kwiaty we włosach. Tańczy wokół niego, zalotnie się uśmiecha, jest bardzo młoda. On dotyka palcami ust, jakby ważył, co jej powiedzieć. Nie, to nie autoportret Paula Gauguina z małoletnią Polinezyjką. Jest rok 1965, Serge Gainsbourg śpiewa w studiu „Couleur café": „Kocham twój kolor kawy / Twoje kawowe włosy / Twoją kawową szyję / Uwielbiam, gdy dla mnie tańczysz / Potem słyszę szmer / Wszystkie twe bransoletki / Piękne bransoletki / Kołyszą się u twych stóp" (tłum. własne; to Rafała Dziwisza, wykonywane przez Michała Bajora, nie oddaje rasowego kontekstu oryginału).

Piękna melodia, miłosne wyznanie, ale anturaż kłopotliwy. Oczywiście tylko z dzisiejszej perspektywy. W latach 60. ta piosenka była odbierana jako przełamanie rasistowskiego dyskursu mówiącego, że kochanków trzeba sobie dobierać według koloru skóry. Eros się na to nie ogląda, a przeciwieństwa się pożądają, śpiewał bard. Nikt w nim nie widział obrońcy francuskiego kolonializmu. Jednak współcześnie – po kilku dekadach debaty o grzechach europejskiej kultury – trudno być ślepym i głuchym na obecne w piosence, a szczególnie w nagraniu filmowym, płciowe asymetrie i egzotyzowanie rasowej różnicy. Czy to znaczy, że nie wypada dziś wielbić Gainsbourga?

Warto przypomnieć, że był on celem kultury unieważniania *avant la lettre*. W 1984 r., po opublikowaniu teledysku do piosenki „Lemon incest", wykonywanej wraz z trzynastoletnią córką Charlotte, oskarżano go o skłonności kazirodcze. Oboje przekonywali, że była to jedynie artystyczna prowokacja. Jednak klip z półnagimi ojcem i córką na małżeńskim łóżku nie pozostawiał wiele dla wyobraźni. Charlotte Gainsbourg nigdy nie zarzuciła ojcu nadużyć seksualnych, ale czy należy akceptować wciąganie dziecka w artystyczną grę, która stawia je w pozycji uległej ofiary dorosłego?

To samo pytanie dotyczy Gauguina, przeciwko któremu można wytoczyć jeszcze cięższe działa – nie tylko malował młodziutkie nagie Tahitanki, ale sypiał z trzynasto-, czternastolatkami, czyniąc z nich „służące do wszystkiego" i prawdopodobnie zarażając je syfilisem. Czy należy podziwiać jego obrazy, ignorując okoliczności ich powstawania? Muzea, w których znajdują się prace Gauguina, nie zdejmują ich z ekspozycji. Może więc oglądać te obrazy, ale tak, by się z tego nie cieszyć?

Serge Gainsbourg – graffiti na ścianie jego domu przy rue de Verneuil, Paryż, 2015 r.

Ostracyzm 4.0

Zwrot ku rozliczaniu artystów z ich życiorysu i twórczości, zwany kulturą unieważniania (ang. *cancel culture* albo *call-out culture*), wystawia oskarżonym rachunki z całego życia i wydaje się krytyką totalną, wręcz wymazywaniem. Przede wszystkim dzieli – nie tylko twórców na moralnych i niemoralnych ludzi, ale te same cechy przypisuje też artefaktom, a niekiedy także odbiorcom, którzy mimo kolejnych skandali i procesów nie zamierzają odchudzać swojej biblioteki i filmoteki o dzieła potępionych autorów.

Kultura unieważniania nie stawia głupich czy wydumanych kwestii. Pyta o odpowiedzialność twórców i etyczność dzieł oraz o tajemnice kuźni, w której wykuwa się sztuka. Czy można zachwycać się „Chinatown" i „Lokatorem" Romana Polańskiego, ale „Tess" i „Frantikiem" nie, bo powstały już po jego procesie o gwałt na nieletniej? Czy w ogóle należy Polańskiemu zakazać wstępu na salony i odgórnie zarządzić, by do żadnych nagród już nigdy go nie nominowano?

Jak oddzielić feministyczny wymiar filmów Woody'ego Allena (naprawdę niezależne są u niego wszak bohaterki, a bohaterowie – cóż – są chodzącym kryzysem męskości) od ciążących na nim zarzutów o molestowanie dziecka i mizoginicznych wypowiedzi pod adresem córki i byłej partnerki? Czy koncerny medialne powinny kończyć współpracę z oskarżanymi o przemoc domową Johnnym Deppem i Marilynem Mansonem, zanim w wytoczonych im procesach zapadną ostateczne wyroki? Sęk w tym, że na takie pytania udziela się zwykle zbyt kategorycznych odpowiedzi.

Kultura unieważniania zaciera granicę między publicznym a prywatnym, między dziełem zamkniętym i połączonym pępowiną z autorem o złej biografii a dziełem otwartym, zapraszającym publiczność do wolnej interpretacji, czasami wręcz mądrzejszym od swojego twórcy. Pod tym względem kultura unieważniania jest nieodrodną córką idei poprawności politycznej. Narodzona w lewicowych środowiskach uniwersyteckich na przełomie lat 70. i 80. minionego wieku, sięgała do lingwistyki krytycznej, pragmatyki i teorii aktów mowy, wskazujących na to, że język, za pomocą którego nazywamy rzeczywistość, wpływa na nasze postawy wobec problemów tego świata i jego mieszkańców.

Nowy słownik miał nie tylko chronić obrażane i marginalizowane w życiu publicznym kobiety oraz mniejszości religijne, etniczne i seksualne, ale przede wszystkim zbliżyć ludzi do siebie. To się nie powiodło, ponieważ zmiana języka, jaką postulowali rzecznicy poprawności politycznej, wyprzedzała o kilka długości wstyd towarzyszący codziennej komunikacji z innym. Dopóki ludzie nie będą się wstydzić tego, że używają określonych słów i nie znają ich nieobraźliwych synonimów, dopóty zmiana językowa będzie tylko papierowym projektem.

Dlatego logiczną konsekwencją spychanej do defensywy poprawności politycznej było przekierowanie uwagi z języka wypowiedzi na ich autorów. Upadek bogów miał skłonić do refleksji. Nie tak dawno z powodu nieodpowiedzialnych i raniących słów lub gestów zachwiały się kariery Larsa von Triera, Michała Witkowskiego, J.K. Rowling i wielu innych ulubieńców mediów. Przetrwali nie tylko dlatego, że przeprosili, ale także z tego powodu, iż – wbrew pozorom – słowa są w naszej kulturze traktowane dość lekko. Siłą będącą w stanie zmieść idoli z salonów okazał się dopiero gniew ofiar przemocy, który, latami tłumiony, eksplodował w drugiej dekadzie XXI wieku.

Dlaczego jednak tak wiele osób, które gwałtem i bólem się brzydzą, nie ma poczucia, że sprawiedliwości staje się zadość? Dlatego że nowa forma ostracyzmu, znanego już od czasów Hippiasza, ma dziś kod kreskowy i konto na Instagramie. Sprawy, zanim zawisną na wokandzie, trafiają do mediów społecznościowych, zapewniając widzialność nie tylko ofiar, ale także sprawców. Tych pierwszych nie chronią, a od tych drugich oczekują samobiczowania. Tylko clickbaity (nagłówki, które mają zachęcić do kliknięcia w artykuł, choć niekoniecznie są zgodne z jego treścią) zawsze wychodzą na tym dobrze, mnożąc się na potęgę. ↦

Sztuka wyboru

↦ Trzeba jednak powiedzieć głośno, że odsądzanie kultury unieważniania od czci i wiary (w dobrą sztukę) wcale nie jest obroną wartości i autorytetów przed samosądem, ale zamykaniem oczu na przemoc fizyczną i symboliczną, która dokonuje się za kulisami. Pudrowanie sińców i dobra mina do złej gry czy publiczna obdukcja, która może sprawić, że za jakiś czas obrażeń będzie mniej? Istota tego wyboru nie jest estetyczna, ale etyczna.

W budowaniu akceptacji dla takiego spojrzenia kulturze unieważniania nie pomaga jej nazwa. Jest nietrafna i deprecjonująca. Podobnie zresztą jak określenie „poprawność polityczna" (to maoistyczne hasło najpierw było przez lewicę stosowane autoironicznie, ale podchwycone przez przeciwników idei prorównościowej zmiany językowej zostało jej przypięte jako łatka).

Hasło unieważniania budzi skojarzenia z ideologiczną cenzurą i automatyzmem wydawania moralnych ocen. Nadużyciem jest też nazywanie publicznych rozliczeń specyficzną kulturą, która miałaby swoje instytucje, ideologię, ustalone praktyki oraz własny kanon uznanych dzieł. To wszystko dopiero się tworzy. Na razie znajdujemy się na etapie unieważniania, chociaż wolałabym nazywać go etapem nagłaśniania krzywd, patrząc na niego – mimo wszystko optymistycznie – jak na szklankę raczej w połowie pełną niż w połowie pustą. Pierwszym krokiem do rozwiązywania problemów społecznych jest bowiem przerwanie zmowy milczenia.

Z tym dyskursem walczy się na trzy główne sposoby. Po pierwsze, za pomocą jego własnej broni, czyli dyskredytacji. Skoro ofiary, denuncjując sprawców, dyskredytują ich jako ludzi kultury, to w analogiczny sposób dyskredytuje się ofiary. Kiedy 17 marca Anna Paliga, absolwentka łódzkiej Szkoły Filmowej, opublikowała na Facebooku list o praktykach przemocowych wobec studentów tej uczelni, usłyszała, że jest nikim i że wysuwając oskarżenia pewnie chce sobie „zrobić nazwisko". Mały dorobek aktorski i nieopatrzona w mediach twarz miały odbierać jej przywilej mówienia o doświadczeniu zastraszania i uwłaczania. To tak jakby mówić, że tylko sławni i wielcy mają prawo cierpieć – czyli elitaryzm do kwadratu.

Po drugie, ofiarom bardzo skrupulatnie odmierza się czas, który upłynął od momentu doznania krzywdy do chwili jej ujawnienia. Psycholodzy włożyli dużo wysiłku w trakcie dyskusji o pedofilii, aby uzmysłowić społeczeństwu, że ofiary czasem potrzebują dwudziestu, trzydziestu lat, nim będą gotowe przemówić. W przypadku świata sztuki dyskusja zaczyna się od nowa, gdyż ciąży nad nią przekonanie, że dobra sztuka wymaga cierpienia. Anna Paliga nie czekała trzydziestu lat, Wydział Aktorski PWSFTviT ukończyła w 2020 r. Zdaniem niektórych odezwała się i tak za późno – powinna była reagować od razu, na bieżąco, bo skoro zwlekała, być może nie jest wiarygodna. Kto ryzykując utratę indeksu lub pracy miał odwagę mówić nauczycielom i przełożonym prosto w oczy, że nie zgadza się z określonym traktowaniem, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Po trzecie, czas sprawców płynie znacznie wolniej. Rytualne powiedzenie, że „zawsze tak było i nikt się nie skarżył", naturalizuje przemoc i ignoruje nieuchronnie zachodzącą zmianę kulturową. Skoro do tej pory niewiele mówiło się o przemocy w świecie teatru, filmu czy literatury, ma to być dowód, że współcześni adepci sztuki są przewrażliwieni i niedostosowani do realiów twardej gry w środowiskach, do których trafili. Niedostatek świadectw z przeszłości można jednak łatwo wyjaśnić. Kultura funkcjonuje dziś w innych ramach etycznych, choć darwinistyczne przekonanie, że tylko ci o najgrubszej skórze przetrwają, jest czule pielęgnowane zarówno przez neoliberalną, jak i neokonserwatywną stronę debaty publicznej.

Przede wszystkim poprzednim pokoleniom brakowało powszechnego języka opisu tego, co zaburza dobrostan cielesny i psychiczny. Przykładowo, termin „molestowanie seksualne" powstał około 1974 r., a w polskim dyskursie publicznym pojawił się dwie dekady później. Niektórzy podejmują próbę przyjrzenia się dawnym doświadczeniom przez pryzmat współczesnych kategorii, jak mobbing, seksizm czy wiktymizacja. Z tych retrospekcji wyłaniają się obrazy bardzo problematycznych zachowań mistrzów, takich jak Tadeusz Łomnicki, Konrad Swinarski czy Jerzy Grotowski. „Lepiej nie wiedzieć, kto jeszcze" – często słychać takie zaklęcie. Leczenie choroby ignorancją jest ucieczką do tyłu – wyborem estetycznym, a nie etycznym.

Intencje czy konsekwencje

Człowiek, jeśli jest winny, powinien ponieść karę adekwatną do czynu. Jeśli to, czego się dopuścił, było związane z nadużywaniem pozycji w świecie kultury, to od momentu udowodnienia winy powinien przestać być fetowany jako artysta lub mecenas sztuki. Z takimi regułami pewnie wielu z nas by się zgodziło. Ale czy winy powinny też „przechodzić" na dzieła osądzonych przez ludzi i historię twórców?

Zanim udzieli się odpowiedzi, warto zadać sobie pytanie: co jest ważniejsze – intencje uczestników życia społecznego czy konsekwencje ich wypowiedzi i działań? Jeśli te pierwsze, to kanon wymagałby nieznacznych korekt. Poza sztuką zdeklarowanych piewców kolonializmu, seksizmu i ksenofobii trudno byłoby udowodnić, że przez dzieła wprost przemawiają złe postawy ich autorów. Jeśli przyjmiemy, że liczą się konsekwencje (czyli współczesne efekty obcowania z artefaktami), to sprawa jest bardziej złożona. Wymaga wysiłku empatii i gotowości, by w niektórych obszarach kultury budować jej filary na nowo.

Kultura unieważniania to nie tylko rewanż za krzywdy ofiar, ale także zaproszenie do autoanalizy. Sama staram się trzymać kryterium konsekwencji, choć często błądzę i jestem – *nomen omen* – niekonsekwentna. Widziałam wszystkie filmy Woody'ego Allena, ale najnowszego, „Rifkin's Festival", nie obejrzę – nie chcę dokładać się do zarobków reżysera w tym samym czasie, kiedy w arogancki sposób odnosi się do zarzutów o molestowanie seksualne córki, a ujawnione niedawno w serialu dokumentalnym „Allen kontra Farrow" pisma i nagrania świadczą na jego niekorzyść.

Jednak jeszcze niedawno pokazywałam studentom fragment filmu „Annie Hall", słynną scenę z kolejką do kinowej kasy, w której finale pojawia się Marshall McLuhan. Ta scena sprawdza się jako pretekst do dyskusji o tym, jak McLuhan rozumiał różnice między epoką mechaniczną a elektryczną. Mój wybór tłumaczę sobie tak – „Annie Hall" powstała w 1977 r., długo przed sprawą Dylan-Farrow, a rzeczona scena ma dziś walor historyczny i obraża tylko zbyt pewnych siebie medioznawców. Być może nie

mam racji i potrzebne są radykalniejsze decyzje. Kultura wciąż się zmienia, zmieniając przy okazji nas.

Ciąg dalszy nastąpił

Powróćmy do Serge'a Gainsbourga. Intencje pewnie miał dobre. Podniósł się po oskarżeniach o kazirodztwo, lecz w ostatniej dekadzie życia był w bliskich relacjach z kilkoma młodziutkimi dziewczynami, dwie z nich były w tym czasie niepełnoletnie (z najmłodszą, trzynastoletnią Aude Turpault, łączyła go więź platoniczna, ale – jak kobieta stwierdziła po latach – swojej córki strzegłaby przed podobnym związkiem). Po jego śmierci w 1991 r. plotki ucichły, lecz zainteresowanie kobietami-dziećmi w życiu artysty wróciło na fali ruchu #MeToo.

Tymczasem wiele francuskich miast zyskało ulice Gainsbourga, jego imię otrzymał też niewielki park na peryferiach Paryża. Nie jest planowane (przynajmniej na razie) przemianowywanie poświęconych mu miejskich przestrzeni. Co więcej, w tym roku Charlotte Gainsbourg chce w dawnym paryskim domu ojca otworzyć poświęcone mu muzeum. I dobrze. Biografią mógłby obdzielić cały big band, a większość jego piosenek starzeje się jak francuskie wino. Nie znaczy to, że dyskusje na temat Gainsbourga były histeryczne, niepotrzebne czy toczone na próżno.

Na początku kwietnia francuski parlament uchwalił zmiany w prawie karnym, o które od lat zabiegały organizacje pomagające dziecięcym ofiarom przemocy seksualnej. Kazirodztwo stało się osobnym przestępstwem, rozszerzono katalog osób, które mogą się go dopuszczać. W kodeksie zapisano też, że seks z osobą poniżej 15. roku życia będzie traktowany jako stosunek bez jej przyzwolenia, a więc przestępstwo. Wcześniej granica wiekowa legalnego seksu nie była uregulowana we francuskim prawie i interpretacja czynu leżała po stronie wymiaru sprawiedliwości.

Siłą będącą w stanie zmieść idoli z salonów okazał się dopiero gniew ofiar przemocy, który, latami tłumiony, eksplodował w drugiej dekadzie XXI wieku.

Konsensus sił politycznych w tej sprawie okazał się możliwy dzięki burzy, jaką wywołała opublikowana na początku tego roku książka Camille Kouchner pt. „La familia grande". Autorka ujawniła, że przed laty jej ojczym Olivier Duhamel, ceniony politolog i doradca polityczny, dopuszczał się gwałtów na jej nastoletnim wówczas bracie bliźniaku. Duhamela kryto, jak wielu przed nim tuzów za bardzo lubiących młodych chłopców i dziewczęta. Nie jest jasne, czy wiedział o tym ojciec bliźniąt, Bernard Kouchner, który z rezerwą podchodził do wcześniejszych apeli o zdecydowane karanie pedofilii. Teraz Duhamel został pozbawiony stanowisk i honorów, a na fali ruchu #MeTooInceste kolejne ofiary ujawniały dramaty związane z kazirodztwem.

Książka Kouchner tylko przelała czarę goryczy. Poprzedziła ją m.in. afera Gabriela Matzneffa, wielokrotnie nagradzanego pisarza, który publicznie bronił osób współżyjących z nieletnimi, estetyzował w powieściach i dziennikach czyny pedofilskie, a także – o czym świadczą kolejne kobiety – sam ich dokonywał. Kontrowersje wokół niego ciągnęły się od lat 60., ale przez kilka dekad jego pedofilskie fantazje traktowano z pobłażaniem, jako światopogląd libertyna. Do czasu.

Co to ma wspólnego z Gainsbourgiem? Dyskusje wokół Matzneffa przez wiele lat były wewnętrzną sprawą elit, natomiast o „Lemon incest" rozmawiano we Francji szeroko. Gainsbourg flirtował z popkulturą, jego wzloty i upadki „należały" do wszystkich Francuzów. Krytyka z lat 80. drążyła skałę, choć musiało upłynąć jeszcze wiele wody w Sekwanie, zanim triada „sławny dorosły – urocze dziecko – łóżko" przestała być martwym punktem w polu widzenia debaty publicznej. Jeśli kultura unieważniania ma oznaczać nagłaśnianie przemilczanych krzywd, to jest czymś ważnym.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

REKLAMA



Symfonia kickboksera

KAJETAN PROCHYRA

Przez dziewięć miesięcy prowadził warsztaty muzyczne z grupą byłych pracowników Ursusa. Pani Stanisława dostała solówkę: uruchamia niewidzialną wytrzęsarkę. Odwzorowuje jej pracę głosem i gestem.

Dominik Strycharski jest flecistą, wokalistą, improwizatorem, kompozytorem muzyki do filmu i teatru. Kilka dni przed jego 46. urodzinami ukazała się płyta z „Symfonią Fabryki Ursus". Łączą się na niej liczne muzyczne drogi Strycharskiego, a jednocześnie jest to zapis spotkania z wyjątkowymi świadkami historii: byłymi pracownikami i pracowniczkami Zakładów Przemysłu Ciągnikowego „Ursus". Strycharski skomponował ją do filmu Jaśminy Wójcik pod tym samym tytułem.



KAROLINA JÓŹWIAK

Dominik Strycharski, styczeń 2019 r.

Walka

– 2020 to był mój najlepszy rok w życiu.

– Słucham?!

– Zrozumiałem, że wszystko jest nietrwałe. Straciłem samochód w wypadku, straciłem flet, który był ze mną od dwudziestu lat. No i byłem o milimetr od końca bycia muzykiem instrumentalistą. Stałem na bramce: dostałem piłką w wyprostowane palce, pękły mi ścięgna. Palce lewej ręki opadły. Mimo pandemii udało się to ogarnąć: czterech ortopedów, stabilizatory. Zero grania. Potem tylko czekanie. Po dwóch miesiącach zdejmujesz stabilizatory. Wali ci serce: opadają czy nie? Nie opadają! Zginasz. Sztywne, ale żyją. Potem rehabilitacja. Ćwiczyłem po pięćdziesiąt razy dziennie. I są znów sprawne. Podobno rzadko to się zdarza.

Właśnie wrócił z treningu. Od lat trenuje boks, kick boxing i krav magę. Czasem pięć razy w tygodniu: – Muszę to robić. Sporty walki wzięły się z moich ogromnych kompleksów, które miałem jako dwudziestoletni gówniarz: byłem bezczelny, niby odważny, ale bałem się bić. Wiedziałem, że jak mi ktoś trzaśnie, to się po prostu skulę. Stwierdziłem, że nie mogę tak dłużej żyć. Ale nigdy poza sportem swoich umiejętności nie użyłem, nigdy chyba nie użyję. Wszyscy prawdziwi fighterzy mówią: twoim największym wrogiem jesteś ty sam. To siebie przekraczasz, a nie gościa, który chce cię uderzyć; jego nie zmienisz – a siebie tak.

Flet

– W podstawówce grałeś na flecie czy na dzwonkach?

– Team fleciki. Dobrze grałem. Lubiłem mój flet, ale zaraz po podstawówce wyrzuciłem go do śmieci. Nie lubiłem szkoły, lekcji, nauczycielki. Bunt. Z chłopczyka w koszuli wpuszczonej w spodnie zmieniłem się w kogoś na granicy punka i oia. Ogoliłem głowę żyletką: nie podchodź! Ludzie się mnie bali.

– I znowu zacząłeś grać na flecie?

– Flet wziąłem znów do ręki w liceum i to było jak fala. Przy ludziach zagrałem na nim pierwszy raz na jakimś wyjeździe z przyjaciółmi. Zacząłem improwizować jak opętany. Flet daje takie dziwne odloty: nawet nie umiejąc grać, mogłem brzmieć jak derwisz w transie. Potem usłyszałem „Korowód" Marka Grechuty z 1971 r. i sześciominutowe solo Jacka Ostaszewskiego... Total. W tym samym roku Ostaszewski założył wspólnie z Markiem Jackowskim i Tomaszem Hołujem zespół Osjan – pionierzy world music w Polsce.

Drugim bohaterem Strycharskiego był Krzysztof Zgraja, flecista jazzowy: – Grał na flecie poprzecznym, ale na każdej płycie miał dwa numery na flety proste. To też był wstrząs!

Strycharski urodził się i wychował w Bytomiu: – Miałem wielu kumpli, bo byłem zadziorny, lubiłem wypić, lubiłem się bawić. Szybko założyłem z kolegami zespół Nimptsz – od nazwiska, popularnego na Śląsku. Perkusja, bas i flet. Pamiętam koncert w Katowicach, w klubie bluesowym... Jego właściciel nas uwielbiał, bo byliśmy nieprzewidywalni. Ale tego wieczora podszedł do nas i powiedział: „Przy barze siedzą dwaj złodzieje, moi znajomi, i zastanawiają się, który załatwi flecistę. Nie grajcie teraz, zróbcie przerwę, oni wyjdą i będziecie grać dalej". Takie były czasy, ale nigdy za flet nie oberwałem.

Zaczął komponować muzykę do spektakli teatru tańca: – I grałem czasem kilka koncertów dziennie. Byłem na tyle wyrazisty, że dostałem nagrodę prezydenta Bytomia.

Aktywność Strycharskiego zbiegła się ze „złotą erą fletu prostego". W ciągu ostatnich dwóch dekad za sprawą nowych technologii i rosnącego zainteresowania wykonawców, przede wszystkim muzyki współczesnej, opracowane zostało wiele nowych modeli fletu prostego: pojawiły się klapki, dodatkowe dziurki w ustniku. Wszystko to umożliwiło rozszerzenie skali instrumentu i możliwości ekspresji

Ale żeby grać, musiał sam wymyślić muzykę i stworzyć dla siebie miejsce na scenie. Może dlatego częściej niż w klubach usłyszeć go można było w teatrach – jako kompozytora i wykonawcę muzyki na żywo. Właśnie w takiej roli – w spektaklu w reżyserii Anny Badory w Schauspielhaus Graz – zobaczyła go po raz pierwszy Jaśmina Wójcik: artywistka, czyli artystka, która w swoich działaniach łączy sztukę i aktywizm. Tworzy projekty edukacyjne, partycypacyjne, zaprasza do świata sztuki osoby, które nie miały w nim dotąd swojego miejsca.

– Dominik pracował z grupą śpiewaków. Chodziło o odtwarzanie traumatycznych wspomnień z wywózek... Rozsadzała go energia – mówi Wójcik.



JAKUB WRÓBLEWSKI; KACPER CZUBAK / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Symfonia Fabryki Ursus", 2018 r.

Ursus

– Mój tata zawsze mówił, że jest z Ursusa, a nie z Warszawy. Nigdy tego nie rozumiałam – opowiada Jaśmina. – Dziesięć lat temu przyszłam tu pierwszy raz na spacer. Spodobały mi się pofabryczne hale. Wysłałam tacie kilka zdjęć. Był załamany tym, co się wydarzyło. Później zaczął odtwarzać dla mnie swój świat: opisywał wylewającą się co rano rzekę ludzi, idących z pociągu do pracy. Chciałam się dowiedzieć, co się z nimi stało. Zaczęłam od rozmów z byłymi pracownikami i pracownicami. Opowiadali o fabryce, pokazywali, jak wyglądała ich praca. Uruchamiała się pamięć ciała. Zaczęłam o nich myśleć jak o muzykach w orkiestrze: każdy ma swoją część i bez niego całość nie zagra. Postanowiłam stworzyć film, który będzie symfonią dźwięków i osób. Dominik miał tę symfonię skomponować.

– Wytrzęsarka to takie urządzenie, do którego wrzucało się nakrętki, śruby i inne części, które zostały właśnie wyprodukowane w ślusarni i które wciąż miały na sobie opiłki. Trzeba było się ich pozbyć – tłumaczy Strycharski. – No i pani Stanisława dzień w dzień po prostu wrzucała setki kilogramów tych przedmiotów do wytrzęsarki, coś tam przełączała, to się uruchamiało i wyło. Teraz ona opowiada mi ze łzami w oczach, że serio uwielbiała tę maszynę, a po chwili zaczyna się śmiać, jakby wspominała solówkę na Woodstocku.

Strycharski przez dziewięć miesięcy prowadził warsztaty wokalne z grupą byłych pracowników Ursusa. Na ich podstawie skomponował muzykę do filmu. Pani Stanisława dostała swoją solówkę: w filmie wspina się po ruinach dawnej fabryki, do miejsca, w którym stała jej maszyna. Uruchamia niewidzialną wytrzęsarkę i odwzorowuje jej pracę głosem i gestem. Po chwili dołączają do niej kolejni bohaterowie filmu i duchy ich maszyn.

– Nasi bohaterowie byli bardzo sumienni. Chcieli wszystko jak najwierniej odtworzyć. Jak powiedział nam jeden z nich, pan Jerzy: „Fabryki nie ma, maszyn nie ma – jesteśmy my i nasza pamięć, i tą pamięcią się z państwem dzielimy". Dlatego właśnie operowaliśmy ciałem (nad choreografią pracował Rafał Urbacki, który zmarł dwa lata temu), głosem i miejscami, których już nie ma. W takiej naszej wewnętrznej nomenklaturze to były dusze, które nawiedzają jeszcze raz to miejsce. Ich osobiste symfonie budzą traktory, które wracają do Ursusa jak do macierzy i tańczą ostatni taniec wdzięczności – mówi Jaśmina Wójcik.

– Nie wiem, ile w tych wspomnieniach jest sentymentu i naturalnej tęsknoty za młodością. Ale wszyscy podkreślają, że to była wspólnota. Nie chcę gloryfikować tamtych czasów, ale widać, że Ursus i wiele innych zakładów to były mikrospołeczności: dużo więcej niż tylko socjalistyczny projekt. Tego, że ludzie się kolegują, szanują nawzajem, nie da się zaprojektować. A przecież to mieli być tylko pracownicy: odbij kartę, przybij kartę, cześć, pa, hej – mówi Strycharski.

Etos

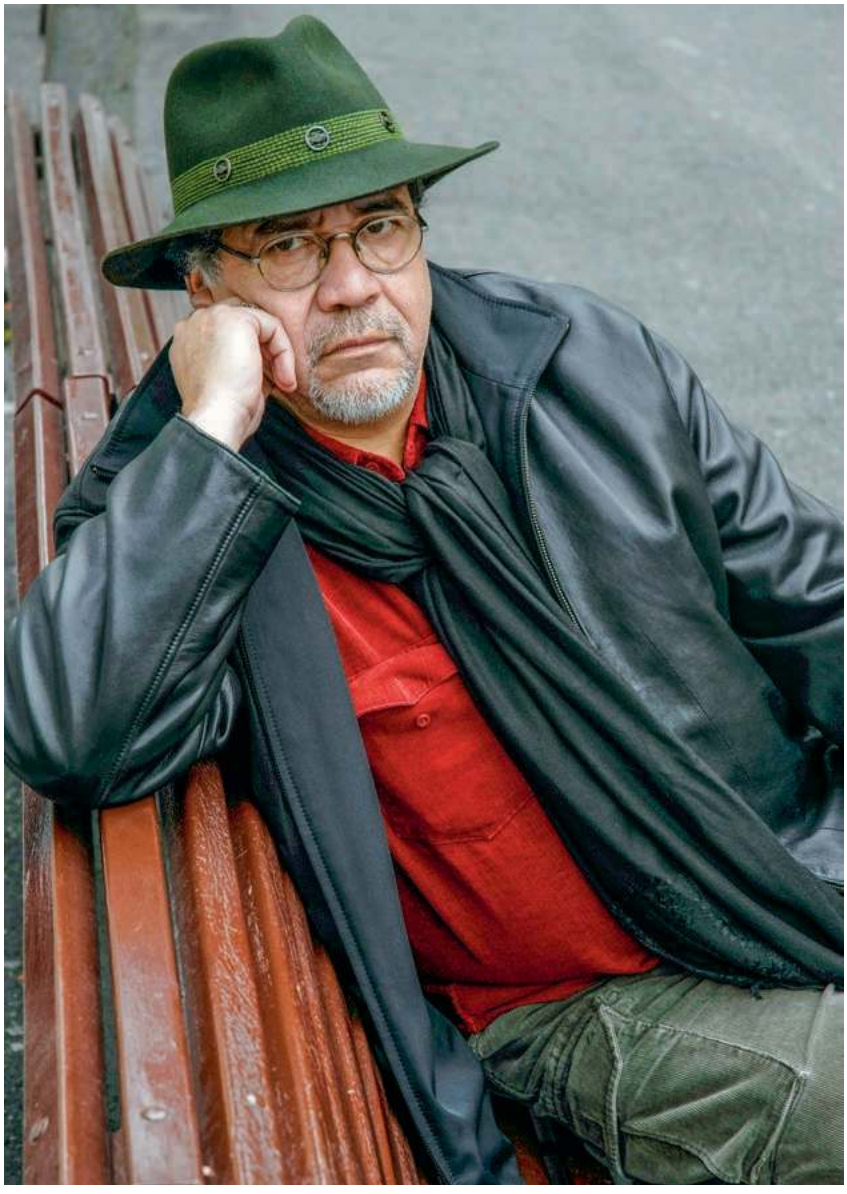
– Wiemy, czym jest symfonia Lutosławskiego: ma swoje części, jest rozpisana w nutach – mówi Strycharski. – A w mojej muzyce jest noise, techno, industrialne brzmienia, przesterowane, jakieś subbasowe huki... Nad tym wszystkim są partie orkiestry – w wykonaniu muzyków dawnej Orkiestry Fabryki Ursus. Bo co to dzisiaj znaczy „symfonia"?

Flecista, najstarszy z muzyków Orkiestry, ma 91 lat.

– On gra na flecie od 60 czy 70 lat. Na próbie był tak ubrany, że... człowieku! Buty wyglancowane. Flecik pikolo. I powiedział tylko: „Wszystko jest ok" – wspomina Dominik. – Mój dziadek, Józef Wróbel, był górnikiem, sztygarem. Z muzyką nie miał nic wspólnego. W okresie mojego buntu był jedyną osobą w rodzinie, którą uwielbiałem. Podświadomie przekazał mi taki etos: pisz wyraźnie, starannie się ubieraj i... kultura. Ale też potrafił przekląć. Lubił futbol. Pił dużo kawy. Palił fajki. Świetnie wyglądał do końca. Kochał samochody. Był szefem Klubu Motorowego w Bytomiu i prowadził tam księgowość. Godzinami zapisywał te cyferki, a ja go podziwiałem: jak można tak pisać? Jak z maszyny! Jeszcze kursywą! To on mi przekazał, czym jest godność i wewnętrzna siła. W muzykach orkiestry z Ursusa zobaczyłem dziadka.

Film „Symfonia Fabryki Ursus" zobaczyć można na platformie vod.pl. Płyta Strycharskiego pod tym samym tytułem ukazała się nakładem Audio Cave. Na platformie Play Kraków można obejrzeć zapis prawykonania utworu „Box of Boxing" na czterech wykonawców (Kwartludium), elektronikę i kickboksera (Strycharski). 18 czerwca w Teatrze Powszechnym odbędzie się premiera spektaklu „Jądro ciemności" w reżyserii Pawła Łysaka z muzyką Strycharskiego. Jeszcze w tym roku do sklepów ma trafić płyta jego nowego kwintetu Core – który brał udział w nagraniu „Symfonii".

– Zeszły rok był świetny, mówię ci! – dodaje Dominik. – Ten będzie jeszcze lepszy. ©



EAST NEWS

Luis Sepúlveda, Barcelona, kwiecień 2009 r.

Historia nie ma końca

ADAM ROBIŃSKI

Gdy w jednej z polskich rozgłośni radiowych usłyszał od prowadzącego polityczną deklarację, wstał i wyszedł ze studia. A potem zadzwonił do Ryszarda Kapuścińskiego. Chciał, żeby Polska miała przychylną twarz.

Poznali się nad stosem latynoamerykańskich gazet w pijalni piwa w Bonn. Ryszard Kapuściński dosiadł się do stolika, a potem po hiszpańsku poprosił o jeden z tytułów. Był rok 1986, a więc czas, kiedy w stolicy Republiki Federalnej Niemiec, niedużym nadreńskim mieście, napotykany cudzoziemiec zwykle okazywał się korespondentem prasowym. W tym gronie, w tym czasie Kapuściński nie musiał już, poza nazwiskiem, dodawać nic więcej: nazwy redakcji czy nawet narodowości. Tego wieczoru to głównie Luis Sepúlveda odpowiadał na pytania Polaka.

Rozmawiali o Chile i tamtejszych mediach, by na koniec wymienić się adresami i numerami faksów. Potem spotkali się jeszcze parokrotnie. Za każdym razem kończyło się na winie i długich rozmowach o świecie. Tak to przynajmniej zapamiętał Sepúlveda, pisząc w 2008 r. na łamach „Le Monde Diplomatique" wspomnienie o koledze po fachu.

Kiedy w kwietniu ubiegłego roku Sepúlveda umarł w szpitalu w Oviedo – jako jedna z pierwszych ofiar COVID-19 w hiszpańskiej Asturii – nie tylko polskie, ale również anglojęzyczne media ograniczyły się do zacytowania suchych agencyjnych depesz. Wymieniono w nich parę dat, parę tytułów – przede wszystkim „O starym człowieku, co czytał romanse" – i kilka faktów z życia Chilijczyka. W tysiącu znaków anonimowy depeszowiec zmieścił informację o człowieku, którego życiorysem – proszę wybaczyć truizm – można by szczodrze obdzielić co najmniej tuzin osób. Sepúlveda był dzieckiem drugiej połowy XX wieku w Ameryce Południowej, więźniem bolesnych dziejów swojej ojczyzny. Również aktywnym uczestnikiem jej historii. Europa miała w tamtych czasach swoje dramaty, krew przelewana po drugiej stronie Atlantyku była z jej punktu widzenia marginesem zimnowojennej narracji. Bez głębszej refleksji szufladkowanym według linii amerykańsko-radzieckich podziałów.

Choć Sepúlveda parał się przede wszystkim literacką fikcją, to dla jego czytelniczek i czytelników – w 40 językach! – jasne było, jak wiele z tej twórczości wyrosło na gruncie osobistych doświadczeń autora. Dlatego gdy kilkanaście lat temu na wstępie wywiadu w jednej z polskich rozgłośni radiowych usłyszał od prowadzącego deklarację: „My tu, w Polsce, inaczej zapatrujemy się na reżim Pinocheta, uważamy, że uratował on Chile przed komunizmem i że Chilijczycy powinni okazać mu wdzięczność", po prostu wstał i wyszedł ze studia. A potem zadzwonił do Kapuścińskiego. Chciał, żeby Polska miała przychylną twarz.

Durna młodość

Urodził się w 1949 r. w Ovalle w środkowym Chile, w regionie Limarí (gdyby po-

równać równoleżniki, jego odpowiednikami na północnej półkuli byłyby Egipt i Arabia Saudyjska). W jego żyłach płynęła – po matce, z zawodu pielęgniarce – krew Mapuczów. Po ojcu, członku Komunistycznej Partii Chile, przejął z kolei rewolucyjny zapał. Studiował produkcję teatralną w Santiago i już wtedy zaangażował się politycznie. Miał pewne doświadczenie – kiedy był dzieckiem, dziadek, emerytowany anarchista, zwykł jeździć z nim do stolicy i poić go słodkimi napojami. Potem, pod pretekstem nagłej potrzeby, chłopak obsikiwał przedsionki kolejnych kościołów.

Działalności w komunistycznej młodzieżówce Sepúlveda poświęcił tom opowiadań „Niemy Uzbek". Wspomnienia trącą humoreską, młodzi rewolucjoniści zajmują się w nich organizowaniem mityngów solidarności z Wietnamem, pałaszowaniem nadludzkich ilości sandwiczy z polędwicą i awokado oraz marzeniami o piwie, gdyż jako bojownicy o sprawiedliwość nie mogą go publicznie pić. Organizują też efektowne akcje dywersyjne, których połowa budżetu idzie na pokrycie strat osób postronnych i nieprzewidziane wydatki. Takie jak mleko w proszku i smoczki dla syna właścicielki pensjonatu, z którego włamują się na teren Włoskiego Arsenału Broni w Santiago.

Zamachy są więc zawsze szlachetne i pokojowe, a młodość durna i chmurna. „Proszę sobie nie psuć krwi, te rewolucje są bardzo skomplikowane" – mówi jeden z bohaterów Sepúlvedy. Być może również do czytelnika gdzieś tam w Europie, któremu rzeczownik „towarzysz" niesie zupełnie inne konotacje. Głosy z Ameryki Południowej docierają do nas tak rzadko, że tych, którym się to udaje, chyba warto słuchać.

Kiedy w 1970 r. władzę w Chile obejmuje koalicja lewicowych partii, a na prezydenta wybrany zostaje Salvador Allende, Sepúlveda wchodzi w krąg jego najbliższych współpracowników. Nadzoruje działalność wydawniczą, mediuje między rządem a chilijskim biznesem. Marzenie o rozlaniu socjalizmu na cały długi na cztery i pół tysiąca kilometrów kraj i jego archipelagi pryska w 1973 r., gdy w wyniku wojskowego puczu panowanie przejmuje reżim Augusta Pinocheta. Zachód oddycha z ulgą, bo Chile zostało „uratowane przed komunizmem".

Allende popełnia samobójstwo, a dla jego zwolenników rozpoczyna się czas bolesnych represji. Sepúlveda trafia do więzienia, które po interwencji Amnesty International zostaje zamienione na areszt domowy. Ucieka z niego, zostaje ponownie aresztowany i skazany na dożywocie, ale kolejne wstawiennictwo organizacji międzynarodowych pozwala zamienić karę na wieloletnie wygnanie z ojczyzny. Późniejsza żona pisarza, poetka, ląduje z kolei w Villi Grimaldi, miejscu kaźni i tortur więźniów politycznych Pinocheta. Carmen Yáñez, więźniarka nr 824.

Rezolutna pchła

Sepúlveda-pisarz rodzi się więc na emigracji. Mieszka w Szwecji, Argentynie, Urugwaju, Brazylii, Paragwaju. W 1979 r. angażuje się w rewolucję w Nikaragui i dopiero po jej zwycięstwie na stałe przenosi się do Europy i zaczyna pisać. Najpierw jako dziennikarz, potem – autor książek. Ale – jak pokaże kilkanaście z nich, z czego ponad połowa została przetłumaczona na polski – nie jest tylko nostalgicznym głosem wskrzeszającym młodzieńczą karierę bojownika.

Literacką rozpoznawalność dają mu zmagania na zupełnie innych frontach, związanych z działalnością w organizacjach proekologicznych i broniących praw człowieka. Wydana w 1989 r. „Podróż do świata na końcu świata" opowiada o śledztwie hamburskiego dziennikarza w Patagonii, który stara się wyjaśnić tajemniczy wypadek, jakiemu w Cieśninie Magellana uległ japoński statek wielorybniczy. „Nishin Maru" to prawdziwa jednostka, którą kojarzyć mogą widzowie serialu dokumentalnego „Whale Wars" telewizji Animal Planet – ośmiogigatonowa przetwórnia, która pod pretekstem badań naukowych co roku zabija na Oceanie Południowym kilkaset waleni. Bohater to *alter ego* autora, który część emigracji przemieszkał w Hamburgu, pracując dla Greenpeace'u.

Ale bywał też Sepúlveda po prostu gawędziarzem. „Express Patagonia", owoc jego krótkiej znajomości z Brytyjczykiem Bruce'em Chatwinem, to czuły opis dalekiego południa, do którego Chilijczyk wzdychał z perspektywy wygnańca. Kiedy już mógł tam wrócić, pokazał miejsce na wpół zmyślone. Krainę, w której organizowane są mistrzostwa w kłamaniu, a zwycięstwo daje opowieść o skłonnej do poświęceń pchle; krainie „bezkresnej i pełnej przygód, której nie można zamknąć w pospolitych granicach, oddzielających życie od śmierci". A więc takiej, w której jego zmarły na AIDS towarzysz pióra ma się dobrze, wiodąc spokojny żywot anonimowego gaucha. Bycie stamtąd to przysięga milczenia, która może tłumaczyć lakoniczność prozy Sepúlvedy. To jest zawsze sto, sto pięćdziesiąt stron, które mają tę przewagę nad snami, że można do nich na zawołanie wracać.

Kiedy pisał wydany właśnie po polsku „Koniec historii" (wydany przez Noir sur Blanc, jak wszystkie nadwiślańskie przekłady Chilijczyka), nie mógł się oczywiście spodziewać, że będzie to jego ostatnia książka. Tytuł to wyraźna aluzja do tekstu Francisa Fukuyamy, w latach 90. branego przez wielu za dogmat, dziś przez wielu wyszydzanego. Ale emerytowani rewolucjoniści nie są skłonni do zaznawania spokoju. Tak jest też z Juanem Belmontem, jeszcze jednym literackim wcieleniem Sepúlvedy. Dawny nikaraguański partyzant i ochroniarz Allendego zmuszony jest pracować dla rosyjskiego wywiadu, by uniemożliwić ucieczkę z więzienia Miguela Krasnoffa, kata z czasów dyktatury Pinocheta. Ścigany przez duchy przeszłości powtarza sobie, że po tym ostatnim zleceniu historia się domknie, a on będzie mógł wreszcie wrócić do swojej kobiety, zachodów słońca, wina i kanapek z polędwicą.

To oczywiście ułuda – dyktatura kładzie się długim cieniem na życiu paru pokoleń Chilijczyków, a Sepúlveda, jego bohaterowie i ojczyzna wciąż mimowolnie rozdrapują rany. Kończy się wyłącznie jednostkowa opowieść o człowieku – pisarzu, partyzancie, rewolucjoniście i ekologu, który gotów był nadstawiać kark dla grindwali. I to na przemilczanym Południu, gdzie nie idą za tym poklask i sława. ↦

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

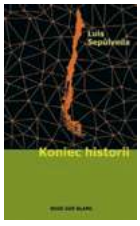
Indiana Jones

↦ Jeśli czegoś poza talentem należałoby mu zazdrościć, to niezwykłej umiejętności maskowania tych ran. Być może człowiek jest jak winorośl i wszystko przychodzi mu łatwiej, gdy korzeniami tkwi w krainie dopieszczanej przez słońce. Wtedy, zamiast bolesnych wspomnień, z pamięci łowi raczej zbyt dobre anegdoty. Jak ta z „Niemego Uzbeka" o nawiązywaniu relacji dyplomatycznych między Chile a Koreą Północną.

Jest 1971 r. lub, jak kto woli, 59. rok dżucze. Pjongjang otwiera w Santiago ambasadę, a wśród jej pierwszych gości jest para działaczy komunistycznej młodzieżówki, którzy akurat tamtędy przechodzili. Spotkania z egzotycznym ambasadorem to dobry sposób na studencką nudę. Wysłuchują więc kazań o Czcigodnym i Ukochanym Wodzu, oglądają filmy o bohaterach północnokoreańskiego ludu, wreszcie proszą o kurs taekwondo, dzięki któremu mogliby zyskać przewagę nad dybiącymi na nich siłami kontrrewolucji. Zbiera się grupa ochotników, a z Pjongjangu przylatuje towarzysz instruktor. Koreańczyk prosi kolejne osoby na matę i szybko rozkłada je na łopatki. Wreszcie przed mistrzem staje ostatni z kursantów, szaleniec Tuco, który zwykł z pięściami rzucać się na szwadrony policji. Gdy pada komenda ataku, zamiast wyprowadzić cios, Chilijczyk sięga za pasek, wyciąga rewolwer i strzela Koreańczykowi w nogę.

Nie wiem, pisze Sepúlveda, „czy scenarzyści filmów z Indianą Jonesem znali ten epizod z historii rewolucji chilijskiej, lecz w jednej ze swych przygód archeolog-poszukiwacz przygód Harrison Ford czyni dokładnie tak samo. Nigdy więcej nie pojawiliśmy się w chilijskiej ambasadzie Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Historię, która rozpoczęła się 11 września 1973 roku, wszyscy znają aż za dobrze. Świat się zmienił, Chile się zmieniło, my także, na dobre i na złe".

© ADAM ROBIŃSKI



Luis Sepúlveda
KONIEC HISTORII,
przełożyła Joanna Branicka
Oficyna Literacka Noir Sur Blanc, Warszawa 2021



MATERIAŁY PRASOWE

John Magaro jako Cookie Figowitz w filmie „Pierwsza krowa"

Ciasteczkowi kowboje

ANITA PIOTROWSKA

Twórcy „Pierwszej krowy" każą lojalnym przyjaciołom, w myśl hasła „make cookies, not war", wytwarzać uroczo nieforemne słodkości.

Jeszcze nie dotarła tu historia. Już nadchodzi, ale tym razem ją wyprzedziliśmy. Może tym razem będziemy na nią gotowi. Będziemy mogli ją przyjąć na własnych warunkach". W amerykańskim filmie „Pierwsza krowa" ta historiozoficzna refleksja pochodzi sprzed dwustu lat i dotyczy zasiedlania północno-zachodnich rubieży kraju. Przewrotny i smakowity western Kelly Reichardt wysnuwa z oficjalnej wersji historii alternatywną nić: co by było, gdyby zamiast handlu skórami, a w przyszłości gorączką złota, osadnicy zajęli się smażeniem racuchów czy wypiekaniem clafoutis? Kowbojska mitologia z pewnością smakowałaby (i pachniała) inaczej.

W miejsce „końskiej opery" pojawia się ballada o krowie. Jest rok 1820, na sporne przez lata terytorium Oregonu przypłynęła właśnie pierwsza przedstawicielka bydła rogatego. Sprowadził ją bogaty Anglik, stęskniony za filiżanką herbaty z mlekiem. Dwóch życiowych rozbitków, małomówny kucharz Otis Figowitz o przezwisku „Cookie" („Ciasteczko") i chiński wagabunda King-Lu patrzą w stronę zwierzęcia łakomym wzrokiem. Chcieliby sprzedawać w przygranicznej osadzie swoje słodkie wypieki, do czego przydałaby im się choćby kropla nabiału.

„Cookie" (John Magaro) pragnie w przyszłości otworzyć hotel i piekarnię, Lu (Orion Lee) marzy o własnej farmie, ale czasy są brutalne. Żeby spełnić kiedyś swój amerykański sen i założyć legalny biznes, bohaterowie bezczelnie podkradają mleko – prosto od krowy. Glazurowane miodem i posypane świeżo startym cynamonem ciasteczka robią furorę w okolicy. Nie wszystkim jednak będą w smak ich sukcesy.

Na pozór awanturnicza opowieść wymyślona przez Jonathana Raymonda, współscenarzystę i autora literackiego pierwowzoru (zatytułowanego „The Half-Life"), posiada wyjątkowo czułych narratorów. Reichardt wraz z operatorem Christopherem Blauveltem opowiada bez pośpiechu i zbędnych słów, w staroświecko kwadratowym formacie kadru. Bez ocieplającego światła odtwarza „białe" początki Ameryki – świat dziewiczych lasów, jeszcze nienazwanych rzeczy, grubo tkanego sukna i pierwotnej chciwości. Oraz rzecz jasna głodu, co to łatwo zamienia ludzi w zwierzęta, lecz

może też stać się początkiem pięknej przyjaźni.

Wspomina o niej już motto zaczerpnięte z Williama Blake'a, a także współczesny prolog, w którym pewna kobieta podczas spaceru z psem odkrywa zakopane w lesie ludzkie szkielety – leżą obok siebie ze splecionym dłońmi. Rezygnując z homoseksualnych podtekstów, twórcy „Pierwszej krowy" ożywiają podgatunek zwany z angielska bromansem (romansem braterskim) i każą lojalnym przyjaciołom, w myśl hasła „make cookies, not war", wytwarzać uroczo nieforemne słodkości. Tym, którzy przybyli właśnie do Nowej Ziemi, będą się one kojarzyć z pozostawionym gdzieś daleko domem.

Kamera poświęca wiele uwagi męskiemu krzątactwu, nie doszukując się w tym na siłę metafizycznych szczelin istnienia. Również przestępczy proceder nocnego udoju wygląda bardziej jak tkliwy rytuał, a przy okazji zaprzeczenie dzisiejszego przemysłowego chowu. W miejscu zdominowanym przez twardych mężczyzn, pośród przemocy, błota i brudu, „Cookie" i Lu od początku wydają się przybyszami z innej cywilizacji. Co prawda wszyscy tutaj są skądś – języki Starego Świata, nie tylko zresztą europejskie, mieszają się z mową rdzennych mieszkańców, a srebrne monety z kolorowymi paciorkami i kłami zwierząt. Krowę z rzędem temu, kto rozczytałby te etniczno-polityczne korelacje wedle współczesnego klucza. Ale tych dwóch łączy całkiem odmienna wrażliwość i wypada tylko zapłakać, że to nie ona zbuduje za chwilę oblicze Ameryki. To nie jest kraj dla facetów piekących ciasteczka.

W przeciwieństwie do brutalnych rewizjonistycznych westernów ostatnich lat („Bone Tomahawk" S. Craiga Zahlera, „Nienawistna ósemka" Quentina Tarantino, „Bracia Sisters" Jacques'a Audiarda) film Reichardt unika epatowania krwawą podszewką mitu. Nie każe bohaterom jeść surowej wątroby ani sypiać w wybebeszonym koniu. O nadużyciach ze strony bogatego handlowca i goszczącego w jego domu kapitana dowiadujemy się jakby mimochodem, z rzucanych na salonach anegdot czy ze smutnych twarzy autochtonów pracujących w posiadłości. Napięcia rasowo-klasowe dopiero wiszą w powietrzu. Kamera skupia się na zmysłowej warstwie rzeczywistości, ciągle bliższej naturze niż kulturze, i przez to niby niewinnej, choć przecież brutalnej, kształtującej darwinistyczny sposób myślenia.

„Pierwsza krowa" smakuje niczym pieczone z sercem domowe ciasto. Wyprodukowała je amerykańska wytwórnia A24, specjalizująca się w kinie niezależnym. To z niej wyszły takie tytuły jak „Midsommar", „The Lighthouse", „Saint Maud", „Minari", „Nieoszlifowane diamenty", czyli atrakcyjne filmy z autorskim pazurem. I Reichardt wpisuje się w tę formułę.

Dekadę temu nakręciła „Meek's Cutoff", z tą samą niemal ekipą i w tym samym ukochanym Oregonie, tyle że na pierwszym planie były ubrane w długie suknie osadniczki i rzecz działa się ćwierć wieku później. Trzymając się piekarniczych metafor, widać doskonale, jak styl reżyserki od tego czasu pięknie wyrósł. Zdążyła opracować także iście aptekarską recepturę, łączącą w idealnych proporcjach składniki poważne i komiczne.

A najnowszy jej film dedykowany jest pamięci Petera Huttona, zmarłego przed pięcioma laty eksperymentalnego dokumentalisty. Jego dotknięcie czuje się w sposobie fotografowania pejzażu, a zwłaszcza w ujęciach wody i statków handlowych – statycznych, wręcz kontemplacyjnych, zapisanych raczej okiem artysty wizualnego czy antropologa kultury aniżeli filmowca. „Pierwszą krową" rządzi również spojrzenie trochę melancholijne i przymglone. Chciałoby się nazwać je kobiecym, chociaż akurat sam porządek fabularny został w dużej mierze stworzony na papierze przez Raymonda. Może więc bardziej niż o odmienną wizję świata chodzi tu o wybór ściśle rozumianej optyki.

Nie dysponując materiałem fotograficznym z początku XIX wieku, Reichardt postanowiła odtworzyć ówczesne sposoby patrzenia – z perspektywy wrażliwców niepasujących do tamtej epoki czy pierwszych mieszkańców kontynentu. Jedno jest pewne: takiej historii USA, jaką oglądamy w „Pierwszej krowie", z pewnością nie mogliby napisać wrzaskliwi traperzy w futrzanych czapach ani wymachujący bronią kowboje. ©

PIERWSZA KROWA *(First Cow) – reż. Kelly Reichardt. Prod. USA 2020. Dystryb. M2 Films. Pokazy przedpremierowe w kinach od 28 maja.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Oslo



Dramat, reż. Bartlett Sher, USA 2021, HBO GO, od 30 V

O porozumieniach izraelsko-palestyńskich z 1993 roku powstała najpierw głośna sztuka teatralna J.T. Rogersa, a 23 lata później Sher jako pierwszy wystawił ją na scenie. Dziś razem stworzyli z tego film, który rekonstruuje tamte wydarzenia i przygląda się ludziom biorącym udział w negocjacjach. Trudno wyobrazić sobie bardziej znaczący moment na premierę.

2. Krakowski Festiwal Filmowy



krakowfilmfestival.pl, 30 V – 6 VI

Tegoroczny KFF odbędzie się hybrydowo, czyli równolegle w kinach i w sieci. Otworzy go nowy dokument „Polański, Horowitz. Hometown" Mateusza Kudły i Anny Kokoszki-Romer, w którym dwaj artyści, zaprzyjaźnieni od czasów dzieciństwa, spotykają się po latach w rodzinnym mieście i wędrują śladami wojennych wspomnień. Seanse online według harmonogramu na stronie.

3. Kolej podziemna



Serial, reż. Barry Jenkins, USA 2021, odc. 1-10, Amazon Prime

Twórca „Moonlight" wziął na warsztat nagrodzoną Pulitzerem powieść Colsona Whiteheada, której podtytuł brzmi „Czarna krew Ameryki".
To historia ucieczki z plantacji pary niewolników – ich trasę wyznacza ukryty pod ziemią system linii kolejowych. Istniejąca w XIX wieku siatka pomocy przestaje być tu metaforą, zabierając nas w podróż do wyimaginowanego świata, który emocjonalnie boli i równocześnie zachwyca filmową maestrią.

4. Sion Sono



Przegląd, piecsmakow.pl/wdomu, do 7 lipca

Na platformie prezentującej kino Azji można już zapoznać się z twórczością jednego z najoryginalniejszych reżyserów japońskich. Jego filmy, pełne kontrowersyjnych tematów i formalnych ekscesów, ale też mocno zanurzone w rodzimej kulturze, budzą wśród widzów i krytyków najskrajniejsze opinie. W programie takie tytuły, jak „Miłość obnażona", „Himizu" czy „Zimna ryba".

JAN

Klata:
Żadnych mrzonek



Odmrozili nam teatry! Łamiąca wiadomość, wykrzykiwana pospołu przez wygłodniałych na progu wyginięcia tzw. „teatromanów" oraz tzw. „ludzi teatru". Rzucili bilety! Jak ciepłe bułeczki schodzą owe bilety, co miłe wielce, aktorzy nieprędko wyjdą z szoku widząc widzów na widowni – najwidoczniej jednak było to im pisane, obustronnie. Na pięćdziesiąt procent na razie, później może znów zero procent, trudno orzec na sto procent, co przyniesie przyszłość. Tak czy owak, ze szczęścia łkamy wszyscy, jak kania dżdżu łaknąc „teatru żywego planu". Szturmujący kasy ludzie mają już serdecznie dość udawania, że da się uczestniczyć w teatralnym spektaklu za pomocą ekranu, ekranika, okienka internetowego. No, nie da się. Coś tam widać (ale nie za bardzo), coś słychać (ale niewyraźnie), coś się rusza – jednak z teatrem nie za wiele ma to wspólnego, ot, parateatralny patostreaming.

Ale przecież rejestruje się spektakle, na kilka kamer, montuje, wysyła na festiwale, uroczyście składa do archiwum? Owszem: jako zapis, *ersatz* dla profesjonalistów, namiastkę, która nie ukrywa, że jest namiastką właśnie. Od 21 maja ludzie teatru nie muszą już udawać, że grają spektakle, mogą po prostu zagrać spektakle. Nie do kamery – do widowni, obecnej, realnej, niezapośredniczonej. Magia przepływu energii... i coś się może zdarzyć, potencjalnie, między ludźmi. Trzeba tylko zadać sobie trud, żeby się do teatru przemieścić, skoro można.

Ponoć istnieje mem o treści: „Kiedy cały czas mówiłeś, jak bardzo brakuje ci teatru, a teraz będzie trzeba tam iść". Mema nie widziałem, ale mogę sobie wyobrazić wiele obrazków pasujących do hasła, nie potrzebuję prądu, żeby uruchomić wyobraźnię. Jest życie poza internetem, choć oczywiście śladowe, ale warto go spróbować, póki można. Na przykład w teatrze.

Opowieści dziwnej treści, że oto pandemia pozwoli wypracować nowe, internetowe formy teatru, można sobie między bajki włożyć, gdyż żywy widz lub nic. Żadnych mrzonek! ©

Lektor:
Gęsty splot



▪ *Vivian Gornick*
PRZYWIĄZANIA
Przełożył Łukasz Witczak.
Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2021, ss. 280.

Autoironiczny reportaż z własnego życia, pisany z perspektywy podwójnej outsiderki – kobiety i Żydówki. Brawurowa, bezlitosna, pełna zarówno dramatyzmu, jak i humoru opowieść o relacji matka–córka. A przy tym, jak zauważa w posłowiu Julia Fiedorczuk – „pieśń miłosna dla Nowego Jorku", dla robotniczego, imigranckiego Bronksu lat 40. i dla Manhattanu.
Vivian Gornick urodziła się właśnie na Bronksie w roku 1935; jej rodzice pochodzili z terenu obecnej Ukrainy. Kiedy Vivian miała trzynaście lat, ojciec niespodziewanie umarł, a matka pogrążyła się w niepohamowanej i toksycznej dla córki żałobie. Narracja opublikowanych w 1987 r. „Przywiązań" toczy się w chwili, kiedy zbliżająca się do pięćdziesiątki autorka – znana już dziennikarka, eseistka i ważna postać ruchu wyzwolenia kobiet – wraz z blisko osiemdziesięcioletnią matką odbywają długie spacery po Manhattanie, rozmawiają i wspominają, przy czym nie obywa się oczywiście bez wybuchów emocji i namiętnych sporów.
Wspaniały i gęsty jest ten splot kilku wątków. Współczesny Nowy Jork co i raz przesłonięty zostaje ekranem przeszłości – zaludnionej tłumem postaci, z filmowymi niemal scenami i obrazami, z praniem rozwieszonym na sznurach nad ulicą i kuchniami, w których toczą się nieprzerwanie rozmowy kobiet. Równolegle poznajemy „drogę do wolności" narratorki, proces odkrywania przez nią własnej tożsamości, talentu twórczego i miejsca w nowych środowiskach oraz burzliwe dzieje jej związków z mężczyznami. No i portret matki – trudnej, szorstkiej, zaborczej, po utracie męża pełnej żalu do świata, mistrzyni w gaszeniu radości, którą chce się z nią dzielić córka, ale mimo wszystko coraz lepiej przez córkę rozumianej i coraz bardziej kochanej.
„W naszej kamienicy mieszkali sami Żydzi, nie licząc irlandzkiej rodziny na parterze, rosyjskiej na drugim piętrze i polskiego dozorcy". Gornick nazywa ówczesny Bronx „mozaiką etnicznych księstewek najechanych przez obcy element", angielski miesza się tu z jidysz czy włoskim, a wszyscy zrównani są wspólnym życiem ulicy. Wszyscy też są biedni i często – jak rodzice Vivian – komunizują. A niesentymentalne ciepło podszyte bywa okrucieństwem. „Gdyby nie wiedza o autobiograficznym podkładzie tej historii, można by ją potraktować jak świetnie skonstruowaną powieść – zauważyła Inga Iwasiów. Także i dlatego „Przywiązania" tak świetnie się czyta. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Całus vege



Palce lizać. Pewna amerykańska sieć fast-foodowa zrezygnowała rok temu w kampaniach z tego hasła. Wcale nie dlatego, że po spożyciu strzępów kurczaka zabetonowanych ciężkostrawną panierką swoje palce czym prędzej wycieramy w papierową serwetkę, żeby móc nimi nerwowo szukać w szafce torebek z dziurawcem, kocanką, rzepikiem, cykorią podróżnikiem i wszelkim ziołowym skarbem, którym łąka ratuje nasze sponiewierane wątroby. Obiecuję wam tu zresztą solennie, że przekonam za rok kierownictwo „Tygodnika", aby następną torebkę nasion złożyć z roślin służących naszemu systemowi trawiennemu – oprócz wyżej wspomnianych powinien się jeszcze w kolekcji znaleźć rdest ptasi, pięciornik gęsi i przywrotnik. To dzięki nim, będąc już dawno po pięćdziesiątce, mogę jeść i pić jak lekkomyślny młodzian.

Tymczasem jednak siejcie łąkę dla motyli dołączoną do tego numeru, niech fruną nam ponad miastem rusałki – i wróćmy na moment do palców, których nie dało się oblizać. Firma wycofała to stare hasło, uznając, że w roku 2020 było wybitnie niestosowne. Wszystko, co miało związek z ustami, wnętrzem naszego otworu gębowego, przełyku i gardła, stało się nagle czymś podejrzanym. To, co miało styczność ze śliną, stało się tabu jeszcze większym niż rozmaite fizjologiczne aspekty cielesnej formy miłości oraz ludzkiego pędu do rozmnażania. Zresztą powiedzmy sobie szczerze, jeśli usta są *off limits* spowite w całun maski, to gdzie tu w ogóle jakaś miłość czy wspólnota? Bez solidnego cmoka w policzek (dwa razy? trzy razy? zanim udacie się do Francji lub Włoch, ściągnijcie na telefon, oprócz tzw. paszportu szczepionkowego, mapy powitań z podziałem na regiony) jakże dać wyraz radości, że spotykam kolegę albo koleżankę? A bez całowania w usta wszelkie sprawy związane z prokreacją przypominałyby raczej procedurę pozyskiwania koniecznych płynów ustrojowych w oświetlonej jarzeniówką klinice dla anonimowych dawców.

Na szczęście dwukrotnie szczepionym po odczekaniu sakramentalnych dwóch tygodni wolno się już całować – tak przynajmniej mówią amerykańscy lekarze z Centrum Kontroli Chorób, publikując w sieci stosowne poradniki dla młodzieży. Uznali też za konieczne przypomnieć jej, że karteczka od szczepienia wcale nie zwalnia z czujnego unikania innych chorób i przypadłości, które zniknęły z obiegu i słownika wirtualnych randek.

Stopniowy *comeback* całowania jako dopuszczalnej społecznie formy publicznej czułości to najmilszy chyba aspekt normalizacji, jaki wychwytuję, obserwując ludzi na ulicach oraz to, czym się zajmują w swoich, coraz bardziej rozdzielonych na bańki internetach. To, że powróciły na pierwszy plan niektóre dawno niewidziane głupoty, jest w sumie bardziej pocieszne niż straszne.

Pierwszy raz np. od ponad roku czytam znów w serwisach poświęconych gastronomii o wielkiej wojnie wegetarian z weganami. O co idzie? Otóż pierwsi podnoszą głośno żal, że kiedy z dużym opóźnieniem świat wyższej gastronomii zaczął wreszcie na serio traktować ludzi bezmięsnych, to od razu przeskoczył oczko dalej i stosuje bardziej radykalną wersję czysto roślinną. W kwietniu gruchnęła wieść, że jedna z najbardziej prestiżowych nowojorskich knajp Eleven Madison Park po ponownym otwarciu będzie przybytkiem wegańskim. Dlaczego tak? Bo weganizm, a nie wegetarianizm wyzwala prawdziwą kreatywność – mówią pytani na tę okoliczność krytycy kulinarni. Jest świeży, ekscytujący – także z racji trudności, jakie stawia przed kucharzem. Zrezygnować z jedzenia ciał zwierząt to pestka, ale tak bez masła i jajek? Pewien londyński szef nawrócony na roślinną wiarę mówi w gazecie, że czuje się, jakby „łamał szyfry" *crème brûlée*, kremowych sosów, bezy... Cóż, jakie czasy, taka Enigma.

My, zwyczajni jarosze (za takiego się uważam przez pięć dni w tygodniu), zostajemy na bocznym torze postępu. Te wszystkie nasze szpinaki z jajkiem, smażone sery, zapiekanki pod beszamelem, puszyste naleśniki z twarogiem, pierogi i omlety na tuzin sposobów oraz truskawki ze śmietaną i lody pistacjowe – jakież to dwudziestowieczne, poczciwe i nieseksowne. Jedno mnie pociesza: skoro wiadomości o konwersjach knajp na weganizm docierają do mnie nawet z Francji (do niedawna będącej kulturowym wyjątkiem tak w kinematografii, jak i gotowaniu na maśle), to może na rynku pojawi się nadpodaż dobrych serów? Mówcie sobie, co chcecie, że mój obiad jest *passé* – ale gdy na koniec mam w ustach kawałek mont d'ora albo neufchâtela – dopiero wtedy warto się ze mną całować. ©℗

Jajka faszerowane – to prawdziwa duma niepoprawnie nostalgicznego wegetarianina. Znamy je wszyscy z dzieciństwa albo z przyjęć, na które firma cateringowa teleportowała się z epoki galantyny – w tej branży jest wciąż sporo takich ostańców. Idea ugotowania jajka na twardo, przecięcia na pół, wyjęcia żółtka i zmiksowania go z dowolnymi składnikami jest moim zdaniem tak wdzięczna i poddaje się tak niezliczonym wariacjom, że szkoda robić je tylko z łososiem, ze szczypiorkiem albo nieśmiertelnym tuńczykiem. Jeśli już musi być tuńczyk, to koniecznie doprawcie go dwoma-trzema filecikami anchois oraz kopiastą łyżką kaparów (proporcje na zwykłych rozmiarów puszkę ryby) i dopiero potem dodajcie majonez i miksujcie. A jeśli szczypiorek – to zamiast majonezu dodajcie go obficie do żółtek rozkręconych widelcem z paroma łyżkami mascarpone. W każdym razie zdecydowanie lepiej się sprawdza gęsta pasta (także ze zmiksowanych oliwek i lekkiego serka) niż nadzienie „ziarniste", bo to drugie prawie zawsze wypada, powodując rozliczne bankietowe katastrofy.

JACEK TARAN

RODZI SIĘ PTAK

Doświadczona we wczesnym dzieciństwie przyjaźń z wiernym małżeństwem sierpówek na zawsze odmieniła mój pogląd na ptaki.

DOROTA KOZIŃSKA

AGATA WZIĘŁA GRUDKĘ GLINY I ZACZĘŁA JĄ MĘCZYĆ I DUSIĆ, i klepać, i lepić, i patrzeć, co jej wyjdzie. Przez pierwsze czterdzieści minut nie wychodziło nic, a w minucie czterdziestej pierwszej najwyraźniej zaczął wychodzić p t a k. W czterdziestej drugiej minucie pokazał się dziób, a w czterdziestej czwartej – ogon.

Nikt nie miał już żadnych wątpliwości.

Urodził się ptak.

– Jeżeli pan chce – powiedziała Agata – to będzie się nazywał Eugeniusz. Możemy go pomalować na niebiesko".

Zapomnianą książkę Agnieszki Osieckiej „Dzień dobry, Eugeniuszu" odkrywają dziś rówieśnicy mojego syna i czytają do poduszki swoim dzieciom. Wydano ją tylko raz, przeszło pół wieku temu, w nakładzie trzydziestu tysięcy egzemplarzy. Jak kto ma szczęście, kupi ją w antykwariacie za grosze, bo brzegi stron zakurzone, oprawa wytarta, rogi zagięte, grzbiet naderwany, blok pęknięty, strony pożółkłe, poplamione i zabrudzone.

Dostałam „Eugeniusza", kiedy miałam pięć lat, przedukałam go sobie własnymi siłami, pokochałam i od tamtej pory trzymam na półce. W moim dzieciństwie marzenia o kolorowych mieszkańcach przestworzy snuło się w myślach, pod wpływem lektur baśni i książek o odległych krainach, w których dokładnie opisywano barwy papug, kolibrów i cudowronków, zwanych także rajskimi ptakami. W wielkim mieście ptaki zdawały się szare i niepozorne. Na wakacjach zajmowaliśmy się innymi sprawami niż wypatrywanie w lasach i zaroślach płochliwych wilg, dziwonii i dzięciołów zielonych.

Skąd przybywa?

Książki o zwierzętach – także egzotycznych – ilustrowano wówczas czarno-białymi zdjęciami albo tablicami, na których barwne wizerunki ptaków sprawiały dość nierealne wrażenie: pieczołowicie odwzorowane przez artystów-ornitologów, przeważnie na białym tle, żeby początkujący miłośnik przyrody tym łatwiej dostrzegł szczegóły ↦

ADOBE STOCK



↦ upierzenia, charakterystyczny układ piór i różnice między samcem a samicą danego gatunku.

Prawdziwe kolorowe ptaki kupowało się na wiejskich odpustach, lepiło samemu z gliny, próbowało niezdarnie strugać z drewna, po czym malowało farbkami, dając upust najdzikszym fantazjom o baśniach z tysiąca i jednej nocy oraz tropikalnych wyspach na Pacyfiku.

Tym bardziej nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego pierwszy ptak w moim życiu, który wydał mi się (poniekąd słusznie) gościem z zamorskich krain, nie uwiódł mnie ani bajecznym upierzeniem, ani szczególnie wymyślnym pokrojem. Najpierw go usłyszałam. Zgodnie z przeczytanym kilka lat później, niezwykle celnym opisem Jana Sokołowskiego, jego hukanie „składa się z trzech lub czterech części i brzmi jak »du-du-du«". Ten zaskakująco czysty głos nie przypominał żadnego z dźwięków wydawanych przez warszawskie ptaki: ani napastliwego gruchania gołębi, ani jazgotu wróbli w zielenących się na wiosnę żywopłotach, ani skrzekotu srok, ani schrypłego krakania gawronów. Rozlegał się tuż przed naszym domem, w koronie rozłożystego jesionu po drugiej stronie ulicy.

Po pewnym czasie dostrzegliśmy jakieś poruszenie – zawsze w tym samym odcinku gałęzi, lekko schowanej w głębi listowia. Znieśliśmy z antresoli lornetki – jedną harcerską i dwie teatralne. Brat z dumą wyciągnął swój skarb: starą mosiężną lunetę, kupioną kiedyś za bezcen na pchlim targu. Stanęliśmy w oknie niczym drużyna admirała Nelsona wypatrująca z mostku francuskiej fregaty pod Trafalgarem. Kiedy wreszcie udało się wyostrzyć obraz, przed oczami stanęło nam gniazdo. A na nim gołąb jak z dawnego malarstwa: nieduży, kremowo-szary, z czarną półobróżką na szyi i dziwnie uśmiechniętym wyrazem dzioba, jakże niepodobnym do łobuzerskiej fizys pospolitego gołębia z Sielec.

Po szybkich konsultacjach ze znajomymi przyrodnikami („Życie zwierząt" Alfreda Brehma i przedwojenne niemieckie atlasy nie zdały się na nic) zyskaliśmy pewność. Nasz sąsiad to synogarlica turecka, przez niektórych zwana sierpówką, ptak, który dopiero w ostatnich latach zaczął kolonizować Polskę, choć pierwsze lęgi w Warszawie wyprowadził ponoć już w 1951 r. Przybysz z Azji i Afryki Północnej, sprowadzony do Europy południowo-wschodniej najprawdopodobniej przez Turków osmańskich, który w czasie II wojny światowej, z nie do końca wiadomych przyczyn, ruszył na północny zachód. Z początku sierpówki brano za uciekinierów z amatorskich hodowli, gdzie trzymano inny gatunek synogarlicy, zwany potocznie cukrówką – z wyglądu łudząco podobny, wydający jednak całkiem inne odgłosy. Cukrówka nie huka, tylko chichocze albo wydaje gruchanie, które naprawdę brzmi jak przymilne wołanie „cukrrru!".

Komu kasza?

Oczywiście w Warszawie było już sporo tych ptaków, nasza para okazała się jednak pierwszą w okolicy. Ojciec, być może pod wpływem wojennych wspomnień o śląskich gołębiarzach, postanowił sierpówki oswoić. Godzinami wystawał w otwartym oknie, pohukując zalotnie i teatralnym gestem sypiąc kaszę na parapet. Aż się doczekał. Po kilku dniach sfrunęły obie, od razu w przestrzeń między szybami, gdzie mogły spokojnie wydziobywać ziarno, z dala od wścibskich wróbli i nachalnych gołębi miejskich. Wkrótce się okazało, że nad pęczak zdecydowanie przedkładają kaszę gryczaną, a kiedy zaczęły sprowadzać do nas podloty, zasugerowały wprowadzenie do jadłospisu drobniejszej kaszki krakowskiej.

Młode ptaki były jeszcze bardziej niepozorne niż ich rodzice – matowe, nastroszone, popiskujące jak świeżo wyklute kurczęta. Z tygodnia na tydzień doroślały, stawały się coraz śmielsze, po czym znikały wraz ze swoimi opiekunami.

Z czasem para sierpówek znów pojawiła się w oknie. Najpierw myśleliśmy, że dochodzi do zmiany pokoleniowej i w naszej domowej jadłodajni goszczą dzieci poprzednich ptasich małżeństw. Potem wyszło na jaw, że nasze „Maćki", jak nazywał je ojciec, są gatunkiem monogamicznym i wyjątkowo płodnym. Wyprowadzają w sezonie przynajmniej trzy lęgi i wracają na stare śmieci, ograniczając się do niezbędnych poprawek i tak niezbyt wyrafinowanej konstrukcji gniazda.

Kilka kolejnych lat upłynęło w rytmie regularnych wizyt ptaków, które wkrótce zaczęły bezceremonialnie wlatywać nam do mieszkania, oraz skrupulatnych obserwacji ich zwyczajów godowych. Nauczyliśmy się, że sierpówki – oprócz rytmicznego hukania – wydają też radosny dźwięk „hiii!", który oznacza gołębie powitanie. Co kilka miesięcy samica rozsiadała się w gnieździe na dwóch śnieżnobiałych jajach, które po dwóch tygodniach ustępowały w obiektywie lornetki widokowi bezbronnych, okrytych szarożółtym puchem piskląt. Niecałe trzy tygodnie później niezdary lądowały wraz z rodzicami na parapecie i cykl zaczynał się od nowa.

Którejś wiosny władze Warszawy postanowiły zlikwidować trakcję tramwajową na naszej ulicy, wyciąć rosnące wzdłuż niej drzewa i dobudować drugi pas jezdni. Jedną z ofiar modernizacji padł jesion z gniazdem sierpówek.

W domu nastała żałoba. Kasza mokła na deszczu, a ojciec z gasnącą nadzieją wystawał w oknie, pokrzykując żałośnie „du-duu-du". Przez ten czas zdążył sprawdzić, dlaczego naukowa nazwa sierpówki brzmi *Streptopelia decaocto*. Pierwszy człon oznacza po prostu gołębia z obręczą na szyi. Drugi to zlatynizowana pisownia greckiego liczebnika i wiąże się z legendą o pomiatanej służącej, której pani płaciła zaledwie dwanaście drachm za całoroczny trud w obejściu. Bogowie zlitowali się nad nieszczęsną dziewczyną i przemienili ją w synogarlicę, która od tej pory nękała kobietę szyderczym pohukiwaniem „de-kao-kto!". Kto wie, w jakiego ptaka odmieniłby się mój znękany protoplasta, gdyby pewnego ranka nie usłyszał radosnego „hiii!", które poprzedziło żwawy tupot gołębich palców na parapecie. Lornetki poszły w ruch. Para urządziła się na drzewie po drugiej stronie ulicy. Wystarczyło tylko wyostrzyć obraz.

Kogo widać?

Doświadczona we wczesnym dzieciństwie przyjaźń z wiernym małżeństwem sierpówek na zawsze odmieniła mój pogląd na ptaki. Wychowałam się w wielkim mieście, ale przy ulicy biegnącej tuż obok Parku Łazienkowskiego. Tkwiłam w oknie z lornetką wystarczająco długo, by zwrócić uwagę także na innych latających mieszkańców tej oazy zieleni po-

śród metropolii. Nauczyłam się nie tylko patrzeć, lecz także słuchać i wyciągać wnioski.

Z pierwszym podmuchem wiosny zarośla i korony drzew wybuchały podnieconym rozgwarem wróbli, sikor i zięb. W cieplejsze noce majowe godzinami wsłuchiwałam się w śpiew niewidzialnych słowików: szarych, które ciągnęły barokowe arie *fortissimo*, w skokach interwałowych godnych najznamienitszych włoskich kastratów, i rdzawych, które wzbogacały swój repertuar pieśniowy charakterystycznym kląskaniem.



Maszerując do szkoły nauczyłam się odróżniać przenikliwy skwir jerzyków od skrzekotliwego świergotu oknówek, gnieżdżących się wówczas gromadnie w ułomkach zrujnowanych przez wojnę sieleckich kamienic. W październiku nie mogłam oczu i uszu oderwać od sejmików gawronów, kiedy stada zlatujące setkami z północy Rosji wymieniały się informacjami z „naszą" populacją, wybierającą się w tym samym czasie na południe Europy.

Przetrząsając niedawno zasoby Narodowego Archiwum Cyfrowego trafiłam na serię zdjęć z pierwszych dni stanu wojennego, zrobionych amatorskim aparatem w bezpośrednim sąsiedztwie naszego domu. Autor uchwycił w obiektywie przede wszystkim tłumy szturmujące ambasadę Austrii w kolejce po wizy – nie oparł się jednak pokusie sfotografowania szarych, zgłodniałych gołębi na śniegu i zastygłych w gałęziach ogołoconych drzew gawronów.

Uświadomiłam sobie, że przez minione cztery dekady zmieniła się nie tylko warszawska tkanka miejska, ale też miejscowa awifauna. Wciąż jest szara i niepozorna w porównaniu z ptactwem grasującym po ulicach Caracas i Delhi, w porównaniu z pierzastymi towarzyszami mojego dzieciństwa nabrała jednak barw. Czupurne i trochę niechlujne wróble ustąpiły miejsca elegantszym mazurkom z kasztanowatą czapeczką i czarną plamką na białym policzku.

Z miejskiego pejzażu prawie całkiem znikły i tak rzadkie czarnowrony: dziś na ulicach Warszawy niepodzielnie króluje popielato-czarna wrona siwa (*Corvus cornix*), do niedawna uważana za podgatunek czarnowrona. Na taflach miejskich stawów pysznią się bajecznie kolorowe mandarynki i zabłąkane z Ameryki Północnej kaczki karolinki. W zaroślach nad Wisłą można wypatrzyć nie tylko bogatki, modraszki i kopciuszki, ale też piegże, kapturki, wąsatki i dzwońce. Nikogo już nie dziwi widok kwiczoła i grzywacza w centrum miasta. Po warszawskim niebie szybują pustułki i sokoły wędrowne.

Wbrew wszelkim przeciwnościom proces synurbizacji postępuje. Ptaki dostosowują się do pozornie niesprzyjających warunków miejskiej dżungli. Upiorne blokowiska z czasów PRL traktują jak plątaninę górskich uskoków, szyby wentylacyjne kojarzą im się ze szczelinami w zwietrzałych głazach, po chodnikach skaczą jak po płaskich skałach, w parkach czują się jak w lesie, po ogródkach działkowych i rozległych błoniach nadwiślańskich buszują jak po ukwieconych, pełnych owadów łąkach.

I wciąż czerpią korzyści z tego, że są niewidzialne dla większości przechodniów: wtapiają się w szarość konarów, zlewają z zielonością traw, zastygają plamą jaskrawej barwy niczym pospolity wiosenny kwiat na łące. Dają o sobie znać śpiewem, wołaniem, trzepotem skrzydeł, nietypowym poruszeniem w liściach i szuwarach – witają się z tymi, którzy chcą je rozpoznać i nie zrobią im krzywdy. Czasem wchodzą w niespodziewaną komitywę z ludźmi, zwłaszcza na mniej uczęszczanych szlakach spacerowych – jak pewna łyska znad stawu Morskie Oko, która podeszła do nas jak żebrzący o łakomy kąsek gołąb, ujawniając w całej okazałości karbowane płatki skórne na palcach i nóżki pokryte zielonkawymi łuskami.

VASYL HELEVACHUK / ADOBE STOCK

Kogo nie widać?

O miejskich ptakach zwykło się mówić, że są nudne i szare. A przecież prawdziwa ptasia szarość kojarzy się miłośnikom z nadzwyczajnym wyrafinowaniem i elegancją. Jeśli nie liczyć jaskrawoczerwonych sterówek, szarawa jest żako, jedna z najinteligentniejszych papug na świecie, pod względem zdolności poznawczych dorównująca kilkuletnim ludzkim dzieciom. Łupkowoszare pióra pluszcza meksykańskiego z wyjątkową czułością oddał na swych akwarelach Joseph Wolf, niemiecki mistrz malarstwa przyrodniczego, ilustrator pokłosia wypraw Livingstone'a i Wallace'a.

O niezwykłej urodzie australijskiego kapodzioba nie stanowią ani różowe nogi, ani pokryty zielonawą woskówką dziób, tylko gładkie, jednolicie popielate upierzenie z ciemniejszymi plamami na skrzydłach. Wśród bajecznie kolorowych ptaków Afryki Subsaharyjskiej tym większą uwagę przyciągają czubate, jednolicie grafitowe hałaśniki z rodziny turakowatych.

Szarość ptasich mieszkańców metropolii nie ma nic wspólnego z mieszaniną czerni i bieli. Nie sposób też kojarzyć jej z nudą i monotonią ich zachowań. To raczej szara niewidzialność, umiejętność wtopienia się w tkankę miejską z całym jej brudem i brzydotą, utonięcia w głębi nielicznych enklaw zieloności, ucieczki przed ludzką bezdusznością i okrucieństwem.

A czasem – jak w przypadku naszej pary sierpówek – zjednania do siebie ludzi, którzy swój trudny kontakt z miejską naturą wymęczyli, wydusili, wyklepali, ulepili, a to, co im wyszło, przyjęli z zachwytem. Nie mieli potem żadnych wątpliwości. Ptak urodził się w ich sercach. Czarny albo popielaty, z białym brzuszkiem lub plamką na policzku. Nie musieli już malować go na niebiesko. © DOROTA KOZIŃSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
Nowy Biskupin



Zewsząd słyszymy, że Polski Ład to plan motywowanego klasowo zamachu na zamożnych. Tak powiadają ludzie zajmujący się liczeniem pieniędzy, zarówno ci robiący to beznamiętnie, jak i owi pełni namiętności. Nawiasem warto może wtrącić, że liczenie forsy, odkąd rządzi PiS, jest dzięki ichniej siatce płac tak proste jak nigdy, i jako że nie ma się czym tu popisywać, zajmiemy się dziś sprawami z innej niż finansowa sfery.

Oto naszą misją, z ogromnym powodzeniem realizowaną przez dekady, jest objaśnienie zjawisk najbliższych istocie człowieka, najbliżej jego duszy i jego znakomicie olimpijskiego ciała. Ktoś powie, że najbliżej duszy i ciała Polaka jest zwitek banknotów schowanych w skarpetce, i że nigdy nie jest to skarpetka zwykła. Bywa ona patriotyczna, wojskowa, jak owa skarpetka spod Monte Cassino, wyprodukowana przez żelaznego kandydata na szefa IPN, piastującego na razie stanowisko dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Tak czy siak, zwitki banknotów są blisko ciała polskiego.

Ogłoszony Ład, co trzeba powiedzieć wyraźnie i na początku, jest na razie zbiorem haseł, zawołań i niczym więcej. Jest nowym, potrzebnym totemem. Rzecz jasna, prędzej czy później zobaczymy, które z punktów tego spisu wejdą w życie. Na razie jednak, o czym trzeba koniecznie pamiętać, dokument ów został utworzony na potrzeby świata, w którym bardzo trudno oddzielić rzeczywistość od fantazji. Jak wiadomo, każdy ma takie fantazje, jaką ma wyobraźnię. A więc lewica ma swoje i – weźmy – p. Kaczyński też. Rzecz jasna fantazje tutejszej lewicy nie mogą nas w najmniejszym stopniu kręcić. Ale już fantazje p. Kaczyńskiego to insza inszość.

One nas interesują. Wszystkie są nam w zasadzie znane i wszystkie oczywiście rozumiemy, bośmy wyrośli w tej samej zlewni i pod tym samym zachmurzonym niebem. Ktoś teraz, śmiejąc się niepolsko, powie, że wyobraźnia p. Kaczyńskiego to zaiste są i mech, i paproć w wapieniu zaklęte, i w pajęczynę owinięte. Że wsjo to mucha w bursztynie znalezionym podczas rozcinania Mierzei Wiślanej. Że suma tych fantazji, po części wpisanych przecież *in extenso* do Polskiego Ładu, to projekt Nowego Biskupina, i że nazwa owa nie jest bynajmniej dźwiękonaśladowczo bezmyślna. I to jest jakoś prawdziwe, ale też nieinspirujące. To jest przecież jasne jak słońce, że PiS buduje Nowy Biskupin gdzie nie spojrzeć. Ciekawym i zabawnym zadaniem jest jednak coś innego – rozpoznanie, które z pomysłów Polskiego Ładu wyszły na sto procent spod ręki p. Kaczyńskiego. Które są jego fantazjami nietkniętymi przez partyjny, cyniczny piar, przez Terleckiego z Piotrowiczem dajmy na to. Które on, p. Kaczyński, zanotował długopisem na kartce, siedząc przy stole w swoim skromnym domku na Żoliborzu.

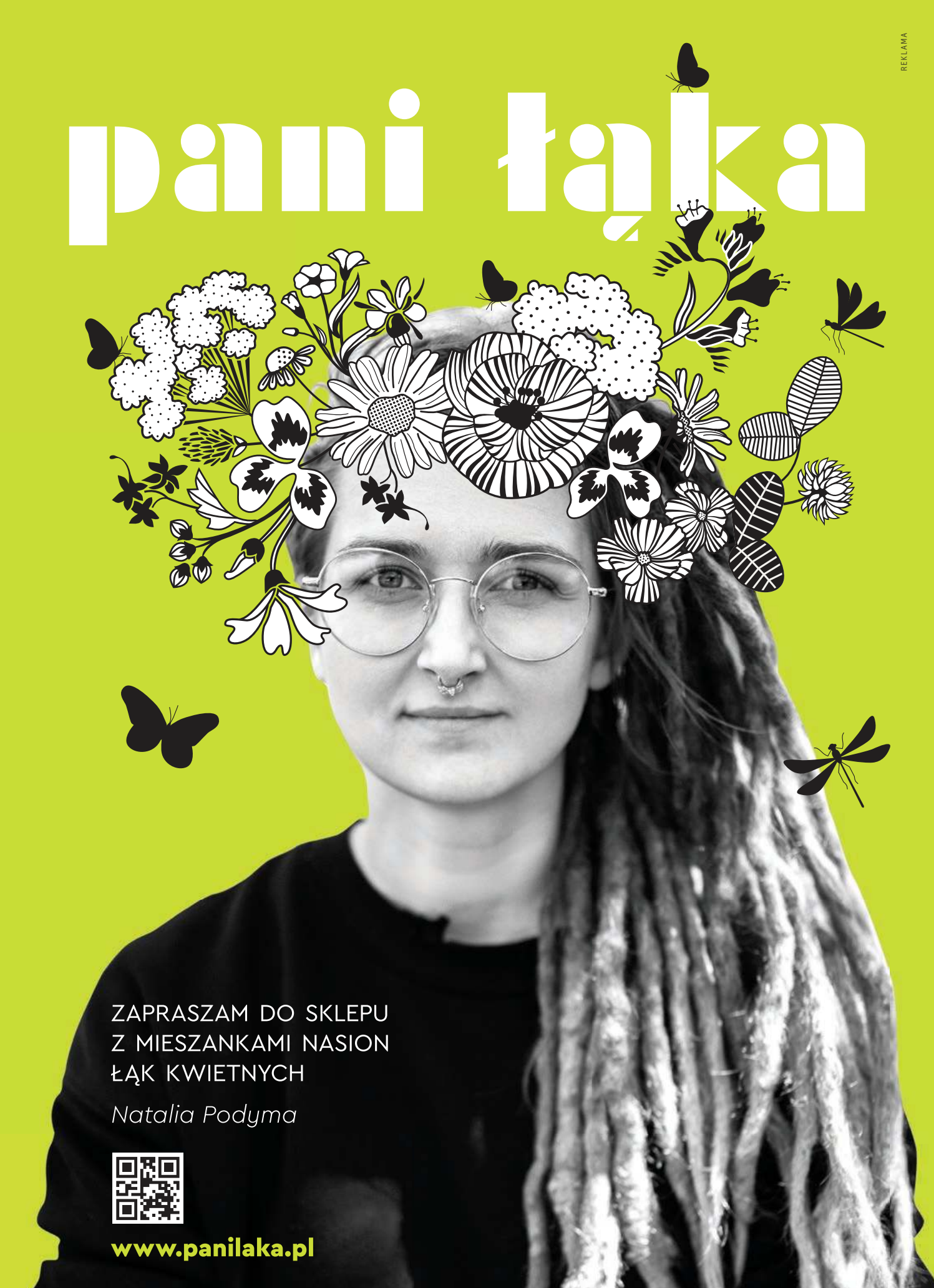
Patrzymy teraz z rozbawieniem, jak Czytelnicy wertują nerwowo owych sto sześćdziesiąt stron Polskiego Ładu, by wygrać ten *ad hoc* ogłoszony konkurs bez nagród. Jak zwykle nasza dorodna młodzież nie ma szans. Żadnych. Jakiś jej inteligentniejszy przedstawiciel powie teraz, że to na pewno p. Kaczyński wymyślił, by w szkołach tutejszych zaprzestać nauki historii powszechnej i zwiększyć do granic strawności wkuwanie zmyślonej przez p. Kaczyńskiego historii Polski. Że to p. Kaczyński zabronił wpisania przedmiotów ścisłych do priorytetów edukacyjnych, bowiem są one, jak wiadomo, w świecie dzisiejszym nikomu po nic. Żeby tego nie uczyć, bo się młodzież stresuje. Możliwe – odpowiadamy – ale nie na pewno. To mogli sobie równie dobrze wymyślić Morawiecki z Ziobrą bądź Gowin z Czarnkiem pod batutą Glińskiego. A więc dwója. Tylko jakiś stary polski mapet i złośliwy tetryk może dać tutaj bez zastanowienia odpowiedź celującą i wziąć wieniec bobkowy w konkursie. Oto p. Kaczyński osobiście do Polskiego Ładu wpisał długopisem nakaz powołania uczniowskich świetlic, w których – jak czytamy – będzie się można po lekcjach nauczyć gry w szachy. Żaden do tego komentarz, ani miły, ani złośliwy, nie jest potrzebny. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ



REKLAMA

pani łąka



ZAPRASZAM DO SKLEPU
Z MIESZANKAMI NASION
ŁĄK KWIETNYCH

Natalia Podyma

www.panilaka.pl

REKLAMA

WŁĄCZ RMF Classic



I ZMIEŃ SWÓJ ŚWIAT



NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA
– GDZIEKOLWIEK JESTEŚ



rmfclassic.pl